

Jeanette Winterson

Płeć Wiśni

Przełożył Zbigniew Batko

Tytuł oryginalny: Sexing the Cherry

Indianie z plemienia Hopi posługują się językiem równie wyszukany i bogaty jak nasz, ale nie ma w nim czasu przeszłego, teraźniejszego i przyszłego. Takie rozróżnienie nie istnieje. Co nam to mówi o czasie?

Dziś już wiadomo, że materia, rzecz najbardziej konkretna i najlepiej nam znana, coś, co można wziąć do ręki i z czego zbudowane jest nasze ciało, to po większej części pusta przestrzeń. Pusta przestrzeń i punkciki światła. Co nam to mówi o realności świata?

Na imię mam Jordan. A oto pierwszy widok, jaki zapamiętałem.

Była noc, może za kwadrans dwunasta, połowa nieba zachmurzona, połowa czysta. Chmury stały nad lasem, niemal dotykając wierzchołków drzew. Na czystej połowie nieba, nad wodą i świeżo zaoraną połącią ziemi, lśnił prawie okrągły, otoczony żółtą aureolą księżyc, odbijając się w zakolu rzeki. Na drugim krańcu pola czerniało na tle zbocza stado bydła, nieruchome, senne. Światło padające z okna jedyne go na tym pustkowiu domu wyglądało jak latarnia płonąca nad fosą zamku jakiegoś olbrzyma. Dom oskrzydlały wysokie drzewa. Po podwórzu kłusował koń, krzesząc kopytami iskry z kamieni.

Potem zaczęła wstawać mgła. Snuła się nad rzeką w cienkich, spiralnych smużkach, niczym duchy błądzące po przykościelnym cmentarzu, i gęstniała gwałtownie jak dzinn uwolniony z butelki. Biały tuman spowił najpierw sitowie, potem pnie drzew, wreszcie rozstaje i skrzyżowania dróg. Wierzchołki drzew zdawały się pływać nad tym mlecznym morzem jak zawieszane w przestrzeni wysepki, napowietrzna przystań dla ptaków.

Stado krów utonęło całkiem w gęstych oparach, a snop światła, przypominający teraz latarnię morską, pojawiał się i znikał na przemian, tnąc powietrze jak świetlisty miecz.

Mgła podpełzła do mnie i zakryła przed moimi oczami bezchmurną część nieba. Panował przejmujący ziąb, miałem mokre włosy i nie wiedziałem, gdzie schować ręce, by je ogrzać. Próbowałem wypatrzeć jakąś ścieżkę, ale widziałem tylko zające, które stawały słupka w środku pola i skamieniałe wpatrywały się we mnie. Zacząłem iść z wyciągniętymi przed siebie rękami jak lunatyk, co błąka się niespokojnie pogrążony we śnie, i wtedy po raz pierwszy wymacałem we mgle twarz, której rysy rozpoznałem jako własne.

Każda podróż kryje w swoich szlakach – w zaniechanej ścieżce, w zignorowanym zakręcie – jakąś inną wędrówkę. Takie właśnie podróże chciałbym zapisać w pamięci: nie te, które odbyłem, lecz te, które mogłem odbyć lub prawdopodobnie odbywałem w innym miejscu i czasie. Mógłbym wam wtedy powiedzieć prawdę, taką samą, jaką znajdujemy w pamiętnikach, na mapach i w dziennikach okrętowych. Mógłbym wiernie opisać wszystko, co widziałem i słyszałem, i złożyć wam taki dziennik podróży w darze. Moglibyście pójść moim śladem, wodząc palcem po mapie, wpinając czerwone chorągiewki na szlakach moich wędrówek.

Grecy uważali, że opisanie sekretnych aspektów życia wymaga atramentu sympatycznego. Pisali zwykły list, a między wierszami skrywali inne treści, zapisane mlekiem. Taka epistoła wyglądała niewinnie, dopóki ktoś wtajemniczony nie potarł jej sadzą. Sam list nie był już ważny; ważne było życie, gorejące, choć utajone... aż do tej chwili.

Odkryłem, że moje życie pisane jest takim właśnie niewidocznym pismem; wtłoczone

między fakty, szybuje w przestrzeni bez udziału mej woli niczym Dwanaście Tańczących Księżniczek, które co wieczór wylatywały przez okno w przestworza i co rano wracały w postrzępionych sukniach i zdartych pantofelkach, nie pamiętając niczego.

Postanowiłem upilnować samego siebie, próbując jak zazdrosny ojciec tanecznic przyłapać samego siebie w chwili, gdy wymykam się przez nagle dostrzeżone drzwi w murze. Wiedziałem, że jestem cudzołożnikiem, że tego, co kocham, nie znajdę w domu. Oddalałem się chyłkiem i przemykałem przez świat jak cień. Im dłużej to trwało, tym bardziej obsesyjnie myślałem o odkryciach. Zdarzało się, że kiedy byłem w towarzystwie, ktoś pstrykał mi przed twarzą palcami i pytał: „Gdzie znów błędzisz?” Długo nie miałem pojęcia, co odpowiadać, ale stopniowo zaczynałem znajdować dowody na istnienie innego życia, aż w końcu owo życie objawiło mi się w całej pełni.

„Pomnij na skałę, z którejś wyciosan, i na jamę, z której cię dobyto”.

Moja matka wyryła tę inskrypcję na medalionie i założyła mi go na szyję w dniu, w którym znalazła mnie w szlamie na brzegu rzeki. Zawinięty byłem w zbutwiały worek, taki, w jakich się topi kocięta, ale głowa sterczała mi nad powierzchnią wody. Słyszałem coraz bliższe ujadanie psów, ogłuszający szum wody, a potem nagle zatańczyła przede mną twarz kragła jak księżyc, okolona długimi, opadającymi swobodnie włosami. Nieznajoma zgarnęła mnie jednym ruchem z ziemi i umieściła między piersiami, których sutki sterczały jak kasztany. Zabrała mnie do domu i tam chowałem się razem z pięćdziesięcioma psami, nie mając innego towarzystwa prócz niej.

* * *

Miałam jakieś imię, ale go nie pamiętam. Nazywają mnie Psiara i to musi wystarczyć. Nazwałam go Jordan i to też musi wystarczyć. Nie miał innego imienia ani przedtem, ani potem. Bo i jakże miałam go nazwać, wyłowionego z cuchnącej Tamizy? Nie mogłam przecież nazwać dziecka Tamiza ani Nil, mimo wszelkich skojarzeń z Mojżeszem. Ale chciałam nadać mu imię od rzeki, imię, które z niczym się nie wiąże, tak zatem swobodne, jak toczące się wody. Kiedy kobieta rodzi, też odchodzą wody, razem z nimi matka wydaje na świat dziecko, uwalnia je. Sama chciałabym tak wydać dziecko z mego ciała, ale do tego trzeba mężczyzny, a nie ma na świecie takiego, który odpowiadałby mi proporcjami.

Jako niemowlę Jordan siadywał na mnie niczym mucha na kupie gnoju. I żywił się mną tak, jak mucha żywi się nawozem, a kiedy już zjadł całą swoją porcję, opuścił mnie.

Jordan...

Powinno być nadać mu imię jakiegoś stawu ze stojącą wodą, a wtedy zdołałabym go utrzymać przy sobie. Ale ja nadałam mu imię rzeki i gdy wody wezbrały w porze powodzi, wyśliznął mi się z rąk.

Kiedy miał trzy latka, poszłam z nim obejrzeć pewną wielką osobliwość, ku własnej zresztą zgubie. Rozeszła się po okolicy wieść, że niejaki Thomas Johnson zdobył gdzieś owoc, jakiego dotąd w Anglii nie widziano. Ów Johnson, który już od dwudziestu lat nie żyje, był zielarzem, ale ja powiedziałabym, że kimś więcej. Kiedy kobieta stwierdzała, że coś za bardzo się zaokrągliła, i gdy nie pojawiała się w porę krew miesięczna, to właśnie do niego się udawała, sama, z latarnią tylko za całą kompanię. A gdy wracała, płaska i uradowana mówiła, że to sprawa jemioty, kocimiętki albo innych ziółek, ale ja wiedziałam, że to on wyszał z niej niewinną duszyczkę, żeby ją oddać diabłu.

Tak czy inaczej, ponieważ wszystko odbywało się za dnia i zanosilo się na to, że tłum będzie nieprzebrany, jaki potrafią ściągnąć tylko walki psów z niedźwiedziem, wzięłam Jordana na smycz, po czym zaczęłam przepychać się przez wielką ciżbę gapiów i grzeszników, aż przedarliśmy się na sam przód i zobaczyliśmy Johnsona, jak wyciąga od naiwnych pieniądze za zerknięcie na tę jego osobliwość.

Podniosłam Jordana do góry i powiedziałam Johnsonowi, że ma natychmiast odchylić płachtę i pokazać nam to cudo, bo inaczej przycisnę go do swoich cyców i tak go stłamszę, że odtąd będzie się pocił na samą myśl, iż kiedykolwiek był karmiony piersią. Zaczął coś tam stękać i pochrząkiwać, po czym sięgnął za siebie po jakiś kolorowy słój, a ja, w obawie, że wypuści na mnie jakiegoś złośliwego duszka z rozwidlonym językiem i jajami jak klejnoty, złapałam go za łeb i przycisnęłam z całych sił do swego łona. Wnet zaczął kasłać i jęczeć, bo też nie zmieniałam kiecki od pięciu lat.

– No dobrze – powiedziałam, podnosząc go za kark, tak jak się to robi z łasicą. – Gdzie masz to cudo?

– Boże, zmiłuj się nade mną! – jęknął. – Pozwól tylko najpierw powąchać sole trzeźwiące, dobrodziejko.

Ja jednak nie zamierzałam się z nim cackać, więc zdarłam zasłonę sama, i klnę się, że to coś wyglądało joto w jotę jak intymne części jakiegoś żółtka z Orientu.

– To banan, dobrodziejko – powiada ten szelma. Banan? A cóż to takiego, na litość boską, banan?

– Coś takiego nie mogło rosnąć w raju – mówię.

– Oczywiście, że rosło – odpowiada on, nadęty jak jadowita żmija. – Ten owoc pochodzi z Wysp Bermudzkich, które leżą bliżej raju, niż ty się kiedykolwiek znajdziesz.

Uniósł toto nad głową, ludzie zaś, widząc coś takiego po raz pierwszy, ryknęli wielkim głosem, po czym zaczęli się poszturchiwać łokciami i dopytywać, jakież to nieszczęsny obłąkaniec upadł tak nisko, że sprzedał swoje przyrodzenie.

– Alboś go pomalował, albo zżółkł od jakiejś zarazy, bo jeszcze nigdy nie widziałam, żeby

miał taki kolor – powiedziałam.

A Johnson zawołał, usiłując przekrzyczeć gwar:

– TO NIE JEST KUŚKA ŻADNEGO NIESZCZĘŚNIKA! TO OWOC ZERWANY Z DRZEWA. MOŻNA GO OBRAĆ I ZJEŚĆ!

I tu zaczęło się ogólne bekanie. Żadna przyzwoita białogłowa nie wzięłaby tego do ust, a mężczyzna musiałby chyba być kanibalem. Nie po to chodziliśmy tyle lat do kościoła i obmywaliśmy się krwią Chrystusa, żeby teraz zjadać się wzajemnie, jak to czynią poganie.

Pociągnęłam za smycz, aby zabrać stamtąd Jordana, lecz pozostał mi w ręku sam rzemień. Dałam nura w tłum, ale zobaczyłam tylko szurające bosc stopy, dziurawe pończochy, a tu i ówdzie klamrę błyskającą u pasa jakiegoś dżentelmena. Jordan zniknął. Mój chłopczyk przepadł bez śladu. Wydałam z siebie istic bydlęcy ryk i wyłabym tak do sądnego dnia, gdyby jeden z grzeszników nie pociągnął mnie za ucho i nie obrócił mi głowy tak, żebym musiała spojrzeć pod diabelski stół Johnsona.

Tam zobaczyłam zastygłego w bezruchu Jordana. Stał z uniesionymi ramionami i wpatrywał się w banana, którego dzierzył w górze Johnson. Przysunęłam głowę do główki chłopca, żeby sprawdzić, gdzie patrzy, i zobaczyłam granatowe morskie fale liżące biały piasek, drzewa, których gałęzie śpiewały zielenią, ptaki o bajecznie kolorowych piórach i sędziwego mężczyznę w przepasce na biodrach.

Wtedy to właśnie Jordan po raz pierwszy wyruszył w rejs.

Londyn to plugawe miasto, pełne chorób i zgnilizny. Chciałabym zabrać Jordana na wieś, ale musimy tkwić w pobliżu Hyde Parku, żeby mogła wystawiać swoje psy do walk i wyścigów. Co sobotę wracam do domu ociekająca plwociną, skatowana, ale z pieniędzmi w kieszeni, i nie marzę o niczym innym, jak o jakiejś jednej choćby bratniej duszy.

Moja sąsiadka, która jest tak szerniała i łysa, że już dwukrotnie wzięto ją za poleć solonej wołowiny owinięty w kawałek muślinu, chełpi się, że jest czarownicą. Nikt nie wie, ile ma lat. Jak można określić wiek przypominającej skórzaną piłkę głowy i tej całej niesamowitej kupy łachmanów, która uchodzi za jej ciało? Ani ja, ani nikt inny nie widział nigdy stopy pod jej spódnicami, tak że nie wiadomo, na czym właściwie chodzi. Jej ręce, które wciąż załamuje i wykręca na wszystkie strony, przypominają kończyny pokurczonej małpy, takiej, jaką zwykli prowadzić ze sobą katarzyniarze. Sama ledwie się rusza, ale jej ręce nie znają spoczynku; wciąż drapie się po głowie albo po podbrzuszu, wciąż chwyta jakieś kaski i pakuje je do gęby. Ja sama nie uznaję noża i łyżki, ale wiem, jak należy jeść w towarzystwie. Wiem, jak zrobić z przylepki miskę i chleptać z niej polewkę, nie roniąc zbyt wiele na podolek. A jeśli chodzi o nią, wystarczy spojrzeć na jej podbródek, żeby bez żadnych czarów wyobrazić sobie, co też jadła przez ostatnie trzy tygodnie. Kiedy znalazłam Jordana, tak oblepionego błotem, że można go było od razu

upiec, jak się piecze jeża w glinie, pomagała mi go umyć, żeby sprawdzić jego pleć. Kiedy ja starałam się zmiękczyć skorupę stwardniałego szlamu gąbką namoczoną w gorącej wodzie, ona zdierała z niego błoto ruchliwymi pazurami i szczytywała je po kawałku niczym z psa po polowaniu.

– Złamię ci serce – powiedziała, zadowolona, że ma okazję dopiec mi do żywego. – Sprawi, że go pokochasz, i złamię ci serce.

Potem znieruchomiała na chwilę, przyłożyła ucho do piersi chłopca i bicie jego serca wypełniło izbę.

– Wiele kobiet zapragnie tego serca, ale żadna go nie dostanie. Żadna oprócz jednej, a ta go odtrąci.

Mówiąc to, omal się nie udusiła od własnego chichotu, i musiałam ją grzotnąć w plecy; waliłam tak długo, aż odkrztusiła trochę flegmy i podziękowała mi za fatygę. Prawdę mówiąc, mogłam jej złamać kręgosłup jak rybie. Gdybym to zrobiła, zmieniłabym może wyroki losu, bo mogą one zawisnąć nad człowiekiem w każdej chwili i w każdej chwili mogą być zmienione. Tak, powinnam była ją zabić i pokierować inaczej naszym losem.

Wyszła, powłócząc nogami, i rozplynęła się w mroku nocy, a ja ruszyłam za nią.

Byłam niewidzialna. Ja, która muszę odwracać się bokiem, przechodząc przez każde drzwi, mogę roztopić się w mroku z taką łatwością, jakbym była jedną z tych wiotkich istot śpiewających w kościelnym chórze. Śpiewanie to dla mnie wielka przyjemność, ale nie mogę tego robić w kościele, bo pastor oświadczył, że maskarony powinny pozostać na zewnątrz, a nie zajmować miejsce na chórze. Śpiewam więc sobie w środku, w moim wielkim jak góra cielsku, a mój głos jest wysmukły jak trzcina, mój głos bynajmniej nie ocieka sadłem. Kiedy śpiewam, psy nieruchomieją, a ludzie przechodzący w ciemnościach obok mnie przestają gderać i utyskiwać i zaczynają wspominać czasy, gdy byli szczęśliwi. Ja zaś śpiewam o czasach, kiedy i ja byłam szczęśliwa, choć wiem, że to tylko rojenia mojej wyobraźni i tak naprawdę szczęśliwa nigdy nie byłam. Ale czy to ważne, że nie można sporządzić mapy jakiegoś miejsca, skoro potrafię je opisać?

Pewnego wieczoru Jordan zabrał mnie w rejs. Wyruszyliśmy w porze przypływu, gdy dzień gasł z wolna. Pożeglowaliśmy w dół Tamizy i wypłynęliśmy na morze, a ja cały czas patrzyłam wstecz i dziwowałam się, jak szybko znikają wszystkie najlepiej mi znane widoki. Jordan powiedział, że gwiazdy mogą zaprowadzić człowieka wszędzie. Po obu stronach rzeki wznosiły się nad wodą domostwa na palach. Tu i ówdzie brodzili pomiędzy palami śmieciarze, grzebiąc dragami w czarnej masie błočka i napełniając swe wiklinowe kosze wszelakim paskudztwem. Nie dalej jak tydzień temu jeden z nich znalazł kotwicę pochodzącą rzekomo z czasów imperium rzymskiego, kiedy my wszyscy byliśmy jeszcze barbarzyńcami z kudłami sięgającymi pasa. Tacy

śmieciarze nie mają dumy i gotowi są nurkować w szlamie za byle czym. Co prawda jeden taki z ich kompanii ma okazałą siedzibę w Chelsea, ale mimo tego nadzwyczajnego wyniesienia i on, i jego żona, i nawet bachory wciąż przypominają dziwnie odpadki, z których żyje cała rodzina. Ona, chuda i śniada, wygląda jak szpagat, on – jak wielka kupa łajna. Dzieciarnia rozsypana na trawniku przed domem przywodzi na myśl królicze bobki. Jestem kobietą grzeszną i do tego prostaczką, ale gdyby stać mnie było na sprawienie sobie sznura pereł, umyłabym najpierw szyję.

Jordan prosił, żebym przyodziała na podróż najpiękniejsze suknie. Tak też uczyniłam, a do tego założyłam kapelusz z piórem, który tkwił na mojej głowie jak gniazdo na drzewie. Jordan usadowił mnie wygodnie na pokładzie i chyba z dziesięć albo i więcej razy pytał, czy mi ciepło. Było mi ciepło. Podziwiałam świat.

Kiedy zapadł gęsty mrok, Jordan zapalił latarnie zawieszane przy burtach. Potem podszedł do mnie i oznajmił, że to najkrótsza noc w roku i że za kilka godzin wstanie słońce, a wtedy zobaczę coś, czego nigdy dotąd nie widziałam. Więcej nie powiedział, a ja zachodziłam w głowę, jaką też fantastyczną niespodziankę mi zgotował. Zresztą szczytę się tym, że widziałam w życiu rzeczy, których większość śmiertelników nigdy nie oglądała, nawet mumię z Egiptu. Nie widziałam wprawdzie samego ciała w bandażach, ale podziwiałam złożony sarkofag, kiedy wieźli go przez Londyn do Enstone. Był to dar zacnej królowej Henrietty dla jednego z jej faworytów, który urządził jej cudowny ogród pełen różnych kontynentalnych osobliwości.

Widziałam też banana.

Cóż takiego mógł więc przygotować Jordan?

Czekaliśmy oboje i Jordan, przy wtórze cichego plusku wody o burty, opowiadał mi o miejscach, które odwiedził, i o roślinach, jakie przywiózł stamtąd do Anglii. Przemierzył wzdłuż i wszerz całą Francję i Italię, był też w Persji z Johnem Tradescantem. Tradescant zmarł wkrótce po tym, jak Jordan przywiózł do Anglii pierwszego ananasa, ale wcześniej przez lata zapełniał swój dom w Lambeth różnymi osobliwościami i rzadkimi okazami z najdalszych krańców ziemi. „Arka”, jak z upodobaniem nazywał swoje domostwo, była tak zagracona różnymi kuriozami, że gość mógł nie znaleźć miejsca, by powiesić kapelusz. Ale bywali tu wielcy tego świata, wśród nich król, i ja widziałam króla. Jakież jeszcze cuda mogłam zobaczyć?

– Spójrz – powiedział Jordan.

Byliśmy na pełnym morzu. Wokoło szare fale z białymi grzywami. W oddali, tam gdzie niebo zanurza się w wodzie, cienka kreska horyzontu. Żadnych ptaków, żadnych domów, ludzi, statków. Lekki wietrzyk rozwiewa włosy.

Potem ujrzeliśmy słońce. Zobaczyliśmy słońce wstające nad wodą, a jego blask był coraz głośniejszy, tak że musieliśmy go przekrzykiwać, żeby się wzajemnie słyszeć. Zobaczyłam jego refleks na twarzy Jordana, potem ostatni przebłysk latarni, a na tle nikszej tarczy księżycy zaczęły przemykać mewy, które brały się znikąd i sprawiały wrażenie zrodzonych przez słońce.

Staliśmy w miejscu na rozkołysanych wodach, aż pojawił się bezgłośnie sznur rybackich łodzi powracających z nocnego połowu. Pozdrowili Jordana i rzucili mu dwie ryby, a potem, popatrzwszy na mnie, dorzucili trzecią.

Przyniosłam bochen chleba, naszykowaliśmy sobie śniadanie i zostawiliśmy resztki krążącym nad nami mewom. Potem pożeglowaliśmy z powrotem; słońce grzało nam plecy, a kiedy wpływalismy na wody Tamizy, obejrzałam się raz za siebie. Zapamiętałam lśnienie wody i ogrom świata.

* * *

Lśnienie wody i ogrom świata.

Oglądałem nieustannie i to, i to od czasu, gdy zostawiłem matkę na brzegu czarnej Tamizy, ale w mojej pamięci tkwi wciąż jedno miejsce, do którego powracam, i to miejsce wcale nie najpiękniejsze ani najbardziej niezwykle.

Aby pozbyć się choć na chwilę brzemienia tego świata, pozostawiam moje ciało tam, gdzie się akurat znajduje, zajęte rozmową lub spożywające obiad, i wędruję płataniną krętych uliczek do pewnego oddalonego od drogi domostwa.

Uliczki są marnie oświetlone i tak wąskie, że rozłożywszy ramiona, można dotknąć murów po obu stronach. Ściany murszeją, bruk jest wyboisty. Ludzie wypełniający te uliczki wrzeszczą na siebie, a ich głosy unoszą się ponad morzem głów i szybują ku wieżom kościoła i wielkim spiżowym dzwonom obwieszczającym donośnie kres dnia. Wypowiedziane zdania, ulatując, zbijają się w gęstą chmurę ponad miastem, którą co pewien czas trzeba oczyścić z nadmiaru słów. Mężczyźni i kobiety wzbijają się z rynku w balonach i uzbrojeni w szczotki i miotły zmagają się z tą zawiesiną słów unieruchomionych pod słońcem.

Słowa stawiają opór. Najstarsze i najbardziej zawzięte tworzą grubą skorupę wściekłego jazgotu. Bywa tak, że wciąż jeszcze rozjuszone kłótnią kąsają czyścicieli; głośny był też wypadek, gdy pożarły miotłę i dotkliwie pogryzły rękę pewnej kobiecie, i ta pozwała do sądu antagonistów, z których ust owe słowa wyszły. Oskarżeni bronili się, twierdząc, że słowa nie należą już do nich. Minęły przecież lata. Czy to ich wina, że miasto nie może się uporać z tym słownym smogiem? Sędzia oddalił skargę, ale nakazał władzom miasta odkupić kobiecie miotelkę. Nie usatysfakcjonowało jej to, i w jakiś czas później przyłapano ją, jak wlewała wotriol do komina domu, w którym mieszkali winowajcy.

Pewnego razu wybrałem się z jedną taką czyścicielką w podniebną podróż i gdy miasto znalazło się daleko w dole, usłyszałem ku swemu zdumieniu cichy pomruk, jakby brzęczenie wielkiego roju pszczoł. Dźwięk ten narastał i narastał, aż upodobił się do zgiełku ptactwa, a potem do ogłuszającego wrzasku dzieciarni w ostatnim dniu nauki. Spojrzawszy tam, gdzie

wskazała mi kijem od miotły moja przewodniczka, ujrzałem tuż przed nami skłębioną wielobarwną masę. Wrzawa była teraz taka, że nie słyszeliśmy się wzajemnie.

Wycelowwała miotłą w wyjątkowo hałaśliwą jaskrawo-czerwoną grupkę słów, które, jeśli mogłem coś zrozumieć, uleciały wcześniej z ust kilku młodzieńców powracających z burdelu. Wywnioskowałem z zaciętego wyrazu twarzy mojej towarzyszki, że starcie z tymi akurat słowami napawa ją głęboką odrazą, ale zabrała się dzielnie do roboty i po chwili pozostał w tym miejscu tylko blad różowy ślad kilku najokropniejszych przekleństw.

Potem zaatakowała nas czarna chmura złorzeczeń, jakimi bluznął proboszcz przychwycony na obłapieniu własnej matki. Chmura słów spowiła balon, tak że zacząłem się obawiać o nasze życie. Nie mogłem dostrzec mojej przewodniczki, ale słyszałem, jak kaszle i krztusi się od trujących wyziewów. Nagle zrosił mnie jakiś płyn o słodkiej woni i znów zrobiło się widno.

– Przegnałam to paskudztwo święconą wodą – powiedziała kobieta, pokazując mi kamienny dzban z biskupią pieczęcią.

Od tej chwili szło nam już znacznie łatwiej. Właściwie to żał mi było bezlitośnie zmiotanych miłosnych westchnień młodych dziewcząt. Moja towarzyszka – choć jak mi powiedziała, było to surowo zabronione – złapała sonet do drewnianej szkatułki i podarowała mi go na pamiątkę. Kiedy uchylę nieco wieko, powiedziała, usłyszę sonet, powtarzający się w nieskończoność, bo musi on tak rozbrzmiewać, dopóki ktoś go nie uwolni.

U schyłku dnia przyłączyliśmy się do innych balonów, zmiatając po drodze zabłąkane niedobitki słów. Niebo o zachodzie przypominało żyłkowany marmur i wokół panowała atmosfera wielkiego spokoju. Kiedy zniżaliśmy się w kryształowo czystym powietrzu, mijały nas szybujące w górę stadka nowych słów wypowiedzianych przez ludzi, którzy znękani trudami życia obracali sprawy najcięższego kalibru w zjawiska najlżejsze z najlżejszych.

Wylądowaliśmy w pobliżu uniwersytetu, gdzie uczeni mężowie, których spory tak zageęściły atmosferę, że biedacy od pięciu lat nie widzieli słońca ani nie zaznali deszczu, przywitali nas jak bohaterów i zaprosili na biesiadę.

Tej samej nocy dwoje kochanków gruchających pod ołowianą kopułą kościoła zabiła ich własna namiętność. Rój słów, nie mogąc przebić solidnej ołowianej powłoki, tak gęsto wypełnił do ostatniego zakamarka przestrzeń pod kopułą, że uszło z niej całe powietrze. Kochankowie udusili się, a kiedy zakrystian otworzył prowadzące tam drzwiczki, słowa, szukając ujścia, runęły nań całą chmarą, zwały go z nóg i przemknęły nad miastem, przybrawszy postać gołębi.

* * *

Kiedy Jordan był mały, robił łódki z papieru i puszczał je na rzece. Zrozumiał dzięki temu, jak wiatr działa na żagle, ale nie dowiedział się, co miłość czyni z sercem. Od jego cierpliwości

większa była tylko ozywiała go nadzieja. Całymi dniami, a często i po nocach, ślęczał nad deszczułkami z rozbitych skrzynek do transportu drobiu, a każdy skrawek papieru, który udało mu się wykraść, stawał się żaglem. Przyglądałam mu się, jak stoi w błocie lub leży na brzuchu, dotykając niemal nosem wody, i ustawia łódkę, a potem puszcza ją z wiatrem. Łódka pływała i płynęły godziny jego życia. A gdy nadszedł właściwy czas, zrobił to samo ze swoim sercem. Nie wierzył w katastrofy.

Wracał do domu ze szczątkami łódeczki, z twarzą zalaną łzami. Naprawialiśmy przy świetle lampy co się dało, a kolejny dzień był znów dniem pierwszym i wszystko zaczynało się od nowa. Ale kiedy przeżywał miłosny zawód, nie było nikogo, kto by z nim usiadł przy lampie. Był sam.

* * *

W mieście słów, o którym wam opowiedziałem, był dom wypełniony charakterystycznym zapachem poziomek, dom, o którym opowiedzieć jeszcze nie zdążyłem.

Pędy tych roślinek wypełzały z małych, obramowanych kamieniami grządek, pięły się po donicach z terakoty, a potem po rdzewiejących prętach ogrodzenia, i rozrastając się, pokrywały wielkie kamienne płyty, którymi wyłożone było podwórko. Ktokolwiek wchodził przez główną bramę, stawał w obliczu falującego morza zieleni upstrzonej maleńkimi czerwonymi jagódkami, z których kilka, uwieczonych w pajęczej sieci, wyglądało jak zapomniane rubiny. Dróżka prowadziła do dębowych drzwi, za nimi zaś znajdowała się kwadratowa sień z kolejnymi drzwiami. W sieni stały cztery zbroje, była tam też buława.

Rodzina zamieszkująca ten dom miała osobliwy zwyczaj; żaden z domowników nie dotknął nigdy stopą podłogi. Otwierasz drzwi do sieni i widzisz, że podłóg tam nie ma, a zamiast nich zieją bezdenne czeluście. Meble są podwieszane na hakach u sufitów, stół zwisa na grubych łańcuchach. Zasiadanie do stołu to dziwaczna operacja, bo gość musi usadowić się w złożonym krześle, po czym windują go na właściwe miejsce. Przychodzi ostatni, gospodarze siedzą już i gwarzą wesoło, huśtając nogami nad otchłanią, w której żyją krokodyle. Każdy biesiadnik ma mnóstwo szklanek, kielichów i sztućców, na wypadek, gdyby coś niechcący upuścił. Resztki z obiadu zgarnia się i wrzuca do dołu, skąd dobiega straszliwy chrzęst i mlaskanie.

Kiedy już wszyscy się nasycą, panowie pozostają przy stole, panie zaś, uszeregowane według starszeństwa i pozycji, przechodzą po rozpiętej linie do innej komnaty, gdzie mogą się uraczyć biskoptami i winem rozcieńczonym wodą.

Wszyscy wiedzą, że strop jednej komnaty jest podłogą innej, ale domownicy ignorują banalną konieczność chodzenia dołem i poruszają się w górze, uznając sufity, lecz lekceważąc podłogi. Ich dom jest zatem w gruncie rzeczy otchłanią bez dna; przemieszczają się, wykorzystując rozmaite systemy wind lub lin, i wymieniają pozdrowienia, gdy się mijają.

Dom jest teraz pusty, ale to właśnie tu, wisząc przy obiedzie, urozmaicanym konwersacją i wzbogaconym nadzwyczajną soczystością dzikiej kaczką, dostrzegłem kobietę, której twarz była podróżą morską – podróżą, jakiej dotychczas nie odważyłem się odbyć.

Nie zamieniłem z nią słowa, choć rozmawiałem z pozostałymi biesiadnikami, ona zaś o północy założyła miękkie cizemki i pewnym krokiem odeszła po linie. Była tancerką.

Spałem tej nocy kiepsko w moim wiszącym łożu. Świt zastał mnie w oknie, obwiązanego w pasie sznurem. Księżyc był jeszcze widoczny: wydawało mi się, że jestem bliżej niego niż ziemi. Wiatr szumiał mi w uszach.

Wtedy ją zobaczyłem. Zsuwała się z okna po cienkiej linie, którą schodząc, kilkakrotnie odcinała i wiązała ponownie. Wyteżyłem wzrok, żeby nie stracić jej z oczu, ale po chwili zniknęła.

* * *

Musiało to być gdzieś około 1640 roku, gdy Jordan, który miał wtedy jakieś dziesięć lat, spotkał Johna Tradescanta na brzegu parującej od upału Tamizy. Lato było tak gorące, że gospodynie nie musiały rozniecać ognia, aby upiec prosię; wystarczyło je spętać i pozostawić przez godzinę na podwórku. Miałam wrażenie, że zabójcze, napływające rytmicznie fale spiekoty docierają do nas z samych wrót piekieł i jestem pewna, że na Sądzie Ostatecznym ci, którzy nie znajdują się po stronie aniołów, poczują taki sam żar na swych twarzach i pod stopami, jako zapowiedź czekających ich mąk piekielnych. Wystarczyło, że wyszłam na chwilę za próg, a wypociałam z siebie tyle płynu, że można by tym napęścić wiadro. Wraz ze strugami potu spływały ze mnie niezliczone wszy i inne płochliwe stworzenia, a ponieważ zmuszona byłam wchodzić co i raz pod pompę, mogę z ręką na sercu powiedzieć, że byłam wtedy wyjątkowo czysta.

– Czystość jest siostrą pobożności – zauważył jakiś przechodzący purytanin.

– Bóg patrzy na serce, a nie na przyodziewek nędzarki – odparowałam z miejsca, ale nie powstrzymało go to od wygłoszenia kazania, które wyrecytował z pobożną miną, przewracając oczami jak królik.

Prawda jest taka, że ferment w mieście powstał nie tylko na skutek upału, ale także dlatego, że król zdawał się napuszczać na nas papistów, w parlamencie wrzało, a Cromwell ze swoim wielkim, graniastym łbem jeszcze jątrzył i judził.

Pewnego dnia Jordan wstał wcześniej rano, żeby pobawić się swymi łódeczkami, a ja obiecałam mu, że po uporządzeniu psiarni dam mu jabłko. Mrużąc oczy przed słońcem, wyruszyłam, żeby go poszukać, i zobaczyłam, jak siedzi w oddali na spróchniałym pomoście. Obok niego przysiadł jakiś mężczyzna. Przyśpieszyłam kroku, podejrzewając, że może to być

jeden z tych gładkolicych łotrów, co to porywają dzieci.

Kiedy się zbliżyłam, Jordan pomachał mi ręką, a nieznajomy dżentelmen wstał i skłonił się lekko, czym od razu bardzo mnie ujął, a następnie przedstawił się jako John Tradescant. Po krótkiej pauzie dodał: „Ogrodnik Jego Królewskiej Mości”.

Był postawnym mężczyzną po trzydziestce i nie okazywał najmniejszego strachu, że nadjezdzony przez robaki pomost może się lada chwila pode mną rozsypać, bo chybotął się jak gniazdo strzyżyka pod ciężarem atakującego gawrona. Zaprosił mnie, bym usiadła, ale zlitowałam się nad nim i zbiegłam pośpiesznym truchcikiem na brzeg. On zaś przykucnął, pogrzebał w swej podróźnej torbie i dobył z niej trzy brzoskwinie. Jedną podał mnie, drugą Jordanowi, który ujął ją w dłonie, jakby to była kryształowa kula.

– Sam je wyhodowałem – rzekł Tradescant. – Jecie owoce z królewskiego drzewka.

Potem zatopił zęby w brzoskwini i oblał się cały sokiem. Ostrożnie nadgryzłam swoją, ale bardziej delikatnie, jak damie przystało. Jordan stał tylko jak ciele, aż musiałam go przywołać do porządku.

Tradescant powiedział mi, że przeszedł pieszo wzdłuż rzeki od Putney do Mermaid Dock, biedząc się po drodze nad rozwiązaniem pewnego problemu. Nagle zobaczył żeglującą łódeczkę i tak oczarowała go swoboda, z jaką ta płynęła przed siebie, że zapomniał o swym melancholijnym nastroju i zaczął rozpamiętywać własne wyprawy morskie. Przez całe lata, aż do śmierci ojca w 1637 roku, żeglował do egzotycznych krain w poszukiwaniu sadzonek rzadkich roślin, jakich zwykli śmiertelnicy w życiu nie widzieli. Umieszczał je w muzeum swego ojca i w ogrodzie z ziołami leczniczymi w Lambeth. Po śmierci ojca zmuszony był powrócić z podróży po Wirginii i objąć dziedziczną posadę królewskiego ogrodnika. Lubił to zajęcie, ale czasami odczuwał dziwną pustkę wewnętrzną i wtedy uświadamiał sobie, że sercem jest wciąż na morzu.

– Mężczyzna musi być odpowiedzialny – powiedział – ale nie zawsze sam wybiera obowiązki, jakie na nim ciążyą.

– To prawda – przytaknęłam. – A dla kobiety to diabelskie brzemię jest podwójnie ciężkie.

Gdy nieco wcześniej Tradescant stał na brzegu jak wyciosany z kamienia i obserwując żagielek, rozmyślał intensywnie, nadbiegł brzegiem Jordan, który głośnymi okrzykami zachęcał łódkę, by płynęła zwawiej. Pochłonięty zabawą, nie zauważył nóg Tradescanta, nie dziwota więc, że po chwili leżeli obaj jak dłudzy na ziemi, przy czym Jordanem miały sprzeczne uczucia: z jednej strony bał się lania, z drugiej – utraty swej łódki. Tymczasem Tradescant pomógł mu się pozbiierać, uratował łódkę, a potem zabrał chłopca razem z żaglówką na pomost i tam właśnie ich zastałam.

Pokazał Jordanowi, jak wydłużyć rudel, żeby łódka mogła bezpiecznie żeglować po głębszej wodzie, opowiedział mu o groźnych skałach sterczących z oceanu, czasami jedynym lądzie, jaki

zdołało dostrzec ludzkie oko, łądzie bezludnym, pozbawionym śladów życia, jeśli nie liczyć skrzeczącego przeraźliwie ptactwa. Opowiadał też, że morza są bezkresne, a zatem można po nich żeglować bez końca. I że każda zaplanowana, wykreślona na mapie podróż kryje w swoich szlakach jakąś inną...

Obruszyłam się na te słowa, bo przecież wiadomo, że ziemia to zwykły twór z krwi i kamienia, całkiem przy tym płaski. Gdybym tylko zechciała, mogłabym bez trudu przejść z jednego jej krańca na drugi. A gdyby zapragnęła tego cała ludzkość, nie pozostałby na niej żaden nie odkryty zakątek. Po co więc bając o podróżach składających się i rozciągających niczym miechy jakiejś harmonii?

Ale Jordan mu uwierzył. Kiedy Tradescant sobie poszedł, ruszyliśmy do domu: chłopiec w podskokach, z łódką w dłoniach, ja parę kroków za nim. Patrzyłam na jego drobną sylwetkę, na czarne włosy, i zastanawiałam się, kiedy jego statki staną się zbyt duże, by mógł je unieść, i kiedy jeden z nich uniesie jego samego w dal, a ja stracę go bezpowrotnie.

Jak bardzo jestem szpetna?

Mam kaczy nos i krzaczaste brwi. Zostało mi tylko kilka zębów, a i te nie przedstawiają pięknego widoku, takie są szerniałe i połamane. Przeszłam w dzieciństwie wietrzną ospę i teraz w dziobach na mojej twarzy z powodzeniem mogłyby się zagnieździć pchły. Ale mam też ładne niebieskie oczy, które widzą w ciemnościach. Co do mojego wzrostu, mogę tylko powiedzieć, że zanim jeszcze znalazłam Jordana, przyjechał do Cheapside wędrowny cyrk i mieli tam słonia. Wszyscy byli zachwyceni widokiem tego kolosa z wijącym się, długim nochalem. Numer ze słoniem polegał na tym, że bestia siadała na specjalnym krześle niczym jakiś wytworny dżentelmen z monoklem w oku. Na drugim końcu belki było inne wielkie krzesło i rzecz polegała na tym, żeby usadowiła się w nim na dowolny sposób dostatecznie wielka liczba osób, aby stworzyć przeciwwagę dla Samsona, bo tak nazywał się słon. Nikomu się to nie udało, choć nagrodą była wielka beczka piwa.

Pewnego wieczoru, przyozdobiwszy sobie włosy kolorową wstążką, przepchnęłam się na arenę, żeby spróbować, czy nie uda mi się w pojedynkę dokonać tej sztuki. Przyjrzałam się Samsonowi i oszacowałam, że nie jest dla mnie zbyt duży. Złapałam więc za kark jegomościa, który bez przerwy pohukiwał i szydził z gawiedzi, że boi się zmierzyć ze zwykłym zwierzem, i oświadczyłam, że ja usiądę na huśtawce.

– Ależ, madame! – zasyczał ów padalec. – Nie wazysz chyba, pani, więcej niż anioł!

– Chyba nie czytałaś w ogóle Pisma Świętego – odparłam. – Bo nie ma w Ewangelii najmniejszej wzmianki o wadze aniołów.

Wzniósł oczy do nieba, bo tylko to mógł tam wznieść, po czym zaczął walić w bęben i zawodzić jak na pogrzebie, nawołując, by wszyscy podeszli bliżej i przygotowali się na

widowisko. Wkrótce nie miałam czym oddychać, taki gorąc bił od stłoczonych wokół mnie ciał, a i samego słonia trzeba było orzeźwić wiadrzem zimnej wody.

– Pozwól, pani, że zaprowadzę cię na twoje karło – rzekł krzywonogi chłystek, błyskając i pobrzękując dzwoneczkami na kapeluszu.

Jestem kobietą z natury uległą, więc pozwoliłam mu się zaprowadzić.

– Muszę cię przeszukać – powiada nagle ta kreatura, łypiąc ślepiami w stronę publiki. – Muszę sprawdzić, czy nie masz na sobie ołowianych ciężarków albo jakiegoś innego balastu.

– Nie waż się mnie tknąć palcem! – zawołałam. – Pokażę ci sama. – I zadarłam kieckę aż na głowę. A nie miałam nic pod spodem, bo było gorąco. Wielu zemdłało, słyszałam też, jak ktoś wykrzykuje, żem wielka jak, nie przymierzając, góra. Tak czy inaczej, uciszyło to mojego jaśnie pana głupka, który nie wspominając już o przeszukaniu, wskazał mi po prostu, gdzie mam usiąść.

Wzięłam głęboki oddech, napełniłam płuca powietrzem i całym swoim ciężarem zwałyłam się na krzesło. Rozległ się ryk publiczności. Otworzyłam oczy i spojrzałam w stronę Samsona. Słoń zniknął. Jego siedzisko huštało się puste w powietrzu jak krzesło-huštawka na wiejskiej werandzie, leżał na nim monokl. Spojrzałam wyżej, idąc za wzrokiem publiczności. I tam, hen, wysoko, zobaczyłam Samsona niczym czarną gwiazdę na białym niebie.

Wyrzucić słonia pod niebo to dla kobiety poważne wyzwanie. Czy moje rozmiary mają tu coś do rzeczy, trudno powiedzieć, bo słoń wygląda na wielkiego, ale skąd wiadomo, ile waży? Balon też na oko jest wielki, a nie waży nic.

Wiem, że ludzie się mnie boją; albo przeraża ich ujadanie moich psów, albo to, że góruję nad wszystkimi wzrostem. Kiedyś, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, ojciec wziął mnie na kolana, żeby opowiedzieć mi bajkę, i pękły mu pod moim ciężarem obie nogi. Od tego czasu już mnie nie dotykał, chyba że końcem batoga, którym ćwiczył psy. Ale moja matka, która żyła krótko i była tak lekka, że kiedy było wietrzno, bała się wyjść z domu, potrafiła wziąć mnie na plecy i nosić całymi milami. Ludzie mówili wtedy o czarach, ale cóż jest na świecie silniejszego od miłości?

Kiedy Jordan był mały, sadzałam go na dłoni tak, jak się sadza szczeniaki, podnosiłam go na wysokość twarzy i pozwalałam mu łowić pchły w moich dziobach po ospie.

Był zawsze szczęśliwy. Oboje byliśmy razem szczęśliwi, a jeśli nawet widział, że jestem większa niż inni, nigdy o tym nie wspomniał. Był ze mnie dumny, bo żadne dziecko nie miało matki, która potrafiłaby wpakować do gęby tuzin pomarańczy naraz.

Jak bardzo jestem szpetna?

Pewnego ranka, wkrótce po wybuchu wojny domowej, która powinna się była skończyć po miesiącu, a trwała osiem lat, przyszedł do nas Tradescant i zaczął się dopytywać o Jordana. Klóciłam się właśnie z sąsiadem, ponurym klocowatym typem o zapadniętych policzkach, z zezowatymi ślepiami i nosem, na którym można było wieszkać kapelusze. Ów śmierdziel

dowodził, że król popełnił błąd, wszczynając wojnę ze swym własnym ludem. Odparowałam, że gdyby ci wyszczekani Szkoci, którzy zawsze rwą się do bitki, nie zaczęli znów swoich brudnych sztuczek, do wojny by nie doszło. Żyliśmy z królem i bez parlamentu jedenaście lat, a teraz mamy tylko parlament, króla zaś jak na lekarstwo.

Jak było mi wiadomo, a zbyt wykształcona nie jestem, król był zmuszony domagać się od parlamentu, żeby dali mu pieniądze na wojnę z tymi bestiami w spódniczkach, które zaczęły swoje dzikie wybryki. A zdiczelili do imentu, toteż biedny król próbował ich tylko nakłonić, żeby korzystali z właściwych modlitewników. Nie mieli bowiem żadnych i zupełnie nie po chrześcijańsku zagrażali monarchii. Król, zwracając się do swego ludu, napotkał na opór parlamentu pełnego purytan, którzy nie chcieli mu dać pieniędzy, dopóki nie przeprowadzi reform po ich myśli. Niezadowoleni z Kościoła anglikańskiego, pozostawionego nam w spadku przez zacnego króla Henryka, domagali się ustanowienia czegoś, co nazywali Kościołem Bożym.

Twierdzili, że król jest lekkomyślnym rozrzutnikiem, że biskupi są skorumpowani, że w naszym anglikańskim modlitewniku roi się od papistowskich przesądów i że królowa, jako Francuzka, musi ich też być pełna. Och, jakże oni nienawidzili wszystkiego, co miało rozmach, było piękne i pełne życia. Chodzili w tych swoich szaroburych kaftanach i z szarymi gębami. Jedynym bardziej fantazyjnym drobiazgiem były ich chusteczki, które lubili przyozdabiać koronkami. Dbali też o to, by były śnieżnobiałe, tak samo jak – we własnym mniemaniu tych typków – ich dusze. Widywałam purytan, którzy przechodząc obok teatru, gdzie królowa ogólna wesołość i zabawa, zakrywali tymi wykrochmalonymi chustkami nosy, jakby bali się ową wesołością zarazić.

Kiedy już zdobyli trochę władzy, w mig pozamykali wszystkie teatry w Londynie.

A czyż nasz Zbawiciel nie przemienił wody w wino?

Nasz własny duszpasterz stał się wkrótce purytaninem i zaczął atakować króla w swych kazaniach.

– Kaznodziejo Scroggs – powiedziałam pewnego ranka, gdy wygłosił kazanie, zaczynając od wersetu „I szczególnie pamięć o wszelkich niegodziwcach” – czyżbyś nie wiedział, że nasz król panuje z mocy Prawa Bożego?

– Myśl lepiej o Królu na niebiosach, pani – odrzekł. – Władzę na ziemi sprawuje niepodzielnie szatan.

Słyszałam od jego żony, że chędoży ją przez dziurę w prześcieradle. „I nie uznaje pocałunków?” – zapytałam. „Nigdy mnie nie pocałował – odparła – bo obawia się przyływu żądz”.

Pomyślałam sobie, że żądza musi być zaiste potężną siłą, skoro całowanie takiej jak ona kobiety, podobnej z jej wielkimi uszami i wytrzeszczonymi oczami do zająca, potrafi ją wzbudzić.

Prawdą jest, że człowieka zawsze spotyka to, czego ów najbardziej się obawia.

Mój sąsiad, który ma słabość do kaznodziei Scroggsa, jako że swój ciągnie do swego, zaczął mi z pompą prawić o woli Boga, tak jakby znał Go równie dobrze, jak ja znam swoje psy. Byłam zatem zmuszona go zakrzyczeć, bo rozumne argumenty byłyby w wypadku tego tępego kloca stratą czasu. I właśnie wtedy pojawił się Tradescant.

– Niechże się waćpani uspokoi – powiedział swym łagodnym głosem.

Odwrociłam się i choć nie widziałam człowieka od dwóch lat, od razu go rozpoznałam.

– Panie Tradescant – rzekłam – ja występuję w obronie króla.

– To wielce szlachetne – powiedział.

Na co mój sąsiad oświadczył, że nigdy nie klęknąłby przed królem, nie klękając wcześniej przed Jezusem.

I że lada dzień ziemię wezmą we władanie święci, a wtedy wszyscy grzesznicy zostaną spaleni i skazani na wieczne potępienie.

Nie miałam innego wyboru, jak tylko go udusić, i choć posłużyłam się tylko jedną ręką, by przytrzymać go łokieć nad ziemią, spurpurowiał cały na gębie, a biedny John Tradescant uwiesił mi się na ramieniu niczym małpa, błagając mnie, żebym przestała.

– Oszczędzę go dla waści, sir – powiedziałam i upuściłam nędznika prosto w jego własne ekskrementa.

Nie zawracałam sobie nim już głowy, tylko zaprosiłam Tradescanta do domu na kwaterekę piwa. Był trochę blady, bez wątpienia utrudzony podróżą.

– Przyszedłem porozmawiać o Jordanie – powiedział. Wyglądało na to, że potrzebuje pomocnika w Wimbletonie, gdzie urządzał wielki ogród dla królowej Henrietty. Nie dopuszczał myśli, żeby zamęt w kraju miał mu w tym przeszkodzić. Umyślił sobie, że ogród będzie czymś w rodzaju pomnika dla odwagi królowej, gdy ta wróci triumfalnie z kontynentu do króla, przywożąc z sobą dzieci, teraz dla bezpieczeństwa ukrywane.

Jakże jednak mogłam się wyrzec tak drogiego memu sercu Jordana, mojej jedynej pociechy?

Tradescant próbował mnie przekonać na wszelkie sposoby. Trwałam w uporze, twierdząc, że droga jest zbyt daleka, by mój chłopiec zdołał ją przebyć w jeden dzień. A jednak chciałam, by dostał to zajęcie, wiedziałam bowiem, jak wielką przyjemność sprawi mu widok wszystkich tych egzotycznych roślin zebranych w jednym miejscu. W końcu znalazłam rozwiązanie.

– Pojadę z nim – oświadczyłam.

Tradescanta najwyraźniej to zaskoczyło, więc ciągnęłam dalej:

– Chętnie pooddychałabym trochę powietrzem Wimbletonu.

– Nie miałabyś, pani, tam gdzie mieszkać – rzekł. – Jordan będzie musiał dzielić kwaterekę z innymi.

Znam się niezłe na architekturze, sama zbudowałam swoją chatę, więc zapewniłam

Tradescanta, że potrafię postawić i drugą.

Rozłożył ręce z westchnieniem; wiedziałam już, że się poddaje.

– I muszę zabrać ze sobą psy.

Zapytał mnie, ile ich jest, więc zapewniłam go, że teraz tylko parę sztuk.

– Kiedy mogę się spodziewać waszego przyjazdu?

– Wyruszymy w drogę jutro. Któreśdy jedzie się do Wimbledonu?

Powiedział, że woźnica dylizansu będzie na pewno wiedział, a ponieważ widziałam, że mu się śpieszy, nie męczyłam go dłużej pytaniami. Pomyślałam sobie, że dowiem się wszystkiego od oberżysty spod „Cierniowej Korony”.

Trzy dni później do pana Tradescanta przybiegł z krzykiem jakiś matolek, który śliniąc się i jękając, oznajmił, że do ogrodu wtargnął szatan razem ze swą piekielną sforą. Tradescant ruszył pędem do głównej bramy, by stwierdzić – zapewne ku swej wielkiej uldze – że to tylko ja z Jordanem trzymającym mnie za rękę.

– Twoje psy... – zaczął i zobaczyłam, że jabłko Adama chodzi mu w górę i w dół.

– Owszem – odparłam. – Jest ich co najwyżej trzydzieści i tylko pięć nadaje się do dalszej hodowli.

Tradescant był dżentelmenem, więc choć nasz widok wyraźnie go zaszokował, opanował się szybko i zapytał, czy może zapłacić woźnicy, a może i wysłać kogoś, by pomógł przynieść bagaże.

– Nie ma tu żadnego woźnicy – powiedziałam mu – a cały nasz dobytek mam ze sobą.

Uniosłam do góry czerwony tobolek, który wyglądał jak wielki świąteczny pudding. Jordan ścisnął swoją łódkę pod pachą.

– Ale jakże...

– Na piechotę – odparłam. – A kiedy Jordan się zmęczył, brałam go na plecy.

Tradescant nie odrzekł nic, tylko próbował podnieść mój toból, ale natychmiast runął jak długi na ziemię pod jego ciężarem. Bardzo troskliwie, jak czyni to doświadczona matka, wzięłam go w ramiona razem z tłumokiem i z orszakiem trzydziestu psów, który zamykał Jordan, przekroczyliśmy bramy wielkiego domostwa, rozpoczynając w ten sposób nowe życie jako słudzy Jego Królewskiej Mości.

* * *

Przespałem niespokojnie dwie godziny w swoim wiszącym łożu, po czym nękany objawami choroby morskiej opuściłem się na dół, żeby zjeść śniadanie.

Gospodarze byli tego ranka pochłonięci strzelaniem z łuków, tak więc przeprosiwszy ich, mogłem się udać do miasta na poszukiwania tancerki. Nikt z domowników nie przypominał jej

sobie, choć jak to było możliwe, zważywszy, że jej uroda dosłownie unicestwiała całą resztę niczym płomień, pojąć nie mogłem.

Zacząłem od teatru, potem poszedłem do opery, wreszcie z rosnącym niepokojem zacząłem penetrować coraz późniejsze przybytki rozrywki i grzesznych uciech: kawiarnie, kasyna gry, zamtuzy, aż wreszcie trafiłem do domu, w którym pewien bogacz trzymał prostytutki dla swoich przyjaciół. Kobiety te były mi bardzo przychylnie, nalegały wszakże, żebym wrócił w kobiecym przebraniu, a wtedy być może zostanę wpuszczony do środka. Jako mężczyznę, nawet cnotliwego, wyrzuciliby mnie niechybnie albo zrobiliby ze mnie eunucha.

Posłuchałem ich rady i przyszedłem powtórnie w wypożyczonym prostym stroju. Pochwaliły moje przebranie, a potem, pełne podziwu dla gładkości mego lica, zaczęły mnie głaskać po twarzy, aż musiałem się zarumienić.

Piliśmy lekkie wino, a kiedy przyszedł nadzorca i zapytał, z kim to się tak zabawiają, jedna z dziewcząt wstała i przedstawiła mnie jako kuzynkę z prowincji.

O tancerce nic nie wiedziały. Nie należała do ich kręgów towarzyskich, ale przyrzekły mi, że popytają o nią wśród przyjaciół i znajomych.

Jak mogły znieść takie odosobnienie?

Ich buduary były bardzo wygodne, pełno w nich było kanap, łóżek i przeróżnych gier, ale żadnej z dziewczyn nie wolno było wychodzić.

Jak mogły żyć w tak ograniczonej przestrzeni?

Gdy o to zapytałem, zapadła cisza i miałem przez chwilę wrażenie, że komunikują się ze sobą bez słów. Potem jedna przemówiła i wyjaśniła mi, że nie jest to aż tak straszne więzienie, jak by się wydawało. Że w nocy mogą wychodzić i przychodzić, kiedy tylko zechcą.

Jakże to? Dom był ogrodzony wysokim parkanem, Każde drzwi miały po trzynaście zamków. Okna były zbyt wysoko, by można było ich dosięgnąć, a świetliki w stropie, choć ciągle uchylone, nie dawały się całkiem otworzyć.

Tuż obok domu przepływał strumień. Zmierzając do rzeki, która podążała do morza, przepływał pod siedzibą zgoła innego zgromadzenia kobiet, a mianowicie zakonnice. Ów klasztor, w którym mieścił się zakon Matki Bożej, miał wjazd do piwnic usytuowany dokładnie nad strumieniem. Co noc kobiety, które chciały się zabawić w mieście, odwiedzić przyjaciół lub zjeść kolację z ukochanym, rzucały się w wartki nurt, a ten nioś je w stronę klasztoru. Zakonnice, które miały w zwyczaju czuwać nocą przy strumieniu, błyskawicznie wyławiały wielką siecią na krewetki wszystkie przemykające z impetem obok nich kobiety.

Niektóre z kobiet miały w klasztorze kochanki, inne, które trzymały tam swe przebrania, przedostawały się tamtędy do świata zewnętrznego. O świcie wpuszczano je do wody; płynąc z wielkim wysiłkiem pod prąd, dostawały się na powrót do tej zaryglowanej cytadeli.

Ich właściciel, krótkowzroczny osobnik o raczej miernej inteligencji, nigdy się nie

zorientował, że jego podopieczne wciąż się zmieniają. W mieście panowała cicha zgoda co do tego, że jeśli jakaś kobieta chce szybko zbić fortunę, powinna udać się do tego domu i obrabować klienta lub ukraść kosztowne, rzekomo zabezpieczone przed kradzieżą przedmioty, które zdobyły ściany. Samolubny właściciel, dla którego życie ludzkie było tylko takim samym towarem jak inne, nawet o tym nie wiedząc, sfinansował przyszłość tysięcy kobiet, które teraz prowadziły własne sklepy lub zajmowały się handlem na wielką skalę. Sam jeden opłacał też zaopatrzenie słynnych piwnic klasztornych w przednie wina oraz zakupił niezliczone lichtarze i inne ozdoby na ołtarz.

Po latach dowiedziałem się, że gdy pewnego dnia odwiedził swój przybytek rozkoszy, nie zastał tam ani kobiet, ani kosztowności. Nigdy nie pojął, co się stało, i nie łączył tej sprawy z nagłym wzrostem liczby zakonnice w nowicjacie zakonu Matki Bożej.

Spotkałem w życiu wielu, którzy pragnęli uwolnić się od brzemienia przypisanej im płci; mężczyźni przebierali się za kobiety, kobiety za mężczyzn.

Po moich doświadczeniach wśród prostytutek postanowiłem na jakiś czas pozostać kobietą i przyjąłem pracę na straganie z rybami.

Zauważyłem, że kobiety mają swój specyficzny, prywatny język. Język o konstrukcji zgoła odmiennej niż mowa mężczyzn, tworzący system znaków i wyrażeń, gdzie zwykłe słowa tworzą pewien kod, w obrębie którego mają inne znaczenie niż tradycyjnie im przypisane.

W swoich kobiecych szatkach wciąż pozostawałem podróżnikiem po obcej krainie. Przyglądano mi się podejrzliwie.

Obserwowałem kobiety, jak flirtują z mężczyznami, jak im dogadzają, jak ubijają z nimi interesy, a potem widziałem, jak śmieją się do rozpuku, opowiadając sobie o spletanym im figlach, podczas gdy mężczyźni, niczego nieświadomi, czuli się wciąż panami sytuacji, chełpili się po barach swymi wyczynami i głosili z ambony komunały o słabszej płci.

Owa konspiracja kobiet zaszokowała mnie. Lubię kobiety; oneśmielają mnie wprawdzie, ale żywię do nich wielki szacunek. Nigdy się nie domyślałem, jak bardzo nas nienawidzą, ani też jak wielkie budzimy w nich współczucie. Uważają nas za dzieci rozpущzone zbyt dużym kieszonkowym. Właścicielka straganu z rybami ostrzegła mnie, żebym nigdy nie próbowała oszukać innej kobiety, ale starała się zawsze żądać dwa razy więcej od mężczyzny lub przynajmniej wcisnąć mu nieświeży towar.

– Mają stępiący węch – powiedziała. – Nie potrafią odróżnić jednodniowego homara od świeżego.

I kazała mi zapamiętać, że kobieta raz oszukana nigdy tego nie zapomni i pewnego dnia, nawet po latach, odplaci pięknym za nadobne, podczas gdy mężczyzna zrobi awanturę, będzie wrzeszczał albo nawet przyłoży, ale szybko pochłonie go coś innego.

Zatroskana, że nie wiem nic o mężczyznach, chcąc mnie wszystkiego nauczyć, sporządziła

mi spis zasad, z którego przytoczę pierwszą stronę.

1. Mężczyzn łatwo zadowolić, ale szybko się znudzą, jeśli nie zaznają co pewien czas czegoś nowego.
2. Mężczyźni łatwo się roznamiętniają, ale ich namiętność równie szybko paruje.
3. Mężczyźni poszukują kobiet łagodnych, ale szybko popadają w ruinę, jeśli nie mają przy sobie kobiety twardej.
4. Mężczyźni muszą mieć ciągle jakieś zajęcie, inaczej zawsze coś zbroją.
5. Mężczyźni uważają się za poważnych i solidnych, w odróżnieniu od kobiet, które są ich zdaniem lekkomyślne i płocze. Dlatego też łatwo uwiązać im kamień u szyi i utopić ich, gdy stają się zbyt uciążliwi.
6. Mężczyznom najlepiej pozwolić, by pozostawali w męskiej kompanii. Cała ich energia wyczerpie się w pijaństwie i rywalizacji, a wtedy kobieta może swobodnie pokierować własnym życiem.
7. Mężczyznom nigdy, ale to przenigdy, nie można powierzyć tego, co jest najdroższe twemu sercu, a jeśli tym czymś są właśnie oni, nie można im tego mówić.
8. Jeśli mężczyzna poprosi cię o pieniądze, nigdy mu ich nie dawaj.
9. Jeśli ty poprosisz mężczyznę o pieniądze, a on odmówi, sprzedaj to, co ma najcenniejszego, i z miejsca go porzuć.
10. Twoją największą siłą jest głębokie przekonanie każdego mężczyzny, że zna cenę i możliwości każdej kobiety.

Bardzo mnie przygnębiła lektura tej pierwszej strony, ale przyjrawszy się dokładnie sobie i zachowaniu tych, którzy mnie otaczali, musiałem przyznać, że wszystko to prawda. Przytłaczający mnie ciężar stał się tak nieznośny, że nie mogłem podnieść się z miejsca. Rozejrzałem się dokoła i spostrzegłem, że tkwię w długim szeregu takich samych nieszczęśników, którzy przysiedli jak kruki na powalonym drzewie. Wszyscy skomleli żałośnie i nikt nie mógł się ruszyć, przygnieciony brzemieniem swych trosk.

Szczęśliwie ręce miałem wolne, sięgnąłem więc do kosza z rybami, wyciągnąłem czerwonego cefala i zacząłem nim wymachiwać nad głową.

Wkrótce nadleciało stado rybitw, skrzecząc na widok łakomego kąska. Pomachałem drugą rybą i tak jak się spodziewałem, ptaki zaczęły pikować, żeby porwać żer.

Dzioby zakleszczyły się na przynęcie, ale ja nie puszczałem i rybitwy, rozwścieczone moim oporem, machały skrzydłami coraz gwałtowniej, tak że w końcu uniosły mnie w powietrze. Wypuściłem natychmiast ryby z rąk, ale ptaki, biorąc mnie samego za wielką rybę, porwały mnie i poniosły ponad miastem ku morzu.

Daleko w dole widać było fale bijące wściekle o urwisty brzeg i żagle statków zmierzających

do ciepłych krajów. Zemdlałem ze strachu, a kiedy wróciła mi przytomność, nie szybowałem już w przestworzach, lecz siedziałem na zewnętrznym parapecie okna jakiegoś okazałego domostwa, w nie znanym mi mieście. W pewnej chwili do okna podeszła młoda dziewczyna i zapytała, czy jestem może jej siostrzyczką, o którą gorąco się modliła, po czym zaprosiła mnie nad wyraz grzecznie do swego łóża, gdzie mocno skonfundowany spędziłem z nią noc.

* * *

Czym jest miłość?

Rankiem, nazajutrz po naszym przybyciu do Wimbledonu, obudziło mnie to filozoficzne pytanie. Pogrążyłam się w zadumie, a wtórujący moim myślom regularny oddech Jordana i posapywanie moich trzydziestu psów działały na mnie nadzwyczaj kojąco.

Jestem zbyt duża, by się kochać. Nikt, ani mężczyzna, ani kobieta, nie odważył się do mnie zbliżyć. Boją się wspinać na tak wielką górę.

Rozmyślałam o miłości, bo pastor mówi, że tylko Bóg kocha nas prawdziwie, a wszystko inne to żądza i prywatność.

W kościele jest płaskorzeźba przedstawiająca mężczyznę z członkiem nabrzmiałym jak wielki ogórek, chędożącego kobietę, której cyce zwisają do ziemi niczym krowie wymię przed dojeniem. Kobieta ma oczy zamknięte, a mężczyzna wzniesione ku niebu, więc nie widzą, że pastwisko dookoła płonie.

Pastor kazał zrobić te płaskorzeźby specjalnie, żebyśmy mogli kontemplować swoje grzechy i zobaczyli, dokąd nas nasze występki prowadzą.

Jest tam też wizerunek kobiet rozpalonych żądzą i wczepionych w siebie ustami, a także mężczyzn trzymających się wzajemnie za przyrodzenia, jakby to były żerdzie do poganiania bydła.

Drepczemy co niedzielę sznureczkiem do kościoła, by się ukorzyć i oczyścić z grzechów na następny tydzień, ale widuję tu i ówdzie wypukłość pod szatą, i to tu, w świętym miejscu, gdzie powinno panować skupienie i pobożność.

Jeśli chodzi o mnie, to jedyna miłość, jaką znam, pochodzi od moich psów, dla których mój wygląd nie ma najmniejszego znaczenia, i od Jordana, który twierdzi, że choć jestem wielka i cuchnę mułem jak rzeka, od której przyjął imię, to jednak łączy nas jakieś pokrewieństwo. Co zaś do reszty grzeszników tego świata, traktują mnie, jak na moje rozeznanie, przyzwoicie i starają się nie zwracać na mnie uwagi.

Jak wcześniej mój ojciec, tak i ja hoduję ogary, i do niedawna miałam nadzieję, że będzie je w przyszłości hodował Jordan. Ale on poszedł w świat. Miał głowę pełną bajek o innych kontynentach, gdzie ludzie mają twarze na piersiach albo skaczą na jednej nodze, za nic mając

prawa natury. Skoczkowie ci dają miłowe susy, a za całe pożywienie wystarcza im kora z drzew. Wiadomo powszechnie, że ich najlepszymi kompanami są węże, czyli te same gady, przez które wygnani zostaliśmy z raju i przez które musimy dalej grzeszyć. Te bestie są tak zmyślne, że kiedy usłyszą muzykę zaklinacza, przykładają jedno ucho do ziemi, a drugie zatykają końcem ogona. Ach, gdybym i ja tak mogła uchronić się od grzechu, zatykając uszy ogonem albo czym innym!

Jestem grzesznicą, choć nie w uczynku, tylko w myśli. Wiem, jaka jest muzyka miłości, bo słyszałam owe dźwięki przez ścianę, ale nie znam jej smaku. Jak to może być z dwoma ciałami śliskimi jak węgorze w mule, między dwojgiem ludzi dyszących jak dyszy pies na widok świni?

Zakochałam się kiedyś, jeśli przez miłość rozumieć okrucieństwo losu, który zanoszą nas prosto pod bramy niebios tylko po to, żeby nam pokazać, że są przed nami zatrzaśnięte na zawsze.

Chodził po mieście pewien chłopiec i sprzedawał różności. Kieszenie, z których zwieszały mu się sznury paciorków i wystawały powiewające wstążki, wypchane miał kozikami i chusteczkami, klamerkami, zapinkami i motkami kolorowych nici. Widok jego twarzy sprawiał mi wielką przyjemność.

Wstawałam na godzinę przed jego przybyciem i rozczesywałam włosy, które zwykle widywały grzebień tylko na Boże Narodzenie, kiedy chciałam uczcić naszego Zbawiciela. Stroiłam się jak jałówka na targ, ale mimo to chłopak w ogóle nie zwracał na mnie uwagi i czułam, jak moje serce kurczy się do rozmiarów groszku. Kiedy odwracał się plecami, żeby odejść, zawsze wyciągałam rękę, by go choć na chwilę zatrzymać, ale jego łopatki były zbyt ostre, żeby ich mogła dotknąć bez obawy. Rysowałam go palcem w kurzu koło mego łóżka i nazywałam wszystkie kurczaki mojej matki jego imieniem.

W końcu zdecydowałam, że prawdziwa miłość musi być miłością czystą i uwarzyłam sobie kostkę szarego mydła...

Nienawidzę się myć, bo mycie czyni skórę podatną na zabrudzenie wszelkim paskudztwem. Naśladuję pod tym względem króla Jakuba, który mył tylko koniuszki palców, a jednak serce miał na tyle czyste, by nas obdarzyć Biblią napisaną w porządnej angielszczyźnie.

Nienawidzę się myć, wiem jednak, że może to być przejawem miłości, toteż nie byłam nawet specjalnie zdziwiona, gdy przyłapałam się na tym, że wlokę się bladym świtem w stronę pompy, niczym jakiś upiór powracający rankiem do grobowca.

Postanowiłam uprać całe swoje odzienie, wierzchnie i spodnie, a przy tym umyć się od stóp do głów. Zrobiłam to jednym ciągiem, pompując najpierw wodę prawą ręką i myjąc lewą połowę, a potem pompując lewą ręką i myjąc połowę prawą. Kiedy już tak nasiąkałam wodą, że wystarczyło przycisnąć dłoń tu czy tam, żeby u moich stóp natychmiast powstała kałuża, odczekałam aż otworzą piekarnię i usadowiłam się przy piecach, żeby wyschnąć. Pokryła mnie

od razu gruba warstwa mąki, ale dzięki temu moja śniada cera nieco się rozjaśniła.

W tej nowej postaci objawiłam się mojemu ukochanemu, ten zaś wyszczerzył do mnie w uśmiechu wszystkie zęby i zaczął się zaklinać, że gdyby tylko mógł dosięgnąć moich ust, natychmiast by mnie pocałował. Porwałam go, uniosłam do góry i powiedziałam: „No to całuj” – po czym zamknęłam oczy w oczekiwaniu rozkosznej pieśczoły. Nie otwierałam ich przez jakieś pięć minut, a gdy wreszcie otworzyłam, żeby zobaczyć, co się dzieje, stwierdziłam, że zemdłał. Zaniósłam go pod pompę, która niedawno świadczyła memu poświęceniu, i porządnie zlałam go wodą. Gdy się ocknął, zaczął się wić i miotać niczym lis we wnykach, błagając mnie, bym go wypuściła.

– Cóż to? – zawołałam. – Czy to afekt do mnie tak na ciebie działa?

– Nie – odparł. – To zgroza.

Parę miesięcy później widziałam go w innej części miasta z jakąś ślicznotką uwieszoną u ramienia i z twarzą promienną jak zawsze.

* * *

Rankiem dziewczyna imieniem Sylla powiedziała mi, że pozostaje zamknięta w tej wieży od urodzenia.

– To nie wieża – rzekłam. – To tylko okazały dom, nic więcej.

– Nie – powiedziała. – Mylisz się. Podejdź do okna.

Zrobiłem, co kazała, i zobaczyłem o kilka stóp poniżej ulicę, na której przekupnie właśnie rozstawiali kramy. Kobiety w skórzanych fartuchach układały stosy rzodkwi na drewnianych blatach, kapłan błogosławił przywiezione zza mórz relikwie, a jakiś świątobliwy mąż, wczesny klient, targował się o polec mięsa.

Był piękny poranek; w powietrzu pachniało cytrynami.

Kiedy tak patrzyłem, jeden z kramarzy odwrócił się i spojrzał mi prosto w oczy. Pomachałem mu ręką i uśmiechnąłem się, ale nie zareagował. Nie zmartwiło mnie to zanadto; ludzie są nieufni wobec obcych.

– Czy to nie przerażające? – zapytała Sylla. Zorientowałem się, że prowadzi ze mną jakąś grę, podszedłem więc do niej i pociągnąłem ją w stronę okna.

– Chodź, spójrz na tę stertę rzodkwi.

Milczała. Zauważyłem, że twarz ma bladą, a oczy nienaturalnie błyszczące. Wychyliłem się, żeby pokazać jej coś, co mogłoby ją rozpogodzić, ale słowa utknęły mi w gardle. Dziewczyna patrzyła w dół. Poszedłem za jej wzrokiem i też spojrzałem w dół, niżej, a potem jeszcze niżej. Znajdowaliśmy się na szczycie wznoszącej się ku niebu wieży. Kamienny walec wyrastał z wysepki najeżonej ostrymi skałami, o które rozbijały się spienione fale. Na wijącym się

meandrami brzegu nie było widać żywej duszy. Żadna chata ani owczarnia nie przerywała długiej linii splątanych krzewów rozmarynu. Tylko wichur hulał nad szarobłękitną powierzchnią morza.

Odeszła od okna i przysiadła na brzegu łóżka. Nie odwracając się, zapytałem, co ją tu trzyma.

– Ja sama – odparła. – Nikt więcej.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że nie ma tu drzwi.

– Czy mógłbym dostać coś do jedzenia? – zapytałem. Schyliła się z uśmiechem pod łóżko i wyciągnęła stamtąd za ogony dwa szczury.

Podeszła do mnie roześmiana, trzymając po jednym szczurze w każdej ręce. Oczy zachodziły jej mgłą, znikwały. Czuję jej oddech, jak czuje się woń sera zawiniętego w szmatkę.

Nie myśląc nawet o śmiertelnym ryzyku, przesadziłem parapet i wylądowałem na stercie rzodkwi.

Kobieta w skórzanym fartuchu zdzieliła mnie po głowie, ale ktoś stojący za nią odciągnął ją na bok, ujął mnie za ramię i zaczął się dopytywać, skąd tak niespodziewanie wyskoczyłem.

– Z wieży – odparłem, wskazując w górę.

Wszelki ruch przy kramach zamarł, wszyscy padli na ziemię, kreśląc znak krzyża. Handlarz relikwiami włożył na szyję kołbę z zębów męczenników i sychnął mi w twarz prochami świętego Antoniego.

Cała historia była straszna.

Młoda dziewczyna, przyłapana na kazirodczych praktykach z własną siostrą, została skazana na budowanie własnej wieży śmierci. Aby przedłużyć swe życie, wznosiła ją jak mogła najwyżej, wspinając się z kamieniami po nie kończących się spiralnych schodach. Kiedy kamieni zabrakło, zamurowała drzwi i mieszkańcy miasteczka, których jej przedśmiertne krzyki przyprawiały o obłęd, wynieśli się jak najdalej, żeby niczego nie słyszeć. Po latach jakiś cudzoziemiec zburzył wieżę i postawił na tym miejscu dom, do którego trafiłem. Stopniowo ludzie powrócili do miasteczka, ale ani cudzoziemiec, ani nikt inny nie mógł mieszkać w domu. Nocą krzyki były zbyt przeraźliwe.

Tutejsi ludzie potraktowali mnie bardzo uprzejmie, więc za dnia pomagałem im przy kramach wypełnionych egzotycznymi owocami i cętkowanymi rybami. Nocami mężczyźni siadywali na falochronie, nabijali fajki i wypytywali mnie, skąd przybyłem i po co.

Nie wyjawiałem im dziwnych okoliczności mojego przybycia, powiedziałem tylko, że podążam za głosem serca.

– Świat jest pełen tancerek – rzekł jeden z mężczyzn, wydmuchując kółka z dymu nad swoją głową.

– Zresztą widziałeś tę swoją tylko w nocy – powiedział drugi.

– Jak uciekała przez okno – dodała jego żona, wydlubując mięso krabów i wrzucając je do garnka.

Miejscowy mędrzec przestrzegł mnie, że lepiej miłość zignorować, niż ją eksplorować, bo łatwiej wytropić arktyczną gęś, niż podążać krętymi trajektoriami serca.

Wywiązał się spór na temat miłości, który pokrótce wam tu przedstawię.

Jedni utrzymywali, że jeśli miłość ma być w ogóle dozwolona, należy ją temperować poprzez śluby małżeńskie i zacieśnianie rodzinnych więzi, tak by jej żar nie wygasł, ale i nie strawił domu.

Byli też tacy, którzy uważali, że tylko namiętność wyzwala duszę uwięzioną w nędznej lepiance ciała i że tylko miłość do utraty tchu, kiedy człowiek uwalnia serce jak mechanicznego zajęcia na torze, a potem goni za nim aż po kres dnia, pozwala mężczyźnie czy kobiecie spać spokojnie w nocy.

Ci ze szkoły zalecającej surowość obyczaju, zwolennicy krępowania miłości więzami, powoływali się na przykłady ze starych przekazów literackich, których autorzy przestrzegali, że idący za głosem pożądania, a więc czegoś najlżejszego na świecie, biorą na swe barki brzemię trudne do udźwignięcia. Brzemię dużo straszniejsze niż ciężar pogodzenia się z tym, że namiętność musi całe życie cierpieć w pętach.

Co na przykład dzieje się z tą kobietą, która stwierdza nagle, że uciekając przed roznamiętnionym kochankiem, zamieniła się w drzewo lotosu? [Dafne, bo o nią tu chodzi, zamienia się w rzeczywistości w drzewo laurowe] Jej nogi wrastają w ziemię, pokrywają się stopniowo miękką korą, która w końcu porasta łono. Kiedy próbuje rwać włosy, zostają jej w rękach liście.

Co z Orfeuszem, który podążając za głosem swej namiętności, przekracza wrota piekieł, by w ostatniej chwili nie zdzierżyć i stracić szansę połączenia się z ukochaną?

A Akteon, który tak pożądał Artemidy, że zamienił się w jelenia i został rozszarpany na strzępy przez własne psy?

Tak się mają rzeczy, i można by to rozrysować w postaci monumentalnego fryzu, który opasałby świat cały.

Wstałem i przypomniałem im zalotników Penelopy, która kochając jednego mężczyznę, odrzuciła pokusę, wzgardziła blichtrzem pożądanego królestwa i w ciągu nocy pruća całun tkany w dzień, tak aby świt zastawał ją z pustymi rękami.

I Safonę, która nie mogąc się pogodzić z odejściem kochanki do mężczyzny, rzuciła się ze smaganej wiatrem nadmorskiej skały w otchłań i zamieniła się w ptaka.

Dobrze wiemy, że tych, którzy popadną w niewolę takich zauroczeń, może obudzić tylko dotknięcie kochanka. W tych, którzy wydawali się martwymi, a którzy teraz wracają na ziemię, można znów tchnąć życie, użyczając im swego ozdrowieńczego ciepła.

Potem, ponieważ była noc i na niebie widać było bliźniacze gwiazdy, Kastora i Polluksa, opowiedziałem im tę właśnie tragiczną historię braci, których miłość może nam się wydawać czymś wręcz nienaturalnym, skoro jeden był tak zrozpaczony po śmierci drugiego, że błagając o przywrócenie mu życia, zgodził się, by tamten żył przez jedną połowę roku, on zaś przez drugą, co oznaczało, że nigdy się nie spotkają. Tak samo jest z nami: żyjąc na ziemi w swych ołowianych pancerzach, wyczuwamy obecność ukochanych, niby bliską, lecz zbyt daleką, byśmy mogli ich dotknąć.

Mieszkańcy miasteczka milczeli. Potem jeden po drugim zaczęli odchodzić, a każdy zatopiony był we własnych myślach. Jakaś kobieta przeciągnęła dłonią po moich włosach, odgarniając mi je z czoła. Stałem nieruchomo, oparty o chropowatą ścianę falochronu i zadawałem sobie pytanie, jakiego nie zadałem tamtym.

Czy poszukiwałem tancerki, której imienia nie znałem, czy też szukałem tego, co roztańczone we mnie samym?

Noc.

* * *

W ciemności i w wodzie nie ważę nic. Nie jestem próżna, ale uradowałby mnie widok ukochanej twarzy tuż przy mojej. Po jedynej podjętej przeze mnie wyprawie w rejony miłości postanowiłam nigdy więcej nie robić z siebie wariatki. Zaproponowali mi pracę w burdelu, ale odmówiłam, ze względu na słabe serce. Taka odwalana na chybcika robótka, jaka tam odchodzi w dzień i w nocy, musi chyba osłabiać serce i czynić je podatnym na miłość? Nie bezpośrednio, to jasne, lecz pośrednio, jako że chuć bez krzty romantyzmu musi człowieka z czasem znużyć. Kiedy spytałam o to dziewczkę z burdelu w Spitalfields, powiedziała mi, że nienawidzi swoich pięciominutowych kochanków, ale tęskni za takim, który by zajechał karetą i karmił ją babeczkami śmietankowymi.

Skąd się biorą takie jałowe mrzonki?

Jeśli chodzi o Jordana, nie ma on mojego zdrowego rozsądku i będzie bez wątpienia gonił za swoimi marzeniami na sam kraj świata, a potem runie w otchłań.

W drodze do Wimbledonu zaczepił mnie jakiś mężczyzna i zapytał, czy nie chciałabym się z nim kiedyś zobaczyć.

– Widzę cię teraz, panie, i to mi wystarczy – odparłam.

– Ale nie widzisz wszystkiego – on na to. I rozpiął rozporek, żeby pokazać mi coś, co przypominało strączek grochu. – Dotknij tylko, a urośnie – zapewnił mnie.

Uczyniłam to i w rzeczy samej, strączek zamienił się w ogórek.

– Cudownie, cudownie, cudownie – powtarzał omdlewającym głosem, choć ja nie widziałam żadnego powodu do omdleń. – Weź go do ust – rzekł. – O tak, tak jakby to był jakiś wyjątkowy smakołyk.

Lubię poszerzać swoje horyzonty, kiedy się tylko da, zrobiłam więc, jak kazał, i wzięwszy ogórka w całości do ust, odgryzłam go jednym kłapięciem.

Gdy to zrobiłam, mój rozogniony jegomość zaczął wyć jeszcze głośniejszym głosem, a potem zemdlał, ja zaś, zdumiona jego nagłą ekstazą i zarazem zbrzydzonej żylastą kichną w ustach, wyplułam to, czego nie przełknęłam, i rzuciłam jednemu z moich psów.

Kurwa ze Spitalfield mówiła mi kiedyś, że mężczyźni to lubią, ale mnie cała rzecz wydaje się jakimś wariactwem, bo przecież trzeba sporo czasu, żeby taki członek odrósł. No ale w końcu ciała tych panów należą do nich i ja, która nic o nich nie wiem, muszę z pokorą wypełniać polecenia, toteż gdyby jakiś jeszcze poprosił mnie, żebym mu zrobiła to samo, to na pewno bym posłuchała, choć sama nie miałam z tego żadnej przyjemności.

Podczas kopulacji, aktu, w którym kobieta odgrywa rolę bardziej wdzięczną, członek wsuwa się do wielkiego tunelu i sięga macicy, a tam po pewnym czasie otwiera się niczym napęczniała fasolka i wszczepia załóżek małego człowieczka, żeby rósł na żyznym podłożu. Tak mi przynajmniej mówiły kobiety, które zaszły w ciążę, i muszą znać członki swoich mężów nie gorzej, niż ja znam swoje psy.

Kiedy Jordan podrośnie, powiem mu wszystko, co wiem o ludzkim ciele, i przykażę mu, żeby pilnie strzegł swojego członka. Ale nie o tę część jego ciała się obawiam; boję się o jego serce. Jego serce.

Mamy tu w Wimbledonie ogrodnika, Francuza nazwiskiem Andre Mollet, który przybył do Anglii specjalnie, żeby nauczyć Tradescanta, jak Francuzi konstruują fontanny i urządzają klomby.

Tak jak większość Francuzów, jest on bardziej zainteresowany swoim członkiem niż szpadlem i umizga się do każdej kobiety w gospodarstwie oprócz mnie. Jako symbol i pamiątkę jego niespożytej energii będziemy mieli fontannę tryskającą na dziewięć stóp w górę, ze srebrną kulą wirującą na szczycie. Opadająca kaskadą woda połączy się z wodną ścianą, by jak żywopłot oddzielić sadzawki od prostackiego otoczenia.

Sadzawki z rybami, koliste i kwadratowe, napełnia się specjalnie sprowadzaną wodą, czasami słoną, czasami słodką, a w niej pływają ryby o bajecznych barwach i kształtach, jakich oko ludzkie nie widziało i jakie widuje się tylko w wyobraźni.

W największym stawie pływa ławica ryb latających, które błyskając łuską, przerzucają się długim skokiem z jednego końca sadzawki na drugi. Czyżby marzyły o lotach ku targanym wiatrem wierzchołkom drzew?

W innym, przedziwnym stawie, w którym woda ze świętych źródeł Wschodu świeci własnym blaskiem, płyną nakrapiane żaby, słynne z umiejętności śpiewania. Żaby te nie rechoczą, ale wyśpiewują madrygały oraz inne pieśni, i to piękniej, niż jakikolwiek chór kościelny. Nawet pałac Króla Słońce we Francji nie może się poszczycić czymś tak rzadkim i cudownym, choć mówiono mi, że monarcha francuski ma tańczącą łasicę, którą dostał w zamian za sto sadzonek gruszy. Mnie osobiście najbardziej podoba się strumień spływający z obsadzonego drzewkami wiśni pagórka. Woda zbiera się w grotcie, w której stoi posąg pustelnika. Strumyk jest płytki, jego łóżysko usiane kamykami, na brzegach płożą się rukiew wodna. Między kamieniami czatują słodkowodne krewetki, które karmią się stworzonkami jeszcze mniejszymi od siebie. Koło źródła jest skała; bardzo często siadam wieczorami pod jej osłoną i śpiewając pieśni o miłości i śmierci, wyczekuję zachodu słońca. Kiedy niebo nad horyzontem rozpala się pomarańczową łuną, przylatuje, trzepocząc błękitnymi skrzydłami, zimorodek i nurkuje z szybkością błyskawicy. Potem niczym jakiś święty triumfalnie strzela pionowo ku niebu, z dziobem pełnym krewetek.

* * *

Na morzu, daleko od domu, przy wtórze skrzypu statku i ze śpiącym Tradescantem u boku, roję czasami o mieście, którego mieszkańcy są tak przebiegli, że chcąc umknąć przed natrętnymi wierzycielami, burzą w ciągu jednej nocy swoje domy i stawiają je od nowa gdzie indziej. Liczba domów jest zatem stała, ale nigdy nie stoją one w tym samym miejscu dłużej niż jeden dzień.

Dla bliskich krewnych, a blisko spokrewniona jest większość mieszkańców miasta, nie przedstawia to żadnego problemu, uciekinierów zaś nie dziwi nawet specjalnie, gdy czasem zastają swych prześladowców czekających już na nich w wybranym na nową siedzibę miejscu.

Jako wybieg nie jest to zatem szczególnie godne polecenia, ale jako rodzaj gry stanowi wysoce satysfakcjonującą rozrywkę i przyczynia się do nadzwyczajnej długowieczności mężczyzn i kobiet zamieszkujących miasto. Wszyscy byliśmy kiedyś nomadami i przemierzaliśmy pustynie lub przeprawialiśmy się przez morza po niewidocznych szlakach, czytelnym wszakże doskonale dla tych, którzy znali drogę. Od chwili, gdy wybraliśmy życie osiadłe i zapuściliśmy korzenie jak drzewa, niezdolni jednak tak jak one rozsiewać na wietrze naszych nasion, doświadczamy tylko plag i gorzkniejemy.

Mieszkańcy miasta, o którym mówię, pogodzili dwa sprzeczne pragnienia: chęć pozostania na jednym miejscu i porzucenia go na zawsze.

Kiedy przybyłem tam po raz pierwszy, zaprzyjaźniłem się z pewną rodziną i po zjedzonym wspólnie obiedzie obiecałem, że nazajutrz znów ich odwiedzę. Nalegali usilnie, bym przyszedł, więc dotrzymałem słowa i bardzo się zdenerwowałem, stwierdziwszy, że w miejscu ich małego

domku stoi muzeum antyku. Kustosz zlitował się nade mną i wskazał mi drogę do nowego domu znajomych. Obiecałem sobie, że wrócę do muzeum, żeby obejrzeć szkielet wieloryba dawno wymarłego gatunku. Wydawało mi się mało prawdopodobne, żeby gospodarze budynku użyteczności publicznej musieli uciekać się do takich samych sztuczek jak właściciele zwykłego domu prywatnego.

Mylilem się jednak. Muzeum wróciło na stare śmieci w pobliżu doków, na jego zaś miejscu stanął wiatrak. Kiedy patrzyłem na tnące powietrze skrzydła i zastanawiałem się, czym właściwie jest powietrze, skoro wydaje się niczym, a jednak stawia tak potężny opór, w okrągłym okienku ukazał się młynarz i krzyknął do mnie coś, czego nie dosłyszałem. Schwyciłem za jedną z wirujących łopat i podjechawszy z impetem w górę, wylądowałem obok niego.

Zapytał mnie, czy znam historię dwunastu tańczących księżniczek. Gdy odparłem, że słyszałem ją kiedyś, oświadczył, że księżniczki żyją jeszcze i mieszkają niedaleko, choć są oczywiście dużo starsze. Może zechciałbym je odwiedzić?

Doszedłszy do wniosku, że jedna tancerka może znać inną, a ich tuzin zna jakąś na pewno, wzięłem trochę świeżo złowionych śledzi jako dar dla księżniczek i zastukałem do wrót ich siedziby.

Opowieść o dwunastu tańczących księżniczkach

Kiedy dobijałem się do drzwi, usłyszałem za sobą czyjś głos. Ktoś pytał mnie o imię.

– Mam na imię Jordan – powiedziałem, nie wiedząc, do kogo mówię.

– Jestem tu, na dole.

Tuż obok drzwi była studnia z wytartym sznurem i przyczepionym do niego zardzewiałym wiadrem.

– Czy to mnie szukasz?

Wyjaśniłem głowie, która wychynęła znad cembrowiny, że przyszedłem złożyć swe uszanowanie dwunastu tańczącym księżniczkom.

– Możesz zatem zacząć od razu – powiedziała głowa. – Ja jestem najstarszą z nich.

Ostrożnie, ponieważ lękałem się ciasnych przestrzeni, przelazłem przez cembrowinę i zacząłem schodzić po drewnianej drabinie w głąb studni. Po chwili znalazłem się w okrągłym, pięknie umeblowanym pomieszczeniu. W srebrnym dzbanku dymiła świeżo zaparzona kawa.

– Przyniosłem trochę śledzi – powiedziałem zakłopotany.

Na słowo „śledzie” rozległ się pełen zachwytu okrzyk, po czym jakaś ręka sięgnęła ponad moim ramieniem po zawiniątko i zabrała mi je.

– Wybacz jej, proszę – rzekła księżniczka. – Ona jest syreną.

Tymczasem syrena, która była wprawdzie piękna, ale nie odznaczała się jakimś szczególnym wdziękiem, pożerała ryby, połykając je w całości, jak to robimy z ostrygami.

– To kara za miłość – westchnęła księżniczka i natychmiast zaczęła mi opowiadać historię swego życia.

* * *

Spałyśmy wszystkie, ja i moje siostry, w jednej komnacie, a była ona węższa niż rzeka u źródła i dłuższa od brody proroka.

Możesz więc sobie wyobrazić, jak wyglądała nasza sypialnia.

Spałyśmy w białych łóżach, na białych posłaniach, a przez okno wpadało światło księżyca i rzucało na podłogę białe cienie.

Z tej to właśnie komnaty wylatywałyśmy co noc do srebrzystego miasta, w którym nikt nie jadł ani nie pił. Jedynym zajęciem jego mieszkańców był taniec. Tańcząc, zdarłyśmy do cna nasze suknie i pantofelki, ale ojciec nie domyślał się nawet, gdzie bywałyśmy i co się z nami działo, bo gdy przychodził rankiem nas obudzić, spałyśmy zawsze kamiennym snem.

Wiesz już, że w końcu sprytny książę przyłapał nas na tym, jak wylatywałyśmy przez okno.

Poczęstowałyśmy go nasennym wywarem, ale on tylko udawał, że pije. Miał jedenastu braci, wydano nas za nich za męża, żebyśmy, jak to się mówi, żyły długo i szczęśliwie. I żyłyśmy szczęśliwie, ale nie z naszymi mężami.

Zawsze uwielbiałam pływanie i pewnego dnia, nurkując na głębini, podpłynęłam do koralowej grotty, w której siedziała syrena i rozczesywała włosy. Zakochałam się w niej od pierwszego wejrzenia i po paru miesiącach potajemnych spotkań, po których mój mąż uskarżał się zawsze, że cuchnę rybą, uciekłam od niego i zamieszkałam z nią w tym cudownym, słonym raju.

Przez kilka lat nie miałam żadnych wiadomości od moich sióstr, a potem dowiedziałam się przez przypadek, że w taki czy inny sposób wszystkie rozstały się ze swoimi prześwietnymi księżętami i rozproszone po świecie żyły sobie zgodnie ze swymi upodobaniami.

Kupiłyśmy ten dom i zamieszkujemy go pospołu. Kiedy się po nim przejdiesz, napotkasz wszystkie moje siostry. Ja, jak widzisz, mieszkam w studni.

* * *

– Tu, na tej ścianie, jest malowidło przedstawiające mojego męża – rzekła druga księżniczka.
– Wygląda na nim jak żywy.

Oprowadziła mnie po swoim szklanym domu, pokazując mi przeróżne osobliwości, wśród nich martwy płód wydany na świat przez niesławną papieżycę Joannę, która tak udatnie udawała Ojca Świętego do chwili, gdy poroniła podczas wielkanocnej procesji. Były tam też kamienne tablice z dziesięcioma przykazaniami, te same, które otrzymał Mojżesz. Wryte w kamieniu inskrypcje zatarły się nieco, ale wciąż bez trudu można było wyczuć palcami wyżłobienia zrobione ręką Boga.

– Zbieram pamiątki religijne.

Mąż nie wadził jej bardziej, niż to bywa w innych małżeństwach, dopóki nie postanowił powściągnąć jej kolekcjonerskiej pasji.

– Rozpalił ognisko i spalił zabalsamowane zwłoki jakiegoś świętego. Święty był bardzo stary, spowity całunem. Lubiłam go; przydawał domowi dziwnego uroku.

Po historii ze świętym owinęła męża całunem, a potem tak długo okręcała go bandażami, aż zawój sięgnął nosa. Przez chwilę czuła coś na kształt żalu, lecz po krótkim wahaniu zawijała dalej.

* * *

– Kroczył przez świat, porażając swą urodą – powiedziała.

– Jego oczy były jak brunatne jeziora, rzęsy jak wierzbowe witki. Ściągnięte brwi tworzyły tamę pomiędzy czołem i resztą twarzy. Policzki przypominały rozległe strome stoki, usta – krater wulkanu. Do tego oddech smoka, serce wydarte z piersi byka. Ściągną jego szyi były białymi kolumnami osadzonymi w sworzniach obojczyka, pierś stalową szkatułą. Żebra miał ze spiżu, kiedy świeciło słońce, prześwitywały przez skórę. Do tego łopatki niczym łańcuch górski, krzyż jak wybrukowana droga. Brzuch miał pełen klejnotów, a jego kur budził się co dzień o brzasku. Pszeniczne łany po dziś dzień przywodzą mi na myśl jego włosy, a gdy widzę rękę, której palce dłuższe są od dłoni, myślę, że to przyszedł on, by znowu mnie dotknąć.

Ale w rzeczywistości nigdy mnie nie dotknął. Kochał pewnego chłopca, nie mnie. Przeszłam ich jedną strzałą, uśmiercając na miejscu, tam gdzie leżeli spleceni w uścisku.

Mimo wszystko myślę, że była w tym jakaś poezja.

* * *

Mój mąż poślubił mnie po to, żeby jego związki z innymi kobietami, jako nielegalne, stały się tym bardziej ekscytujące. Niebezpieczeństwo było dlań afrodyzjakiem: nie pociągało go to, co łatwe czy subtelne. Miał naturę wicherzyciela. Zawsze mnie, jak to zwykle bywa, ostrzegali, ale ja wolałam nie słuchać podszeptów wróżbitów i malkontentów. Mój mąż był urodziwy i mądry. Cóż w tym złego, że potrzebował tych przelotnych romansów, jeśli mnie wciąż kochał? I ja chciałam go kochać, byłam zdecydowana osiągnąć u jego boku szczęście. Wcześniej go nie znałam.

Początkowo nie przeszkadzały mi jego całotygodniowe eskapady. Nie uświadamiałam sobie, że elementem jego gry było doprowadzenie mnie do obłędu. Tylko wtedy, gdy mnie naprawdę zranił, mógł się spełnić w łóżkach innych.

Szybko odkryłam, że jego wybrankami były pacjentki domu dla obłąkanych. Brał z nimi fikcyjne śluby w opuszczonych stodołach. Całun zastępował im ślubne suknie, pęczek marchwi ślubną wiązaną. Natychmiast po zawarciu ślubu brał je na ołtarzu ze świńskiego koryta. Były przeważnie dziewczycami. Lubił wracać do domu, pachnąc jeszcze ich krwią.

Czyżby ciało ludzkie czuło do siebie aż taką nienawiść, że musi szukać ujścia dla tej nienawiści za wszelką cenę?

Nie zabiłam go. Zostawiłam go snującego się po blankach zrujnowanego królestwa; jego ciało trawiła wstydliva choroba. Jeszcze tej samej zimy znaleziono go martwego w śniegu.

Dlaczego nie zawierzył mi i nie zwrócił się ku mnie, jak to czynią drzewa, które choć targane wichrem, wciąż obracają się jednak ku słońcu?

* * *

Pewnie słyszeliście o Roszpuncie. Wbrew woli rodziców, których chyba najlepiej charakteryzuje ich pasja kolekcjonowania miniaturowych lalek, zamieszkała w wieży z pewną starszą kobietą. Matkę i ojca tak rozwścieczyła jej odmowa poślubienia księcia z ościennego królestwa, że zaczęli ubliżać mieszkającym w wieży kochankom, nazywając kobietę starą jędzą, a dziewczynę gówniarą. Nie poprzestając na wyzwiskach, wciąż próbowali wdrzeć się do wieży, tak że szczęśliwa para musiała pozamykać na cztery spusty i zabarykadować wszystkie drzwi i okna położone poniżej chmur. Ukochana dziewczyny wchodziła na górę, pnąc się po jej rozpuszczonych włosach, Roszpunka zaś dostawała się do wieży po przybitej do podłogi i zwieszanej z okna tresce. Obie mogły wprawdzie posłużyć się drabiną, ale były w sobie zakochane.

Pewnego dnia księżę, który lubił się stroić w suknie swej matki, przebrał się za kochankę Roszpunki i wspiął się na wieżę. Kiedy się dostał do środka, skrępował dziewczynę i zaczaiwszy się, czekał na przyjście złej czarownicy. W chwili gdy ta, niosąc wieczerzę, przesadziła parapet, księżę dzielił ją w głowę i wypchnął z okna. Potem wziął Roszpunkę na plecy, spuścił się wraz z nią po przyniesionej ze sobą linie i zmusił dziewczynę, żeby patrzyła, jak oślepia leżącą w ciernistych zaroślach, zmasakrowaną czarownicę.

A potem oczywiście żyli długo i szczęśliwie.

Jeśli zaś chodzi o mnie, to wydobrałam, choć pozostałam ślepa, i w końcu znalazły mnie moje siostry, które rozmaitymi drogami trafiły do tego domostwa i zamieszkały w nim.

A mój mąż?

No cóż, gdy tylko pocałowałam go po raz pierwszy, zamienił się w żabę.

O, jest tu właśnie, tuż przy twojej nodze. Ma na imię Anton.

* * *

Pierwszego dnia nowego roku, przechadzając się po leśnych ścieżkach znaczonej plamami światła, zobaczyłam mojego męża na koniu. Stał w strzemionach, w różowym mundurze, z rogiem myśliwskim przy ustach. Myśliwi pogalopowali dalej, wkrótce nie byli więksi niż jagody ostrokrzewu ukryte wśród zieleni.

Zboczyłam ze ścieżki i zaczęłam się przedzierać przez gąszcz krzewów i jeżyn, płosząc kuropatwy i klucząc między cierpliwymi, sennymi krowami, których ubłocone racice zdobiły bransolety z kropelek wody. Moje buty oblepione były grubą warstwą błota. Parłam przed siebie z coraz większym wysiłkiem. Podnosiłam nogi wysoko, jakbym wchodziła na drabinę. Byłam wściekła i spocona. Chciałam już być w domu, ale nie mogłam przyspieszyć. A musiałam dotrzeć

do domu jak najszybciej, wnieść wazę z ponczem do wielkiej komnaty i podpalić go, tak by zapłonął jasnym, błękitnym płomieniem.

Wspiąwszy się z najwyższym wysiłkiem na szczyt wzgórza, spojrzałam na rozległą dolinę i zobaczyłam na polu bielejące łąty śniegu, jak wyłożone dla wyschnięcia prześcieradła. Lubie, kiedy cierniste krzewy i drzewa tracą listowie z dnia na dzień, jakby ogołociło je złośliwe dziecko, nie chcąc pozostawić choćby listeczka swemu rywalowi w zabawie.

Zobaczyłam mój dom z dymiącym kominem, z pomarańczowymi oknami.

Kolejny rok.

Wtedy wynurzył się z lasu jelen i pięć łań. Stado przedelfowało przede mną przez pole. Pole było ogrodzone, więc jelen przeskoczył siatkę, odwracając głowę, by zachęcić resztę. Zawisnął w powietrzu zaledwie na sekundę, ale w tej jednej sekundzie jego lotu przypomniałam sobie ów dawny czas, kiedy i ja mogłam latać do woli, zanim wylądowałam z wdziękiem, by osiąść wśród wypełnionej krzątaniną codzienności.

Jeleń zniknął w mroku, a ja odwróciłam się plecami do dworu. Ostatnim odgłosem, jaki usłyszałam, był stukot końskich kopyt; to powracający myśliwi wjeżdżali na dziedziniec.

* * *

Nigdy nie pożałowałam nikogo oprócz niej. Pragnęłam bez końca wodzić palcem, zaczynając od dolka w jej brodzie, poprzez wzgórza piersi i płaskowyż brzucha aż tam, gdzie – jak wiedziałam – wyczuję wilgoć. Pragnęłam obrócić ją na brzuch i zjeżdżać płasko przyciśniętą dłonią po stoku jej pleców. Chciałam być pierwszą, która zbada otworek ukryty między pośladkami.

Ona leżała, ja zaś masowałam jej stopy, nacierając je olejkami miętowymi, i obcinałam paznokcie u nóg srebrnymi nożyczkami. Trefliłam jej włosy, układając je w niesforne, węzowe sploty, i polerowałam jej zęby, zwilżając je śliną.

Przekłułam jej uszy i przyozdobiłam je brylantami. Zakropiłam jej oczy belladoną.

Kiedy była chora, chłodziłam jej gorączkę swymi ręcznikami zwilżonymi w wodzie, a gdy płakała, zbierałam łzy do wazy z epoki Ming.

Byłyśmy nierozłączne. Wstawałyśmy razem o poranku i zasypiałyśmy w nocy tak, jak to czynią bliźniaczki. Miałyśmy dwie pary rąk i tyleż nóg, a kiedy czytałyśmy w chłodnym, cienistym sadzie, opierałyśmy się o siebie plecami.

Lubiłam wyczuwać węzowaty kształt jej kręgosłupa.

Często się całowałyśmy; nasze języki i zęby napierały na siebie, usta wzbierały śliną i krwią z jej przygryzionej dolnej wargi, dłońmi przyciągałam ją do bioder.

Często, zwłaszcza popołudniami, kochałyśmy się przy na pół zaciągniętych zasłonach.

Kamienna posadzka chłodziła nasze ciała.

Przez osiemnaście lat mieszkaliśmy same w wymiatanym przeciągami zamczysku, nie widując nikogo oprócz siebie. Potem ktoś nas tam znalazł i było za późno.

Człowiek, którego poślubiłam, był kobietą. Przyszli po nią, żeby ją spalić. Zabiłam ją jednym ciosem w głowę, zanim dotarli do bram zamku, po czym uciekłam stamtąd. I oto jestem tutaj.

Wciąż przechowuję kosmyk jej włosów.

* * *

Byliśmy małżeństwem już od kilku lat, kiedy do drzwi naszego domu zapukał domokrażca sprzedający szczotki. Mąż był w pracy, więc wpuściłam handlarza do kuchni i dałam mu coś do jedzenia. Poprosiłam, żeby pokazał mi zawartość swej torby, a wtedy – jak się zapewne domyślacie – rozłożył przede mną cały kram: stertę ściereczek do kurzu, stos okrągłych mydełek, grzebienie, zgrzebla do rozczesywania koźlich bród, inne przydatne w gospodarstwie drobiazgi. Kupiłam kilka takich utensyliów, a potem zapytałam, co ma w drugiej torbie, tej, której nie otworzył.

– A czego pani potrzebuje? – zapytał.

– Trucizny...

– Aha, pewnie na szczury.

– Nie, dla mojego męża.

Bynajmniej nie zaskoczony moimi morderczymi zamiarami, otworzył drugą torbę. Zajrzałam do środka. Było tam pełno małych słoiczków i szczelnie zawiązanych woreczków.

– Czy pani mąż jest postawnym człowiekiem?

– Bardzo. Jest bardzo, bardzo gruby. Najgrubszy w całym miasteczku. Zawsze był gruby. Ma jedenastu braci, wszystkich chudych jak tyczki. Zjada codziennie krowę, a potem zakąsza świnia.

– Ma pani rację, że powinno się go zabić – rzekł handlarz. – Proszę to wsypać do mleka i podać mu przed snem.

Przed udaniem się na spoczynek podgrzałam mężowi wielką bańkę mleka i wsypałam do niej proszek, zgodnie z instrukcją domokrażcy. Mąż podszedł ciężkim krokiem do pieca i wypił wszystko jednym haustem. Kiedy odstawił bańkę, zaczął puchnąć. Rozdęło go tak, że rozsadził dom, wypchnął dach i po kilku sekundach eksplodował. Z jego brzucha wyszło stado krów i świń, mrużąc ślepią przed światłem i ociekając mlekiem.

Zawsze uskarżał się na niestrawność.

Zagnałam trzodę do kupy i wyruszyłam na poszukiwanie siostr. Wolę zajmować się gospodarką niż kuchnią.

* * *

Nazwał mnie Jess, bo tak nazywa się kaptur nakładany na głowę sokoła. [Jess to nie kaptur, lecz pęto zakładane sokołowi używanemu do polowań.]

Byłam jego sokołem. Trzymałam się jego ramienia i jadłam mu z ręki.

Mówił, że mam ostry, drapieżny nos i że w moich oczach czai się szaleństwo. Mówił, że rozszarpałabym go na strzępy, gdyby obchodził się ze mną delikatnie.

Nocami, gdy wyjeżdżał, przykuwał mnie łańcuchem do łoża. Łańcuch był długi, na tyle długi, że bym mogła dojść do urynału lub stanąć w oknie i czekać na spóźnione sowy. Uwielbiam pohukiwania sów. Uwielbiam nagły ślizg rozpostartych skrzydeł ptaka spadającego na ofiarę i jej jęk, przypominający jęk bólu wydobywający się z piersi kochanki.

Używał tego łańcucha, gdy jeździliśmy razem konno. Miałam konia równie silnego jak jego wierzchowiec; smagał go po zadzie, a gdy koń puszczał się cwałem i pędził wśród drzew, on gnał o krok za nim, ściągał łańcuch i pytał, jak mi się podoba taka jazda.

W łóżku lubił, że bym go dosiadała, a wtedy chwycił mnie mocno w tali. Mówił, że musi mieć mnie przed i nad sobą, że bym mu przypadkiem nie wykuła oczu w migotliwym, przygasającym świetle świec.

W głowie mi to wtedy nie powstało, ale z czasem doszłam i do tego.

Pewnej nocy, a był to chyba czerwiec, sfrunęłam z jego przegubu i wydarłam mu wątrobę, rozerwałam łańcuch i odleciałam, pozostawiając go w pościeli z szeroko otwartymi oczami.

Wyglądał na zaskoczonego, nie wiem właściwie czemu. Każdy jest taki, jakim go widzi kochanek.

* * *

Kiedy mój mąż wdał się w romans z inną, zauważyłam przy obiedzie, że ma szklisty wzrok, potem słyszałam, jak sądząc, że nie ma mnie w pobliżu, nuci sobie pod nosem, a gdy zajął się ogrodem, od razu wiedziałam, że robi to nie dla mnie.

Był delikatny i uprzejmy, lubił nasz dom, ale w innym domu, tym z jego fantazji, nie ja siedziałam naprzeciw niego i nie ja śmiałam się z jego żartów. Nie chciał niczego zmieniać; odpowiadało mu takie życie. Jedynym, co chciał zmienić, byłam ja.

Wolałabym, żeby mnie nienawidził lub maltretował albo spakował swoje nowe walizki i wyniósł się na zawsze.

Tymczasem on wciąż obejmował mnie ramieniem i mówił o tym, że trzeba postawić mur w miejscu przegniłego parkanu, który dzielił nasz ogród od jego własnej grządki z warzywami.

Przeglądałam się w lustrze i widziałam, że nie jestem już tak hoża i podniecająca jak dawniej. Byłam zużyta i poszarzała jak stary sweter, którego człowiek wprawdzie nie wyrzuca, ale i nie zakłada.

Wyznał, że jest zakochany, ale twierdził jednocześnie, że kocha i mnie.

W tłumaczeniu oznacza to: chcę wszystkiego naraz. W tłumaczeniu należy to czytać: nie chcę cię na razie zranić. W tłumaczeniu znaczy to: nie wiem, co robić, daj mi trochę czasu.

Jakże to? Dlaczego miałabym ci dawać czas? A ile czasu dajesz mi ty? Siedzę w celi, czekając na egzekucję.

Kochałam go i byłam w nim zakochana. Milczałam, żeby nie wszczynać wojny we własnym sercu.

„Jesteś taka prostoduszna i dobra” – powiedział, odgarniając pasemko włosów z mojej twarzy.

Chciał przez to powiedzieć: twoje emocje nie są tak złożone jak moje. Mój dylemat jest poetyckiej natury.

Ale nie było żadnego dylematu. Nie pragnął już mnie samej, nadal jednak pragnął życia, jakie prowadziliśmy dotychczas.

W końcu, kiedy po kilku spędzonych z tamtą dniami wrócił niespokojny i pojednawczy, postanowiłam skończyć z tym wyczekiwaniem w swojej celi. Weszłam do jego sypialni i zażądałam, żeby opuścił dom. Bardzo spokojnie poprosił mnie, żebym nie zapomniała, że ten dom jest i jego przystanią. Chyba nie oczekuję, że wyrzeknie się dachu nad głową tylko dlatego, że jest zakochany.

– Medea tak zrobiła – powiedziałam. – I Romeo, i Julia, i Chryzejda, i biblijna Rut.

Powiedział, żebym się zamknęła. On nie jest bohaterem mitu.

– Dlaczego więc ja mam być bohaterką?

Nie odpowiedział; miał tylko w palcach koc.

Rozważyłam, jaki mam wybór.

Mogłam pozostać, nieszczęśliwa i upokarzana.

Mogłam odejść i być nieszczęśliwa, ale zachować godność.

Mogłam go błagać, żeby znów zechciał mnie dotknąć.

Mogłam żyć z nadzieją i umrzeć ze zgryzoty.

Spakowałam trochę rzeczy i odeszłam. Nie było to łatwe, ten dom był również moim domem.

Słyszę, że postawił w końcu ten mur w miejsce płotu.

* * *

Zaraz po ślubie mąż zabrał mnie do swego rodzinnego domu, gdzie nie znałam nikogo. Obiecał, że da mi kogoś do towarzystwa i pozwolił korzystać z biblioteki, ale prosił, żeby nigdy nie przeszkadzać mu w ciągu dnia. Widywałam go przez parę godzin nocami i przy obiedzie, choć nie jadał zbyt często. Ani też nie kwapił się, by jego ciało przyozdobiło moje łóżko.

Zapytałam go, co robi całymi dniami; odpowiedział, że rozmyśla nad sensem wszechrzeczy. Pomyślałam sobie, że może to trochę potrwać i zrezygnowana postanowiłam zapomnieć o normalnym życiu.

Pewnego wieczoru, kiedy jedliśmy ustrzelonego przeze mnie gołębia, mój mąż wstał od stołu i rzekł:

– Jest taka czarna wieża, w której mieszkają dzikie bestie. Wieża nie ma okien ani drzwi. Nikt nie może tam wejść ani stamtąd wyjść. Na szczycie wieży jest klatka z prętami z kości. Z tej klatki uwięziona dusza spogląda w słońce. Ta wieża to moje ciało, klatka – moja czaszka, a dusza poszukująca ukojenia w śpiewie to ja sam. Ale nie znajduję pociechy, jestem samotny. Zabij mnie.

Spełniłam jego prośbę. Roztrzaskałam mu czaszkę srebrnym lichtarzem i usłyszałam syk, podobny do tego, jaki wydaje wilgotne polano wrzucone do ognia. Otworzyłam drzwi, wywlokłam go na zewnątrz i wyrzuciłam w powietrze. Poszybował w przestworzach.

Widuję go czasami, ale tylko z daleka.

Na tym ich opowiadania się skończyły. Dwanaście tańczących księżniczek zaprosiło mnie na nocleg.

– Kogoś brakuje – stwierdziłem. – Jest was tylko jedenaście i usłyszałem tylko jedenaście opowieści. Gdzie jest wasza siostra?

Spojrzały po sobie, po czym najstarsza rzekła:

– Naszej najmłodszej siostry tu nie ma. Nigdy z nami nie mieszkała. W dniu jej ślubu z księciem, który odkrył naszą tajemnicę, odfrunęła od ołtarza jak ptak, co ulatuje z sideł, i przeszła po linie rozpiętej pomiędzy wieżą kościelną a masztem statku zakotwiczonego w zatoce.

Była najlepszą tancerką w naszym gronie, umiała zmusić giętkie ciało do ewolucji, jakich my nie potrafiliśmy wykonać. Robiła to dla przyjemności, ale taniec był dla niej czymś więcej: każdy inny sposób egzystencji byłby dla niej fałszem. Nie płonęła potajemnie nie dającą się wyrazić namiętnością; ona jaśniała pełnym blaskiem.

Nie widziałyśmy jej przez całe lata od tego dnia, gdy założyłyśmy czerwone suknie i rozpuściłyśmy czarne włosy. Musi być już stara, zeszywniały jej pewnie stawy. Jej ciało to już tylko wspomnienie. Jej ciało nie jest dziś tym samym ciałem, co dawniej.

– A pamiętacie – zapytała inna siostra – jaka była lekka? Była tak lekka, że mogła spuścić się po linie, odciąć ją i związać z powrotem w powietrzu, nie spadając w otchłań. Podtrzymywał ją wiatr.

– Jak ma na imię?

– Fortunata.

Na początku ledwie do nas docierało, że jest wojna. Wiele było tylko gadania, a tacy jak kaznodzieja Scroggs czy sąsiad Firebrace nie zaniedbali żadnej okazji, żeby wykazać swą wyższość nad pospólstwem. Ale poza tym było dość spokojnie, zdarzały się tylko drobne potyczki, a od czasu do czasu bandy Okrągłych Głów napadały na dwór i zajmowały go, niby to w imię Boga. Nikt właściwie nie zakładał, że król może nie wygrać, bo wygrywał zawsze, jak to królowie, bez względu na to, z kim przyjdzie im walczyć.

Ja sama lubię, kiedy jest gorąco, bawiło mnie więc judzenie sąsiada Firebrace'a. I doprawdy, okrutnie mi brakowało jego chytrej, krzywej gęby, kiedy byłam w Wimbledonie, bo jakaż z tego przyjemność, kiedy wszyscy zgodni?

W Wimbledonie byliśmy pewni, że królowa Henrietta wróci lada chwila ze sprzymierzeńcami z Francji, Italii lub Hiszpanii i zetrze z powierzchni ziemi tych obłudnych purytan, wystrojonych w sztywne od krochmalu szatki, ale ona nie znalazła sojuszników. Życzliwych w bród, ale sprzymierzeńców brak. A flota była przeciw królowi, opanowała porty i lustrowała morze, wypatrując choćby najmniejszych oznak nadciągającej pomocy.

Kiedy przyszli do nas ludzie króla i opowiedzieli nam o wyczynach „Króla Kpa”, jak przezywano Cromwella, który rozbijał piękne witraże w naszych kościołach i zamykał wszelkie przybytki uciechy, żeby mężczyźni i niewiasty nie zaprzęтали sobie głowy niczym innym, jak tylko myślami o niewidzialnym Bogu, zapalaliśmy nienawiścią do tego, co początkowo wydawało się żartem.

Wybrałam się do kościoła za ogrodami. Jest to wiejski kościółek słynący z okna nad głównym ołtarzem; witraż przedstawia naszego Pana, jak karmi pięcioletnią rzeszę głodnych. Czarny Tom Fairfax, nie mając nic lepszego do roboty, ustawił w oknie swoją armatę i kazał dać ognia. Kiedy zaszłam do kościoła, witraża nie było, a ci, co wystrzelili, uciekli.

Grupka niewiast zebrała się wokół szczątków witraża, zaścielających podłogę barwnym kobiercem, barwniejszym od najpiękniejszych kwiatnych klombów. Były wśród owych kobiet takie, co od lat myły witraż, polerując lśniącą rybę, którą trzymał w wyciągniętych ku złaknionym rękach nasz Pan, i zeskrobując kopeć ze stóp apostołów. Kochały ten witraż. Bez słowa zaczęły zbierać pospołu odłamki szkła do koszyków. Zebrały tak potłuczony bochen chleba, dwie ryby i zadziwione twarze głodnych, aż ich koszyki wypełniły się po brzegi niczym kosze uczniów, naocznych świadków cudu. Zebrały wszystko, co do okruszka; ręce im krwawiły. Powiedziały mi, że odtworzą witraż w jakimś sekretnym miejscu. Pod wieczór, ukończywszy dzieło, weszły gęsiego do kościółka, żeby się pomodlić, a ja, nie odważywszy się pójść za ich przykładem, podpatrywałam je przez dziurę po wybitym oknie.

Kłęcząły w szeregu przed ołtarzem; posadzkę za ich plecami pokrywała niewidoczna dla nich mozaika barwnych plam – czerwieni, żółci i błękitu. Kolory zdawały się wsiąkać w kamienne płyty i zdobiły plecy kłęczących, tak że kobiety wyglądały jak przebrane w kostiumy arlekina. Cały kościół aż tańczył w migotliwym świetle. Zostawiłam je w końcu i poszłam do domu, z głową pełną myśli, których już nigdy nie miałam się pozbyć.

Rozprawa zaczęła się 20 stycznia 1649 roku. Jordan, Tradescant i ja spędziliśmy w Londynie cały tydzień. Tradescant zamieszkał w gospodzie „Pod Cierniową Koroną”, a ja i Jordan zatrzymaliśmy się w naszym starym domu, nie odwiedzanym od sześciu lat. Zapachy były te same, rzeka wciąż gęsta od nieczystości, grzebiący w mule chwiali się w wodzie, zanurzeni aż po szyje we wszelakim paskudztwie. Środkiem rzeki płynęła na skrzynce jakaś kura. Byłam dumna i podniecona, liczyłam nawet na to, że wpadnę może przypadkiem na tę chuderlawą wiedźmę, moją niby to przyjaciółkę, i będę jej mogła opowiedzieć o naszych wyczynach w szerokim świecie.

Jordan miał już dziewiętnaście lat i sięgał mi piersi, co było imponujące jak na kogoś, kogo nie wydało na świat moje ciało. Nie przypominał mnie poza tym w niczym, za co, podejrzewam, dziękował po cichu Bogu, choć z drugiej strony nigdy nie wzdrygał się na mój widok, jak to czynią inni.

Założyłam swój najlepszy strój, szeroką spódnicę, która mogłaby zastąpić żagiel na jakiejś korwecie, dodałam do tego trochę frymuśnych koronek wokół szyi, zrobionych przez pewną ślepą kobietę, w której przekonaniu miał to być szal. Dałam jej ogólne wyobrażenie o swoich wymiarach, ale mi nie uwierzyła i wobec tego, choć nie mam czym okryć ramion, jeśli nie liczyć tuzina ześcibionych razem derek, to przynajmniej mogę się pysznić misternie udzierganym kołnierzem. Z okazji powrotu do domu wyciągnęłam też swój kapelusz i doszłam do wniosku, że pomimo swego upośledzenia prezentuję się wcale, wcale.

Kiedy zbliżaliśmy się do mojej chaty, zobaczyłam dym ulatujący przez otwór w dachu, a podszedłszy jeszcze bliżej, dostrzegłam sąsiada Firebrace’a i kaznodzieję Scroggsa, stojących razem na progu mego domu i zatopionych w jakichś niecnym knowaniach.

– Jordan! – zawołałam. – Pędź co sił w nogach, palą nam dom!

Sama podbiegłam do rozprawiającej dwójki i wyrosłam przed nimi niczym Goliat nad Dawidem. Zaczęli się trząść ze strachu, a kaznodzieja Scroggs, zakrywszy dłonią usta, zaczął coś bełkotać o mojej śmierci.

– A któż wam powiedział, że nie żyję?

Scroggs nie potrafił na to odpowiedzieć, pchnęłam go więc jak kukłę i zajrzałam do chaty. Była zawałona po samą powałę jakimiś papierzyskami.

– Zarekwirowaliśmy twój dom w imieniu Jezusa i Olivera Cromwella – rzekł Firebrace, a purpurowy nos poczerwieniał mu jeszcze bardziej od poczucia słuszności i powagi misji. – Te

gazety demaskują króla.

Chwyliłam pierwszą gazetę ze sterty; okazało się, że jest to „Diurnal Doskonały”, wredny i szmatławy organ wydawany przez niejakiego Samuela Pecka, znanego łotra i szubienicznika.

– Ten cały Peck – rzekłam, chwytając Firebrace’a za kubrak – ten Peck jest moim osobistym wrogiem, bo wziął ode mnie dwa dobre psy i do dziś nie zapłacił, choć minęło już kilka lat.

Firebrace wił się jak piskorz, oderwałam go więc od podłogi i podniosłam na wysokość oczu. Aż się uślinił ze strachu.

– Ten cały Peck – ciągnęłam, zionąc mu prosto w gębę gorącym oddechem niczym smok – to oskubany, łysy myszołów. Tyka z haczykowatym nosem i z długimi nogami nawykłego do ucieczek psubrata.

Zawołałam Jordana i poleciłam mu, żeby zaczął wyrzucać gazety przed dom.

– Ułóż stos, Jordan, jak najwyższy, podpalimy go, a kiedy już będzie porządnie buzował, ułożymy na szczycie kaznodzieję Scroggsa i sąsiada Firebrace’a, aby uczcić pamięć Guya Fawkesa.

Na te słowa podszedł do mnie Scroggs z gębą wykrzywioną jak u ropuchy i spojrzeniem pełnym jadu.

– Ryzykujesz piekło, moja pani – wycedził.

– Użał się zatem nade mną – mówię. – Mnie ciebie już szkoda, bo tobie piekło nie grozi; pewne jest jak amen w pacierzu, że tkwisz w nim już od dawna i nigdy się stamtąd nie wydostaniesz.

– Może powiesz to moim ludziom – rzecze on z tym swoim krzywym uśmieszkiem i odsuwa się na bok, odsłaniając ośmiu tęgich Okrągłogłowych w opończach bez żadnych dystynkcji.

Podeszłam do drzwi i zobaczyłam, że trzech innych osaczyło Jordana przy stosie.

– Szatańskie nasienie! – wrzasnęłam. – Zgiń, szczeźnij maro!

Jako żem grzeszna, diabły nie zniknęły bynajmniej jak na wezwanie Jezusa, a wręcz pochwyliły Jordana i gdzieś go powlokły ze sobą. Firebrace tak popierdywał i rechotał z uciechy, że zaczęłam się obawiać, iż rozpryśnie się w kawałki, zanim ja sama zdążę go rozerwać.

Ruszyłam prosto na strażników, złamałam rękę pierwszemu, przetrąciłam kark drugiemu i kopniakiem w głowę powaliłam trzeciego. Rzuciło się na mnie pięciu pozostałych, a kiedy już wysłałam dwóch pierwszych na tamten świat, trzeci chwycił za muszkiet i wypalił mi prosto w pierś. Upadłam, rozgniatając przy okazji jednego, który czał się za moimi plecami, po czym wyjęłam pocisk z rowka pomiędzy cyckami. I wpadłam w istny szal.

– Nie godzi się dżentelmenom niszczyć sukni ubogiej kobiety i to najlepszej, jaką mam.

Usiadłam i zaczęłam zawijać rękawy, bo zaświtało mi w głowie, że muszę potraktować tych łotrów poważnie. Ale zanim zdążyłam się podnieść, oni czmychnęli, pozostawiając Scroggsa i Firebrace’a, którzy trzęśli się jak w dniu Sądu Ostatecznego.

– Nie zabiję was teraz – powiedziałam – bom zmęczona podróżą i marzę o tym, żeby spokojnie odpocząć we własnym domu. Zmiatajcie stąd obesrańcy i nigdy mi tu nie wracajcie, choćbym się miała więcej tu nie pojawić.

Moja wielkoduszność zawstydziła ich widocznie, tak jak to bywa nawet z zatwardziałymi grzesznikami, kiedy staną w obliczu cnoty. Gdy już sobie poszli, zwaliliśmy na stos cały komplet „Diurnała Doskonałego” i rozpaliliśmy ognisko; wspaniałe, strzeliste płomienie widać chyba było z drugiego brzegu Tamizy. Zbiegła się ze wszystkich stron biedota i obsiadła ogień, żeby się ogrzać i napić mojego piwa. Wyobraziłam sobie, że nigdy nie opuszczałam domu i że wszystkie nasze przygody i tarapaty były tylko snem. Patrzyłam na Jordana i widziałam chłopczyka z pokiereszowanym stateczkiem-zabawką. I pomyślałam, że jak długo uda się podtrzymać ogień, tak długo przyszłość nie jest groźna i tak długo będzie trwała ta chwila. I to ciepło i światło. Ale w końcu zmorzył mnie sen; kiedy się obudziłam, dygocząc z zimna, szary świt wstawał nad wodą, a popioły naszego ogniska ściał przymrozek i pokrył nalot szronu.

Popijałam sobie z Tradescantem, gdy do gospody „Pod Cierniową Koroną” wśliznął się mały posłaniec i położył na stole przed nami gazetę.

Gospodarz był lojalistą i nie chciał mieć nic wspólnego z zelotami o kwaśnych gębach i płaskich zadkach, którzy ogłosili króla zdrajcą narodu. Despota, mówili o nim, tyran, utracjusz, nieposłuszny woli parlamentu powołanego przez lud i dla ludu. Londyn był zarzucony broszurkami, informującymi każdego, kto mógł je przeczytać, że król nie reprezentuje Praw Boskich i powinien odpowiedzieć za swe grzechy przed sądem. Jeśli o mnie chodzi, wolę popełniać grzech nieumiarkowania niż grzech zaniechania.

Purytanie, którym marzy się władza świętych na ziemi i dla których jedynym królem jest Jezus, zapominają, że zostaliśmy obdarzeni ciałem i w ciele musimy pozostać. Ich kobiety bandażują sobie piersi i warzą prostą strawę bez soli, a mężczyźni tak się boją, żeby im nie stanął, że podwijają członki między nogi i też krępują je bandażami.

W tygodniu poprzedzającym rozprawę opłacili ludzi, aby podsłuchiwali w miejscach publicznych, kto jest lojalny wobec króla. Kolportowanie tej kiepsko wydrukowanej gazety z posłaniem króla i bez nazwiska wydawcy jest zbrodnią, za którą płaci się głową. Chłopiec, razem z miedziakiem od Tradescanta, natychmiast zniknął, jakby wsiąknął w ścianę, my zaś wszyscy, którzy kochamy króla, zbiliśmy się w ciasny krąg, by posłuchać słów naszego monarchy.

Tradescant obiecał nam miejsca na galerii w sądzie. Pójdziemy w przebraniach, choć jakie przywdzieję ja, nie jest jeszcze pewne...

W tygodniu poprzedzającym proces zakazano w Londynie pojawiać się publicznie rojalistom

i Tradescant, jako człowiek pełniący służbę na dworze królewskim, narażał się na poważne niebezpieczeństwo. Każdego, kto zabiegał o wstęp na rozprawę, poddawano ścisłej kontroli i rewidowano, choć purytanie, w trosce o korzystny wizerunek publiczny, przyrzekali, że proces będzie otwarty i gwarantowali wolny wstęp wszystkim oprócz popleczników króla. Tradescant i Jordan przebrali się za dziwki, umalowali się, pociągnęli usta szkarłatną pomadką i założyli takie kiecki, jakby wyobracali ich wszyscy żołdacy w stolicy. Jordan drobił tak wdzięcznie, a jego twarz zdobił tak lubieżny uśmiech, że tego wieczoru dostał niemało propozycji od amatorów chędożenia.

Ja okręciłam się czarnymi jak smoła łachmanami i założyłam starą perukę, którą wyprosił mi w teatrze. Potem zmajstrowałam sobie specjalnie wzmocnione taczki i zasiadłam w nich, podobna do złudzenia do kupy nawozu.

I w ten sposób wparadowaliśmy do siedziby cechu bławatnego, gdzie mieli sędzić króla.

Przy wejściu na salę zatrzymali nas dwaj żołnierze i zapytali, czy mamy przepustki na galerię.

– Ależ oczywiście, że mamy przepustki! – obruszyłam się, wsuwając rękę w fałdy swych łachmanów. – Otrzymaliśmy je jako wyjątkowo zatwardziali grzesznicy. Tylko spojrzcie: podpisał je sam Hugh Peter.

Była to prawda. Hugh Peter, piegowaty i dziobaty kaznodzieja, który uważał się za zastępcę Chrystusa na ziemi, rozdawał przepustki na galerię wszystkim grzesznikom, którzy szczerze pragnęli pokuty i chcieli świadkować inauguracji rządów Świętych. Swoje cotygodniowe kazanie rozpoczął ostatnio słowami „I zakuje on króla w łańcuchy”, a potem wszyscy wyzbyci nadziei i potępieni zaczęli pełznąć ku niemu, by doznać pociechy. Jordan, przebrany za dziewczkę, poczuł śliską dłoń kaznodziei pod spódnicą, a równocześnie usłyszał obietnicę wybawienia, jakie może mu przynieść tylko Chrystus. Płacząc i łkając, wyżebrał dwie dodatkowe przepustki dla swych przyjaciółek. Prostych kobiet, kobiet spragnionych dotyku kojących dłoni pasterza.

No i udało się.

Żołnierz spojrzął z ukosa na papiery i kazał mi zejść z taczek przy wejściu na galerię.

– Nie mogę, sir! – zawołałam. – Zżera mnie syfilis i cała gniję od spodu. Gdybym wstała, sir, rzeka ropy puściłaby się przez te szmaty. Rządy Świętych nie mogą się wszakże zacząć w potokach ropy.

Jordan i Tradescant stali za moimi plecami, dzierżąc w dłoniach uchwyty taczek.

– Moja córka i siostrzenica, sir – machnęłam ręką za siebie. – Przytargały mnie tu aż z Plymouth, żebym dostąpiła zbawienia.

– Każda mila to istna męczarnia – dodał Jordan. Żołnierze odeszli na bok i naradzali się przez chwilę, a tymczasem ja pociłam się ze strachu, że każą mi wstać i zobaczą, jaka jestem wielka. Wiedziałam od Tradescanta, że po mojej potyczce ze strażą rozesłano za mną listy

gończe.

– Możecie wejść – oznajmił wreszcie jeden z żołnierzy.

– A zatem proszę zrobić dla nas przejście – powiedziałam, tocząc triumfalnie wzrokiem dokoła – bo będę musiała wgramolić się po tych schodach na galerię i moja córka musi iść za mną, żeby zbierać wszelkie płyny jakie ze mnie wyciekną. Jest to odór porównywalny tylko z tym, jaki wydziela trzydniowe psie truchło, a więc bynajmniej nie dla ludzi o wrażliwym powonieniu.

Widziałam, że żołnierzowi drgnęły wargi, ale nie powiedział nic i poprowadził nas ku wielkim drzwiom na galerię. Odepchnął ludzi czekających w kolejce na ich otwarcie i machnięciem ręki nakazał wejść do środka.

Kiedy drzwi zamknęły się za nami z hukiem, wyskoczyłam z tacek i wetknąwszy je sobie pod pachę, pognałam po schodach na górę, gdzie z powrotem wskoczyłam do swego pojazdu i podjęłam od nowa swe zawodzenia i błagalne modły do Jezusa.

Rozprawa trwała siedem dni i nie była właściwie żadną rozprawą, ale najkrótszą drogą do egzekucji. Król miał na głowie aksamitny kapelusz i nie zdołały go żadne klejnoty ani kosztowności, tylko Order Podwiązki, który prezentował z dumą Bradshawowi, głównemu oskarżycielowi w procesie. Zdobył sobie sympatię nawet swoich wrogów. W niedzielę, kiedy pobożny lud zebrał się w kościele, Obadiah Sedgewick zaczął miotać w swoim kazaniu gromy na króla, a jego słowa spotkały się z głuchym milczeniem wiernych.

Siódmego dnia galeria pękała wprost w szwach od wybałuszającej ślepią, odzianej w purytańskie szatki gawiedzi, która ściągnęła tłumnie, by wysłuchać wyroku.

Urzędnik sądowy wstał i odczytał długą listę przestępstw popełnionych przez króla; między innymi znalazł się tam zarzut, że oskarżony odmówił odpowiedzi na pytanie, czy czuje się winny, czy nie, bo nie uznaje tego sądu. W końcu ów tyczkowaty jegomość o pryszczatym obliczu gołowąsa i łysiejacej czasce starca przeczytał z największym namaszczeniem, na jakie potrafił się zdobyć, następujące słowa: „Karolu Stuarcie, tyranie, zdrajco, morderco i wrogu publiczny, zostaniesz zgładzony przez oddzielenie twej głowy od ciała”.

Potem wszyscy, którzy podpisali wyrok śmierci, a było ich sześćdziesięciu ośmiu, wstali, żeby złożyć swoje podpisy.

Król powstał również, by przemówić, ale Bradshaw do tego nie dopuścił i dał znać ruchem ręki, żeby wyprowadzić skazańca. W świetle prawa król był już martwy, a martwi nie mówią.

Patrzyliśmy, jak król opuszcza salę, wyprostowany, z trzciniową laseczką w dłoni. Na ulicy czekał nań tłum jego zwolenników, którzy zlekceważyli zakaz gromadzenia się przed sądem. Rzesza była zbyt liczna, by strażnicy mogli wszystkich aresztować, ale i tak nikt nie zdołał wedrzeć się do środka. Ludzie płakali. Karol zwrócił się do swoich katów i powiedział głosem

wystarczająco donośnym, byśmy go usłyszeli:

– Mogliście im zakazać wstępu na rozprawę, ale nie powstrzymacie ich łez.

Zimą o północy mróz roziskrza ziemię i ścina lodem gwiazdy. Czuwaliśmy całą noc, wszyscy troje, kuląc się z zimna i przyglądając się, jak cieśle wznoszą szafot przy świetle kilkunastu pochodni. Mieli czarne maski i rozglądali się na boki, jakby w obawie, że z ciemności wychynie nagle stado demonów i rzuci się na nich. Zabicie króla przynosi nieszczęście.

Kat stał pod pochodnią osadzoną w murze i ostrzył topór osełką. Przeciągał nią wzdłuż ostrza, aż sypały się na wszystkie strony pomarańczowe iskry. Wypróbował ostrze kciukiem i dostrzegliśmy, że się zaczerwieniło. W klatce obok stała owieczka. Było tradycją, że przed ścięciem skazańca wysokiego urodzenia kat wypróbowywał topór. Dwóch pomocników wyciągnęło opierającą się owcę z klatki; przytrzymali ją, związawszy jej uprzednio tylne nogi i podwinąwszy je pod spód, po czym topór świsnął w powietrzu i przeszedł przez runo, mięśnie i kość tak gładko, iż przez chwilę zdawało mi się, że można by podnieść odrąbany łeb, przyszyć go i puścić owieczkę wolno.

Rozległ się niemrawy okrzyk katowskiej drużyny, po czym pomocnicy nadziali zwierzę na szpikulec, żeby upiec je nad ogniskiem. Łeb i skórę oddali żebrakowi.

Dopiero po południu pojawił się król w lnianym giele i z krótko przystrzyżoną brodą. Nie zadrzał, choć wielu gapiów zemdlało już z zimna. Uklęknął i złożył głowę na pniu; po policzkach Tradescanta potoczyły się łzy, które natychmiast zamarzyły i zaskrzyły się jak brylanty. Król dał znak; w chwilę później zawijano jego głowę w białą chustę i wynoszono ciało.

Tej nocy w gospodzie „Pod Cierniową Koroną” Tradescant postanowił, że wsiądzie na statek i opuści nas. Zobaczyłam wyraz twarzy Jordana; serce ścisnęło mi się i zatrzepotało jak ptak uwięziony w klatce. Był już poza moim zasięgiem. Wiedziałam, że nic go nie powstrzyma.

Wyszłam z gospody i wędrowałam przed siebie tak długo, aż jej oświetlone okna zamieniły się w małe punkciki, a ja zostałam sam na sam z rzeką toczącą swe wody ku morzu.

Gdzieś daleko stąd w szkole tańca Fortunata uczy dzieci, jak zmieniać się w punkciki światła.

Zaczynają już jako sześcio-, siedmiolatki i niektóre pozostają tu do końca życia.

Większość wypuszcza Fortunata na wolność jak motyle na ukwieconą łąkę świata. Ciała, które kiedyś mogły złożyć się we dwoje, a teraz zesztyniały, obrabia jak żelazo wyjęte z paleniska, hartując je, wyciągając, napinając i odkształcając ściągna do granic możliwości, a swą sztukę nazywa naturą.

Wierzy głęboko, że jesteśmy wszyscy upadłymi istotami, które kiedyś umiały latać. Utrzymuje, że w naszych ciałach gorzej jasny płomień, który może nas w każdej chwili roztopić, unicestwić. Bo jak inaczej wyjaśnić, że tak wielu ludzi znika bez śladu?

Jej zadaniem jest uwolnić światło uwięzione w splocie słonecznym i zmusić je, żeby rozeszło się wzdłuż ramion i nóg po czubki palców i do stóp, tak aż jej tancerzy pokryją niczym pot pelgające języczki ognia.

Mówi do swoich uczniów: Ciało można pokonać tylko poprzez ciało.

Zaprasza ich do kontemplowania pięcioramiennej gwiazdy na brzuchu i obserwowania, jak jej cztery ramiona promieniują na zewnątrz, a piąte ku głowie. Wprawia ich w ruch obrotowy, przesytych na wskroś pionową osią światła, z uniesionymi ramionami, ze stopą na udzie drugiej nogi, tak że powstaje trójkąt, z drugą stopą wspartą na puencie, na punkciku wielkości monety. I tak wirują, aż zacierają się ich rysy, aż człowiek przypomina bardziej dzinna uwolnionego z mroku dzbana. Wprawia ich tak w ruch po kolei, jak żongler wirujący talerzami na pręcie, a potem biega wzdłuż szeregu, bo widzi, że jedno zwalnia, a innemu grozi, że upadnie od zawrotów głowy. I w tym krótkim momencie, kiedy wszyscy na całej długości sali wirują harmonijnie w jednakowym tempie, słyszy muzykę dobywającą się z ich głów, pleców i trzewi. Muzyka dźwięczy niczym rżnięty kryształ. Jest ogłuszająca. I wtedy właśnie owo wirowanie zdaje się ustawać, a obłąkańcze obroty tancerzy nie są już zwykłym ruchem; zamieniają się w nieskończoność.

Kim są ci, którzy lśnią złotym blaskiem, jak apostołowie z witraża w słońcu południa?

Lśniący parkiet emanuje ciepłem ich ciał, gdy jedno po drugim padają wyczerpani na podłogę.

Fortunata pomaga im się odświeżyć i taniec zaczyna się od nowa.

* * *

Świat nekają okrutne plagi. Szaleją tajemnicze choroby, pustoszą miasta i miasteczka, zostawiając za sobą wyludnione kościoły i wystygłą pościel, którą trzeba palić. Woda święcona, krzyże, górskie powietrze, opieka świętych i dieta wegetariańska mają chronić nasz gatunek przed gniciem. Ale co uchroni nasz gatunek od miłości? Jakiś człowiek sprzedał mi naszyjnik z kostek kurczaka; zapewniał, że ptak był w prostej linii potomkiem kurczaków, które grzebały w ziemi wokół żłóbka w Betlejem. Te kości mają mnie chronić przed wszelkim bólem i prowadzić prosto do nieba. On sam też nosił takie na szyi.

– A miłość? – zapytałem. – Co z miłością?

Potrząsnął głową i zapewnił mnie, że nic nie zabezpiecza przed miłością. Żaden amulet nie chroni przed choćby najbardziej przelotną miłością. Ale jeśli chodzi o jej przywołanie, to całkiem inna sprawa – czy interesowałaby mnie może torebeczka korzennej mieszanki, przyrządzonej przez samego Don Juana?

– Skoro jednak jest sposób, żeby ją pobudzić, można jej chyba także zapobiec?

– W żaden sposób – odparł – bo każdy chętnie ulega miłości. Łatwo ją rozniecić, nie można zaś ugasić jej płomienia, chyba że wypali się sama.

– A jednak są ludzie, którzy nigdy nie kochają. Moja matka należy do takich.

– Tacy coś ukrywają – odpowiedział. – Zazwyczaj.

Pomyślałem o wielkich kochankach, mężczyznach i kobietach, którzy uczynili z miłości swoje rzemiosło, krocząc niezmordowanie od jednego namiętnego romansu do drugiego, czasem działając na dwa, trzy lub cztery fronty, niczym wytrawni stratedzy. Za czym gonili?

W moich własnych namiętnościach nie było niczego, co warto by polecać innym. Nie tylko uganiałem się za tancerką, która zdaniem jej siostr była zbyt stara, by mogła się zwinnie poruszać, ale wcześniej wkładałem się w liczne romanse z kobietami, które nie chciały lub nie mogły mnie kochać i po prostu mnie nie kochały. A ja: czy je kochałem? Tak mi się wtedy zdawało, ale teraz zaczynam w to wątpić, bo widzę, że kochałem poprzez nie tylko samego siebie.

Niejeden raz gotów byłem oddać całe moje życie za miłość. Za to, by móc zmienić wszystko, co dla mnie istotne, i przenieść się w inny świat, w którym nie istnieje nic prócz ukochanej. Takie poświęcenie musi być wynikiem miłości... A może rzecz w tym, że samo moje życie uległo już wyczerpaniu? Być może już z nim skończyłem i przez upór czy ze strachu nie chcę tego przyznać. Albo też o tym nie wiem i podtrzymuję je z przyzwyczajenia.

Często jest chyba tak, że ci, którzy najbardziej pragną odmiany, postanawiają się zakochać, a potem załamują ręce i zórzeczą losowi. Ale to nie los, w każdym razie nie los rozumiany jako coś zewnętrznego; to sprawa wyboru dokonanego potajemnie po długich nocach tęsknoty.

Kiedy otrząsałem się z tych namiętnych romansów, trochę tak jak otrząsa się pies po niespodziewanej kąpieli w kanale, nie mogłem zrozumieć, co mianowicie tak strasznie mnie gnębiło. Ukochana jest płytka, nieczuła, chciwa, wyrachowana, głupia. Takie myśli są naturalnie reakcją obronną, ale też świadczą albo o mojej absolutnej naiwności, albo o tym, że jestem niewybredny.

A więc wyjaśnię to w ten sposób:

Mężczyzna czy kobieta zatopieni w niemożliwych do wyrażenia słowami marzeniach o życiu, jakie nie jest ich udziałem, natrafiają nagle na drzwi w murze. Otwierają je. Za tymi drzwiami kryje się właśnie to życie i inny mężczyzna lub kobieta, dla których jest ono czymś naturalnym. Może im nie chodzić o dobra materialne, tylko o coś wręcz przeciwnego, ale to utajone życie zostaje odkryte. To jest ich prawdziwy dom i to jest ich ukochany bądź ukochana.

Może jestem cyniczny, twierdząc, że ukochany czy ukochana rzadko bywają czymś więcej niż bladym odbiciem marzeń kochającego. Być może zresztą to wystarczy. Może wystarczy sama mrzonka. Cierpienie pojawia się wtedy, kiedy zmieniają się sny, a one się zmieniają, muszą się

zmieniać. Nagle zaczarowane miasto znika i zostajesz sam na wymiatanym wichrami pustkowiu. A twoja ukochana cię nie rozumie. W rzeczywistości ty sam nigdy nie rozumiałeś siebie.

W jednym z odwiedzonych przeze mnie miast cała populacja została trzy razy z rzędu unicestwiona przez miłość. Po trzecim ataku tej plagi jedyna pozostała przy życiu dwójka, mnich i kurwa, zdecydowali, że miłość w ich nowym państewku ma być zakazana i że każdy, kogo przyłapie się na jej uprawianiu, zostanie zgładzony. Podekscytowani swoim godnym podziwu planem kochali się, kiedy tylko mogli, i dzięki żywotności kurwy zdołali w krótkim czasie zaludnić miasto. Od najwcześniejszych lat ostrzegano dzieci przed złowrogimi osobistymi i społecznymi konsekwencjami miłości. Nakłaniano je, aby porzuciły wszelkie romantyczne mrzonki, osobników różnych płci starannie izolowano, a małżeństwa równie pieczołowicie aranżowano według planu. Uprawianie seksu, który z samej natury rzeczy rozpala zarówno serce, jak i lędźwie, dozwolone było tylko wtedy, gdy chodziło o płodzenie potomstwa lub też przy okazji dwóch, trzech świątecznych nocy w roku, kiedy to sprowadzano z sąsiednich miast ekipy prostytutek obojga płci, żeby zaspokajały żądze miejscowych. Naturalnie zdarzało się, że nawet przy okazji tak przelotnych kontaktów niektórzy roztapiali się na zawsze w mroku nocy. Mnich i kurwa, teraz niewiarygodnie wręcz sędziwi, ale wciąż panujący nad sytuacją, uznali takie zniknięcia za nielegalne i nakładali sekwestr na mienie zaginionych osób.

Zagadnąłem ich o tę surowość zasad, porównując przy okazji ów system do władzy sprawowanej przez purytan w moim kraju rodzinnym. Nie słyszeli o purytanizmie, ale uznali pomysł krępowania męskiego członka bandażami za bardzo interesujący. Aspekt religijny, stwierdzili, jest nieważny; sprawą największej wagi było zapobieżenie kolejnej pladze miłości, która opanowując miasto, sprawia, iż ciężko pracujący ludzie porzucają nagle swe zajęcia i rodziny i zaczynają rzucać róże z okien bądź układać miłosne ballady.

– Wystarczy kilka miesięcy takiego zamętu – mówił mnich – i ludzie popadają w kompletną ruinę.

Potem opowiedział mi, jak to było podczas ostatniej fali zarazy. Zaczęło się spokojnie, jakieś gitary w świetle księżyca, kilka miłosnych bilecików przemyconych pod osłoną mroku. W końcu burmistrz zadurzył się w dziewczynie ze sklepu i powiesił swój łańcuch, insygnium pełnionego urzędu, w publicznym szalecie. Potem przyłapywano wszystkich mnichów po kolei, jak onanizowali się przed posągiem Hildegardy z Bingen. Puszczali mimo uszu wezwanie na modły o piątej rano. Właściwie ignorowali je tak konsekwentnie, że starzec wynajęty do bicia w dzwon umarł z wyczerpania na atak serca. Walił wytrwale jeszcze o ósmej – podobnie zresztą jak oni.

Co gorsza, zwykli ludzie, bez wrodzonych skłonności do ekstrawagancji, zaczęli wodzić za sobą oczami i umierać z miłości. Codziennie kopano na stoku wzgórza nowe groby. Sam grabarz tak się zachwyił kobietą, którą chował, że oderwał wieko trumny i wśliznął się do środka. Po wielogodzinnych błaganiach rodzina straciła cierpliwość i sama zaczęła zasypywać grób. Potem

zaczęto wrzucać trupy do rzeki i wszyscy pozostali jeszcze przy życiu zmarli od zarazy. Wszyscy oprócz mnicha, który pościł i pił tylko święconą wodę z piwnic klasztornych, oraz kurwy, która nie piła wody w ogóle.

– Ludzie, którzy żyją tu teraz – ciągnął – są bezgranicznie szczęśliwi i wolni od chorób. Powinieneś tu osiąść na stałe. Wyszłoby ci to na dobre.

Postanowiłem rozejrzeć się po okolicy i zacząłem od zakupienia chleba na straganie. Młoda kobieta podała mi go bez uśmiechu, choć ja szczerzyłem do niej zęby. W końcu powiedziała:

– Tego tu robić nie wolno. Lepiej przestań.

– Czego nie wolno?

– Nie wolno ci się we mnie zakochać.

– Ja wcale nie zamierzam się w tobie zakochać.

– To po co się do mnie uśmiechasz?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, wyciągnęła książkę i zajrzała pod „U”, po czym przeczytała na głos: „Uśmiech jest jedną z pierwszych oznak miłości. Jeśli ktoś się do ciebie uśmiecha, bądź pewien, że ma zgoła inne intencje”.

– Przepraszam – powiedziałem, starając się nie pokazywać zębów.

Potem poszedłem kupić organki; bardzo się przy tym pilnowałem, żeby się nie uśmiechać.

– Czy dostanę gitarę albo mandolinę? – zapytałem.

Równie dobrze mogłem poprosić sprzedawcę o wykopanie kości Matki Boskiej, tak gniewną i obrażoną miał minę. Kiedy wyjaśniłem, że jestem cudzoziemcem, zmiękł nieco i powiedział, że gitary i mandoliny są zakazane, podobnie jak skrzypce. Ma piękną tubę, jeśli byłbym zainteresowany. Odmówiłem grzecznie, ale nie wychodziłem, czekając na jakieś dalsze wywody, które by mnie nieco oświeciły. Odesłał mnie w końcu do miejskiego muzeum.

Muzeum było posepnym przybytkiem. Najwyraźniej nikt o nie nie dbał; nie dostrzegłem ani kustosza, ani zwiedzających. Było to Muzeum Miłości. Kiedy wszedłem do głównej sali, powitał mnie posąg Samsona, oślepionego i pokonanego, przykutego łańcuchami do dwóch filarów w pełnym przepychu pałacu Filistynów. U jego stóp siedziała Dalila, uśmiechając się radośnie. Trzymała jego włosy.

Szybko znalazłem wyklęte gitary i mandoliny. Wisiały wysoko na ścianie, a pod nimi widniała groźna inskrypcja, określająca je jako „INSTRUMENTY ŻĄDZY I SZALEŃSTWA”.

Obok stał bukiet zasuszonych róż. Dalej wisiał łuk Kupidyna i kołczan ze strzałami. W szklanych gablotach wystawiono zleżące serca z cukru, do stołów przypięto tandetne poematy miłosne. Najsmutniejszy widok przedstawiał wypchany piesek z zawiązaną wokół szyi wstążką, na której widniał napis „Kocham cię”.

Przykro mi się zrobiło, kiedy w dziale nazwanym „ROZPUSTNICY I LUBIEŻNICY; ZŁO, JAKIE WYRZĄDZILI” zobaczyłem zwalistą sylwetkę naszego króla Henryka, stojącego nad

nieszczęsnymi żonami.

Byłem sam i nikt nie mógł mi niczego zabronić, więc zdjąłem gitarę ze ściany. Zdmuchnąłem z niej kurz i trąciłem na próbę w struny. Były obluźowane, ale nie zardzewiały. Nastroiłem je starannie jedną po drugiej i wydobyłem z instrumentu delikatny akord.

Gdy tak sobie cichutko nuciłem, zobaczyłem nagle przed sobą parę stóp, a potem następną i jeszcze jedną. Otoczyli mnie ludzie. Nic nie mówili, a ja, widząc, że nie ma ucieczki, grałem dalej. Śpiewałem teraz jak w transie, a oni zaczęli się stopniowo włączać i kilku ośmieliło się nawet objąć wpół swoich towarzyszy. Śpiewaliśmy tak prawie do zmięzchu, a potem jeden z mężczyzn, właściciel gospody, zawołał, że zaprasza wszystkich do siebie i że ja mam iść także, by dalej wygrywać swoje melodie. Wyszliśmy całą gromadą w mrok, a już na miejscu, w gospodzie, jedna z kobiet powiesiła łuk i kołczan Kupidyna nad szynkwasem. Śmiała się przy tym – nie wiedziała dobrze, co właściwie robi, ale było to zakazane i bardzo jej się podobało. Około północy, kiedy pomyślałem, że pora iść spać, na zewnątrz rozległy się krzyki i złorzeczenia. Był to mnich, którego niesiono na purpurowym łożu, i kurwa na swym lśniącym tronie. Towarzyszył im dowódca straży. Nie tracąc czasu, czmychnąłem przez okno z gitarą w garści. Dziewczyna przewiesiła mi przez ramię łuk i kołczan i posłała mi na pożegnanie pocałunek.

Znacznie później, po latach, dowiedziałem się, że tamtej nocy zaraza miłości raz jeszcze nawiedziła miasto, ale tym razem wszystko przebiegało inaczej niż zwykle. Mnich zebrał wszystkich obywateli i ostrzegł ich, że jeśli nie skończą z bezceństwami, skonąją wszyscy w krótkim czasie. Za miłość, przypomniał, karze się tu śmiercią. Przeprowadzono głosowanie i wszyscy jednogłośnie wybrali dobrowolnie śmierć. Mnich i kurwa wystrzelali mieszkańców miasta do ostatniego. Musieli zaczynać od nowa. Z trudem wgramolili się do łóżka.

Opuściwszy miasto, w którym miłość przybierała postać epidemii, dołączyłem do Tradescanta i kontynuowaliśmy rejs na Bermudy. Tradescant planował, że zbierze tam rozmaite nasiona i strączki, i wszelkie egzotyczne rośliny, jakie mogą się spodobać w Anglii, tak żeby można je było hodować i w naszych ogrodach. Mieliśmy nadzieję, że powiodą nam się próby z nową metodą szczepienia, którą poznaliśmy we Francji i zastosowaliśmy z powodzeniem do niektórych drzew owocowych.

Szczepienie to metoda polegająca na tym, że pęd rośliny bardziej delikatnej lub węższej zespala się z pniem lub pędem mocniejszej rośliny tego samego gatunku [W rzeczywistości jest odwrotnie: pęd szlachetniejszy szczepi się na odmianie słabszej i mniej szlachetnej.] i w ten sposób tworzy się bez nasion czy sadzonek trzecią odmianę łączącą zalety obu roślin. Dzięki temu owoce stają się odporne na choroby, a niektóre rośliny mogą rosnąć tam, gdzie dotąd się nie przyjmowały.

W Kościele jest wielu takich, którzy potępiają tę praktykę jako nienaturalną, utrzymując, że

nasz Pan i Stwórca stworzył roślinność według swej woli, taką właśnie, a nie inną, i nic nie należy zmieniać.

Tradescanta ceniono w Anglii za jego doświadczenia z wiśnią i właśnie na wiśni doskonalilem sztukę szczepienia, zastanawiając się przy okazji, czy jest to metoda, którą mógłbym zastosować wobec siebie samego.

Moja matka, zobaczywszy, jak cierpliwie próbuję skrzyżować odmianę czarnej wiśni z Polstead z odmianą Morello zawołała najpierw:

– Mógłbyś równie dobrze próbować zespolić się ze mną, przyszywając się biodrem do mojego biodra. – A potem dodała: – Jakiej płci jest to monstrum, które hodujesz?

Próbowałem jej wytłumaczyć, że wisienka pozostanie rodzaju żeńskiego, choć nie wyrosła z nasienia, ale matka powiedziała, że takie dziwactwa nie mają płci i nawet same dla siebie pozostają zagadką.

– Niech świat kojarzy się i parzy według własnych praw – powiedziała – albo wcale.

Ale wyhodowaliśmy tę wiśnię, nadaliśmy jej płeć i jest rodzaju żeńskiego.

Bardzo bym chciał, żeby można mi było zaszczepić coś z Tradescanta, tak żebym i ja został bohaterem jak on. Tradescant rozkwita w każdym klimacie, po brzegi wypełnia swoje statki różnymi drogocnościami i będzie witany z wielkimi honorami, jak tylko zostanie przywrócona monarchia.

Anglia jest krajem bohaterów, wie to każde dziecko.

Wymknąłem się z naszego głównego statku wkrótce po zarzuceniu kotwicy, żeby po uzupełnieniu zapasu słodkiej wody zrobić mały rekonesans i zwiedzić wysepki. Tradescant nigdy nie sprzeciwiał się takim włączegom; był zawsze pewien, że przyniosę z nich coś, co usprawiedliwi moją nieobecność. Wiedział też, że lubię być sam, co było bez wątpienia nawykiem odziedziczonym po zawsze samotnej matce.

Kiedy wiosłowałem ku odstraszałej niegościnnym wyglądem, skalistej wyspie, uświadomiłem sobie z wielką wyrazistością, że ilekroć myślę albo śnię o matce, jest zawsze ogromna, a ja jestem tyci. Trzyma mnie na dłoni tak jak swoje szczeniaczki, a ja szukam czegoś na jej twarzy, sam nie wiem czego. I śmieje się, a ja jej wtóruję.

Ona jest jak równanie matematyczne, konkretne i niepodważalne.

Myślę, że musiała się gdzieś znaleźć sama, na długo przedtem, zanim znalazła mnie. Wyobrażam ją sobie wyrzuconą na brzeg, w butelce. Butelka jest kobaltowo-niebieska, zatkana szmatą i zapieczętowana woskiem. Przechodząca kobieta słyszy jakieś piski dobiegające z butelki, bierze nóż i odkorkowuje ją, a wtedy moja matka wydostaje się na zewnątrz jak gęstniejący opar, jak dzinn z dzbana, rośnie i rośnie, aż wreszcie zastyga w swoich właściwych

kształtach i rozmiarach. Pozwala wypowiedzieć kobiecie trzy życzenia i wrzuca butelkę do morza, po czym o wszystkim zapomina i odtąd siedzi sobie ze swymi psami, przyglądając się przypluwom i odpływom.

Nad moją głową śmigają białe bataliony mew, nieopodal piętrzy się potężna skała. Od północy ciągnie się od wysepki ławica piasku, w którą morze wrzyna się niczym wielki jęczor. Wyciągnę moją łódź na ten głęboko rozszczepiony brzeg i będę wypatrywać jakichś oznak życia. Wyspy są metaforą serca, bez względu na to, co mówiłby poeta.

Mojego własnego serca, podobnie jak tego dzikiego pustkowia, nikt nigdy nie nawiedzał i nie wiem, czy mogły tam przetrwać jakieś ślady życia.

Usiłując to ustalić, poszukuję tancerki, która może istnieć lub nie, choć podjąłem tę wędrówkę nieświadomie i nie wiem, kiedy się to zaczęło. Dopiero w trakcie podróży zdałem sobie sprawę z jej prawdziwego celu. Kiedy opuszczałem Anglię, sądziłem, że to ucieczka. Ucieczka od niepewności i zamętu, ale przede wszystkim ucieczka przed samym sobą. Myślałem, że z czasem, zaszczerpiony na jakimś lepszym i silniejszym pniu, mogę stać się kimś innym. A potem zobaczyłem, że ucieczka od siebie oznacza bieg ku sobie. Próbę dogonienia własnego chyżonogiego ja, wiodącego inny żywot w jakimś innym świecie.

Podjąłem tę pogoń, płynąc statkiem, ale inni odbywają podobne podróże, nie ruszając się z miejsca. Ilekroć oczy kogoś z nich zajdą mgłą, traci się go na zawsze. Oddalają się od ciebie tak, jakby ich ciała unoszone były z prędkością światła poza granice tego świata.

Czas, tak samo jak przestrzeń, miejsce, są w tej podróży bez znaczenia. Można zaistnieć w każdym czasie, odwiedzić wszystkie miejsca. Ludzie, którzy nigdy nie opuścili miejsca swego urodzenia, zjeździli cały świat. Ta podróż nie jest linearna, droga prowadzi zawsze w dwóch kierunkach, naprzód i wstecz. Zaprzecza kalendarzowi, zmarszczkom i deformacjom ciała. Jaźń nie funkcjonuje w żadnym określonym momencie ani miejscu, ale można ją przelotnie dostrzec na przecięciu momentu i miejsca, jak znika za drzwiami, które też natychmiast znikają.

TEORIA PŁASKIEJ ZIEMI Ziemia jest okrągła i płaska jednocześnie. To oczywiste. Że jest okrągła, nie podlega dyskusji; że w powszechnym doświadczeniu jest płaska, także nie. Glob nie zaprzecza swym istnieniem mapie, mapa nie ma wpływu na kształt globu.

W mapach jest magia. W rogu na dole są wieloryby, na górze kormorany unoszą w dziobach okrągłookie ryby. W środku jest subiektywny opis stanu rzeczy. Poszarpane kontury krajów, istniejących lub nie, pozałamywane czerwone linie, oznaczające szlaki, w najlepszym razie niebezpieczne, w najgorszym już nie do przebycia. Nanosi się ciągle poprawki, w miarę tak zwanego wzbogacania wiedzy. Ale czy wiedza rzeczywiście się wzbogaca, czy po prostu przybywa szczegółów?

Mapa może mi powiedzieć, jak znaleźć miejsce, którego nigdy nie widziałem, ale które

często sobie wyobrażam. Kiedy tam docieram, idąc wiernie za wskazówkami mapy, okazuje się, że nie jest to kraina z mojej wyobraźni. Mapy, oddając coraz wierniej rzeczywistość, stają się coraz mniej prawdziwe.

A teraz, gdy ludzie, jak mikroskopijne insekty, mrowią się na całej powierzchni ziemi, wydaje się, że wszystkie podróże dobiegły końca.

Niezupełnie. Złóż mapę i odstaw globus. Jeśli nakreślił ją ktoś inny, niech mu będzie. Zaczynaj rysować inną, z wielorybami na dole i kormoranami na górze. A pośrodku spróbuj rozpoznać, jeśli potrafisz, miejsca, których do tej pory nie odnalazłaś na tamtych mapach, miejsca wywołujące skojarzenia oczywiste tylko dla ciebie. Okrągła i płaska, ale naprawdę niewiele dotychczas odkryto.

HALUCYNACJE I CHOROBY UMYSŁOWE OBIEKTY 1: Kobieta zagłębia do torebki i nie rozpoznaje swoich rzeczy. Spieszy do domu. Ale gdzie jest dom? Idzie pod adres znaleziony w torebce. Nigdy dotąd nie widziała tego domu. A kim są te paskudne bachory depczące kwiaty w ogrodzie? W domu jakiś tłścioch czeka na kolację. Kobieta zabija go strzałem z pistoletu. Na rozprawie mówi, że nigdy wcześniej go nie widziała. Był to jej mąż.

OBIEKTY 2: Mężczyzna zwiedza pewną słynną wiejską posiadłość. Odłącza się od wycieczki i trafia do zacisznego saloniku, który rozpoznaje jako swój. Znajduje swoją fajkę i książkę na niskim podnóżku, na którym je pozostawił. Sięga do sekretarzyka z orzecha włoskiego po butelkę, nalewa sobie kieliszek porto. Wspomina, jak szczęśliwy był w tym domu i nie może pojąć, dlaczego później staje przed sądem i zostaje ukarany wysoką grzywną za bezprawne korzystanie z państwowej własności. Najbardziej zastanawia go to, że nie ma psów. Zwykle wyżyły leżały przed kominkiem.

CZAS 1: Młody człowiek z holownika ratowniczego zakotwiczonego u ujścia Tamizy wychodzi na pokład popatrzeć na gwiazdy. Jego towarzysze śpią, szalupy solidnie przymocowane. Pojawia się jakiś mężczyzna i mówi:

– Słyszałem, że w Windsorze chowają króla. Upłynęło z górą sto lat, od kiedy położyli tam Henryka, żeby gnił pod purpurowym całunem. Obok spoczywa Jane Seymour. Nie pochowano tam odtąd żadnego monarchy. Jest tam miejsce dla Karola, niewiele tego miejsca, ale jest.

Młodzieniec odwraca się, zdumiony; nie wie nic o żadnym królu, zna tylko królową, której daleko do śmierci. Otwiera usta, żeby zareagować na ten dziwny żart i widzi, że stoi przed nim John Tradescant. Nad nimi żagiel łopocze na wietrze.

CZAS 2: Dzieci obrzucają wyzwiskami wychodzącą ze szkoły dziewczynkę. Nienawidzi ich,

mogłaby je zabić. Mówią, że śmierdzi, że jest za gruba i za duża. Idzie wzdłuż nabrzeża do domu przy Upper Thames Street. Ruch jest taki, że hałas ją wręcz ogłusza. Wspina się po schodach na most Waterloo, żeby popatrzeć na lśniącą w promieniach zachodzącego słońca kopułę katedry Świętego Pawła. Nie może jej wypatrzeć. Widzi tylko szeregi drewnianych pali i statek chybotający się niepewnie na wodzie. Nie słyszy już odgłosów ruchu ulicznego, tylko ogłuszające ujadanie psów. Przyszedszy do siebie, odpędza kopniakami psy i otula się szczelniej szalem z derek. Przez chwilę kręci jej się w głowie, traci równowagę, ale nie, blisko stąd do domu, wszystko jest po staremu. Widzi swoją chatę. Śmieje się, powietrze świszczę, uchodząc przez zęby. Jordan już pewnie na nią czeka. Nie musi go widzieć, żeby wiedzieć, że tam jest.

KŁAMSTWO 1: Jest tylko terazniejszość, nie ma żadnych wspomnień.

KŁAMSTWO 2: Czas to linia prosta.

KŁAMSTWO 3: Różnica między przeszłością i przyszłością polega na tym, że pierwsza się zdarzyła, druga zaś nie.

KŁAMSTWO 4: W jednym czasie możemy być tylko w jednym miejscu.

KŁAMSTWO 5: Wszelkie twierdzenia zawierające słowo „skończony” (świat, kosmos, doświadczenie, my sami...)

KŁAMSTWO 6: Rzeczywistość, jako coś, co do czego możemy być wszyscy zgodni.

KŁAMSTWO 7: Rzeczywistość jako prawda.

* * *

Bezpieczny, zdrowy i otoczony opieką. Oto jakiego chciałabym widzieć Jordana. Gdy mnie opuszczał, byłam dumna i jednocześnie pękało mi serce, ale przecież wyszedł z wody i wiedziałam, że woda upomni się kiedyś o niego.

Przez jakiś czas żyłam sobie po staremu, hodując swoje psy i drepcząc codziennie do Hyde Parku, żeby wystawiać je do walk. Purytanie chcieli skończyć i z tym; chodziło im o to, żeby park był miejscem do spacerów, nie miejscem awantur i zarobkowania. Ja wolałabym, żeby ludzie mogli spacerować wszędzie, zresztą złaknieni są innych rozrywek, zwłaszcza teraz, kiedy śmierć króla położyła kres tej przyszłości, którą uważaliśmy za coś dobrze znanego, oswojonego. Teraz przyszłość zdziczała i czai się jak bestia w swoim legowisku.

Postanowiłam dla Jordana, dla Tradescanta i przez pamięć dla króla, opluwać purytan, ilekroć ich mijam, i wplatać we włosy jaskrawe wstążki, kiedy przechodzę obok któregoś z ich kościołów. Wielu zasadzało się na mnie za to moje zuchwalstwo; większość nie żyje. Tylko moje miłosierne serce, z którego słyne, sprawiło, że w dwóch czy trzech wypadkach poprzestałam na ciężkim okaleczeniu napastnika.

Pewnego wieczoru, gdy wychodziłam z Hyde Parku cała w trocinach jak zaszlachtowana krowa, wynurzył się z mroku jakiś mężczyzna i zwrócił się do mnie per „madame”. Zawsze miałam słabość do dobrych manier, wysłuchałam go więc grzecznie, przekrzywiwszy głowę, i zgodziłam się w końcu iść z nim do domu modlitwy. Zapewnił mnie, że mówi się tam przede wszystkim o wolności.

Zbór, obskurna gospoda nieopodal błoni Blackfriar, był już pełny, kiedy nadeszłam ze swoimi psami. Wylałam na nie baryłkę wody, żeby nieco ożywić te najbardziej poharatane i krwawiące, a potem przycupnęłam w kąci. Mężczyzna w szatach Jezusa zainicjował modły, a potem zachęcił nas, byśmy przemyśleli dwa wersety ze Starego Testamentu.

Oświadczył, że „Nie zabijaj” jest wprawdzie dogmatem naszej wiary, ale musimy też brać pod uwagę inną część Prawa Mojżeszowego: zasadę „oko za oko, ząb za ząb”.

Już od dawna zastanawiała mnie ta sprzeczność i z niecierpliwością czekałam na jej pełną wykładnię. W dalszym ciągu swego wywodu kaznodzieja oświadczył, że dla nas, rojalistów, pomszczenie króla jest wprawdzie sprawą pierwszej wagi, ale mimo to nie możemy łamać Świętych Praw.

Tu oblałam się rumieńcem, bo ja złamałam je po wielekroć.

– Musicie zatem potajemnie, po cichu wylupiać oczy swym wrogom, kiedy tylko ich spotkacie, i pozbawiać ich zębów, jeśli takowe mają – zakończył kaznodzieja. – W ten sposób czynicie bowiem zadość Prawom Boskim.

Bardzo mnie poruszyło takie odczytanie Biblii i dziwiłam się tylko, że mnie samej nie przyszło to wcześniej do głowy. Wykształcenie, które pozwala właściwie rozumieć Pismo Święte, to jednak wielka rzecz!

Ustaliliśmy, że będziemy się spotykać podczas pełni i nowiu księżyca, by wzajemnie dodawać sobie otuchy, jak to czynili pierwsi uczniowie Chrystusa.

Miałam do domu niedaleko, toteż nie spodziewałam się, że tak szybko nadarzy mi się okazja do spełnienia świętego obowiązku. Słyszac za sobą tętent konia, uskoczyłam w bok, nie na tyle jednak szybko, by uniknąć smagnięcia batogiem. Odwróciłam się rozjuszona i zobaczyłam dziobatego starucha o tępej, grubiańskiej facjacie, całego w szarościach, z koronkowym kołnierzem, zbyt okazałym jak na purytańskiego skromnisia. Ściągnęłam go z konia i kciukami wycisnęłam mu oczy, a potem, zmusiwszy do rozdziawienia gęby, tak jak to robię z psem, gdy kostka kurczaka uwięźnie mu w gardzieli, oblużowałam mu zęby obcasem i po krótkiej chwili

prawie wszystkie znalazły się w zawiniątku sporządzonym z jego własnej chustki.

Sprawiłam się chwacko i gdy nastąpiła pełnia księżyca, poszłam na kolejne spotkanie, aby wysłuchać opowieści innych o zemście i wyrządzonych wrogom szkodach. Wydało mi się nieco podejrzane, że nikt oprócz mnie nie przyniósł żadnych trofeów ani innych dowodów czynienia sprawiedliwości, więc dla zachęty rozwiązałam swój worek i rozsypałam swój łup na podłodze. Było tego sto dziewiętnaście gałek ocznych – nie do pary, bo jeden z purytan stracił jedno oko już wcześniej – i z górą dwa tysiące zębów.

Niektórzy z miejsca zemdleli, a kaznodzieja poprosił, abym przez następne dwa tygodnie powściągnęła nieco swą gorliwość, jeśli zaś nie potrafię, zostawiała przynajmniej swój worek w domu.

Poczułam się dotknięta; nie określił przecież żadnej normy na głowę i wydawało mi się, że moja gorliwość wręcz równoważy opieszałość i gnuśność innych.

Nie zostałam już na poczęstunku. Wyszłam sama, nakarmiłam oczami psy, a zęby wykorzystałam do osuszenia mojej grzędy zasianej rukwią wodną. Właśnie postanowiłam, że będę kontynuować moją akcję sama, kiedy zagadnęła mnie znajoma kurwa ze Spitalfields, której nie widziałam od siedmiu lat. Postarzała się i nie była już tak urodziwa, ale jej sylwetka pozostawała wymownym świadectwem dyscypliny, tak nieodzownej w jej profesji. Robiła wrażenie zdenerwowanej i zachodziłam w głowę, czego też może ode mnie chcieć.

Otóż tak się złożyło, że ona i jej, jak je nazywała, siostrzyce, upodobały sobie mordowanie purytan odwiedzających ich burdel. Z samym mordowaniem nie miały większych trudności – prawdziwym szkopułem było jednak pozbywanie się trupów. Nie zaufałyby żadnemu mężczyźnie na tyle, żeby poprosić go o pomoc, a zwłok w piwnicy było już tak wiele, że lada chwila mogła wybuchnąć zaraza. Czy nie zechciałabym im pomóc? Jestem taka silna.

Dokuczyła mi już nieco samotność od czasu, kiedy odszedł Jordan, a moje życie towarzyskie było prawie żadne. Mężczyźni i kobiety wydają mi się fałszywi, a kiedy łaszą się do człowieka jak koty, mrużąc o swej przyjaźni, przeważnie coś się za tym kryje, i chcą coś dla siebie wyłudzić. Ja ze swoim otwartym sercem zostałam już nieraz zraniona, więc teraz jestem ostrożna wobec pochlebstw i wszelkiej czczej gadaniny.

Postanowiłam jej pomóc, bo ujęła mnie jej bezpośredniość, a także i dlatego, że ciała nie znaczą dla mnie nic, martwe czy żywe. Płakałabym po moich psach i moim chłopcu, ale cała reszta mogłaby szczeznąć.

Burdel był przybytkiem urządzonym bardzo przemyślnie. Kiedy stanęłyśmy pod drzwiami, uniosła się drewniana zapadka i zanim nas wpuszczono, otaksowała nas para bystrych oczu. W środku rozlegały się jęki bólu i cierpienia, jakie można słyszeć chyba tylko w piekle. Owa imitacja potępieńczych wrzasków wydała mi się dziwna, a moje zadziwienie wzrosło jeszcze, gdy pozwolono mi zerknąć do jednej z celek i zobaczyłam nagiego mężczyznę, tylko w masce,

którego pośladki piętnowano rozpalonym żelazem. Kobieta przyciskająca mu do zadka okrutnie rozżarzone narzędzie była nie większa od dziecka i wyglądała od tyłu jak dziecko, choć powiedziano mi, że dawno przekroczyła sześćdziesiątkę. Kiedy odwróciła się w moją stronę, zobaczyłam, że twarz ma pożłobioną zmarszczkami i całą w plamach, a wargi całkiem zbieleły.

– Świńskie sadło – rzekła moja towarzysza. – Jest cała posmarowana świńskim sadłem, a wargi pociągnęła sobie grubo smalcem, żeby były białe.

Zapytałam po co to wszystko.

– Ten człowiek jest hodowcą świń. Kocha je, ale od pewnego czasu żona nie pozwala mu zachodzić ich zniecka i wrazać im od tyłu. Przychodzi więc do nas, a my karzemy go za te grzeszne chucie. O, popatrz.

Przyłożyłam znów oko do otworu i zobaczyłam, że pośladek jegomościa napiętnowano znakiem, jakim znaczy się świnię w okresie rui. Kwiczał z bólu, ale kiedy karlica obróciła go, przynaglając wciąż gorącym żelazem, jego członek sterczał nabrzmiąły i twardy z pożądania. Usłyszałam chrząkanie, po czym do izby wciągnięto oszalałą z przerażenia świnię. Mężczyzna skoczył ku niej i ścisnąwszy ją mocno nogami, folgował swej żądzy, przeszywając zwierzę głębokimi sztychami, gdy tymczasem karlica od nowa rozgrzewała żelazo.

– Czy to jakiś pospolity sposób zaspokajania żądzy? – zapytałam.

– Tu nie ma pospolitych sposobów – rzekła kurwa. – Są tylko niepospolite. Ci ludzie są wybrańcami Boga, czyżbyś o tym nie wiedziała? Chyba wybrańcom Boga należy się jakaś szczególna przyjemność? – Tu zachichotała wrednie i wyjaśniła mi, że człowiek ów jest wielkim zwolennikiem Cromwella i że nie przeżyje do rana.

– Obsługujecie więc tylko purytan?

– Obsługujemy tych, którzy nas potrzebują. Czyżbyś nie widziała ich prześcieradeł z dziurami?

Odparłam, że nie, ale że mówiła mi o nich żona mojego pastora, kaznodziei Scroggsa.

– Takich nam tu nie brakuje – rzekła. – Chodź, coś ci pokażę.

Zaprowadziła mnie pod inne drzwi i podniosła zapadkę. Na niskim łożu leżała kobieta, a na niej mężczyzna w zwykłej pozycji, ale na tym mężczyźnie leżał jeszcze jeden. Przyłgnął do tamtego jak żuk do unoszonego przez wodę drewnienka i z wielkim zapalem obrabiał mu tylny otwór.

– Jakież to musi być ciężar dla tej biedaczki! – zawołałam.

W tej samej chwili obaj mężczyźni powstali i zaczęli się obejmować, smarując sobie wzajemnie twarze swoimi sokami.

I wtedy ich rozpoznałam.

– To kaznodzieja Scroggs i sąsiad Firebrace.

Moja przyjaciółka zakryła mi usta ręką i pociągnęła mnie za sobą do swojej prywatnej izby,

w której czekał na nas poczęstunek.

Wyjaśniłam jej, co mnie łączy z tym zatwardziałym w grzechu robactwem, i zapytałam, czy w zamian za moje trudy przy usuwaniu ciał mogłabym o coś prosić.

Zgodziła się i kiedy kaznodzieja Scroggs z sąsiadem Firebrace'em znów odwiedzili Spitalfields, zdarzyło się, co następuje...

Była piękna, ciepła noc, jasny księżyc przeświecał przez chmury. Poświęciłam kilka dni na skonstruowanie obrotowej platformy, wmontowanej w ścianę. Sama przymocowałam się do zewnętrznej strony całej konstrukcji i tam czekałam na przybycie moich klientów.

Pierwszy przyszedł Scroggs, w nocnej purpurowej szacie. Potem Firebrace, w czymś w rodzaju togi. Zaczęli odgrywać Cezara i Brutusa z okresu, zanim się poróżnili; wyczekawszy z najwyższą niecierpliwością, aż wielgachny członek Firebrace'a zaczął się podnosić pod togą, skoczyłam i pchnęłam moją platformę tak, że padła na sam środek izby. Wrzasnęli obaj ze strachu i odrzuciło ich pod ścianę. Nie mogli mnie jednak rozpoznać, bo widzieli przed sobą olbrzyma w katowskim stroju. Moja platforma była szafotem i stał na niej specjalnie przeze mnie sporządzony pieniek. Topór naostrzyłam zaledwie godzinę wcześniej i teraz połyskiwał w blasku świateł.

– Nie przychodzę tutaj chwalić Cezara, przychodzę mu tylko oddać ostatnią pośmiertną przysługę [Szekspir: *Juliusz Cezar*, akt III, scena 2] – rzekłam, cytując sztukę, której tytułu nie pamiętałam.

Zaśmiali się obaj nerwowo, a Firebrace bąknął, że nie zapłacił za dodatkowe atrakcje.

– A więc możesz zapłacić teraz – powiedziałam, zbliżając się do niego i zamachnęłam się toporem. Umyślnie chybiłam, ale mieli okazję się przekonać, jaki jest ostry, bo przerąbałam łóżko na pół. – Proszę, zabawiajcie się panowie dalej – zachęciłam ich wdzięcznym gestem.

Scroggs wyciągnął rękę, żeby zadzwonić, ale przecięłam sznur i przy okazji odrąbałam mu kciuk. Jeszcze nigdy nie widziałam tyle skakania i wrzasku z powodu tak nieznacznego draśnięcia.

Firebrace, bynajmniej nie lojalny, a bardzo podobny do Brutusa w swej perfidii zdrajcy, próbował czmychnąć przez okno, ale błyskawicznie uchlasiłam mu nogę i zaczął skakać w kółko, błagając o litość.

Zdjęłam maskę, żeby zobaczyli, z kim mają przyjemność.

– Kaznodziejo Scroggs, głowa na pieniek, jeśli łaska.

Nie usłuchał, więc byłam zmuszona przydusić go i przywiązać do metalowych pierścieni, które przezornie przygotowałam, spodziewając się takiego tchórzostwa.

– Pomyśl o królu – powiedziałam – który czekał z głową na pniaku jak jagnię przeznaczone na rzeź i nie pisnął nawet słowa.

Potem bez dalszych ceregieli, bo nie jestem okrutnicą, odrąbałam mu głowę jednym celnym

cięciem i kopniakiem zrzuciłam korpus z pniaka.

Tymczasem Firebrace skowyczał w kącie; całą tokę zapaskudził ekskrementami.

– Co za widok! – zaczęłam się naigrawać. – Czyżbyś płakał po swojej nodze? Przyniosę ci ją i przylepimy kulasa z powrotem.

Wzięłam nogę spod okna i podałam mu ją, ale on zaczął tylko lamentować jeszcze głośniejsze i błagał, bym go oszczędziła.

– Nie oszczędzę cię chyba – rzekłam – bo wolę oszczędzić wszystkich tych, którzy mogliby mieć z tobą do czynienia, gdybyś pozostał przy życiu.

Podniosłam go za kark, tak jak terier robi to ze szczurem, i cisnęłam go nieprzytomnego na pieńki. To, że stracił przytomność, wyszło mu na dobre, bo topór się stępił, musiałam więc uderzyć dwukrotnie, zanim oddzieliłam głowę od tułowia.

Skończywszy robotę, otworzyłam drzwi i niecierpliwy tłumek zacnych dżentelmenów wtargnął do środka, by co rychlej zabawić się wśród tego krwawego pobojuwiska.

Obejrzałam się i zobaczyłam, że jeden już dopadł Scroggsa na szczątkach łoża. Dobierał się doń od tyłu, obsypując jednocześnie w obłąkańczym zapamiętaniu pocałunkami odrąbaną głowę.

Udałam się do tej samej pompy, pod którą kiedyś obmyłam swe ciało, i wyprałam suknie w imię miłości, zdjęłam to, co miałam na sobie, i dokonałam starannych ablucji. Nie chciałam, żeby pozostał na mnie choćby najmniejszy ślad tej potępieńczej dwójki. Kiedy już byłam czysta, poszłam do domu nago i spaliłam swoje szmatki. Nikt mnie nie widział. Tak jak anioły, potrafię być niewidzialna, kiedy mam misję do spełnienia.

NATURA CZASU

Do czasu podchodzę podobnie jak do map. Jest płaski, biegnie w mniej więcej prostej linii od jednego punktu do drugiego. Trwać w czasie, w ciągłej teraźniejszości, to to samo, co patrzeć na mapę i nie widzieć wzgórz, kształtów i rzeźby terenu, a tylko gładką płaszczyznę. Nie ma poczucia głębi, odbiera się tylko powierzchnię. Myślenie o czasie wywołuje zawroty głowy i coś na kształt lęku wysokości.

Myśleć o czasie, to tak jak wprawić globus w ruch wirowy i wyobrażać sobie, że wszystkie podróże odbywają się równocześnie, że pozostawanie w jednym punkcie nie wyklucza istnienia innego, nawet jeśli nie możemy tego innego miejsca dotknąć czy zobaczyć, co jest naszym zwykłym kryterium wiarygodności.

Myśleć o czasie, to uznać dwa pozostające w sprzeczności pewniki: że naszym „zewnątrznym” życiem rządzą pory roku i zegar i że o rytmie naszego życia wewnętrznego decyduje coś znacznie mniej regularnego – nacechowany wyobraźnią impuls, który przebija się przez dyktat powszedniości i rutyny i pozwala swobodnie przekraczać granice „tu i teraz”, przesywać jak błyskawica zwoje czystego czasu, czyli krąg uniwersum i wszystko to, co ono w sobie zawiera czy też nie.

Tam, gdzie nie obowiązuje dyktat pospolitego czasu codzienności, nieistnienie jest tak samo konkretne i precyzyjne jak istnienie. Nie możemy rozmawiać o wszystkim, co zawiera wszechświat, bo gdybyśmy tak czynili, uznalibyśmy go tym samym za skończony, a przecież wiemy, choć nie potrafimy tego udowodnić, że jest on nieskończony. Tak więc to, czego nie zawiera wszechświat, jest dla nas tak samo znaczące jak to, co zawiera. Nadejdzie taka chwila (choć na pewno nie będzie to dosłownie chwila), kiedy uświadomimy sobie (a świadomość nie będzie już oddzielona od istnienia), że jesteśmy częścią wszystkiego, co w życiu spotkaliśmy, i że wszystko, co spotykamy, było już wcześniej częścią nas samych.

Jak dotychczas religia opisuje to lepiej niż nauka, ale obecnie fizyka i metafizyka głoszą najwyraźniej to samo. Ziemia jest płaska i okrągła, czyż nie? Śnimy o tym, że poruszamy się jednocześnie wstecz i do przodu, choć samo użycie słów „wstecz” i „do przodu” czyni z tego snu nonsens, tkwi bowiem w takim sformułowaniu założenie, że czas jest linearny, a skoro tak, to nie mógłby istnieć ruch, tylko posuwanie się naprzód. Ale my nie poruszamy się w czasie, to czas przepływa przez nas. Mówię to dlatego, że nasze fizyczne ciała mają swój naturalny okres rozkładu, są rozpadającymi się na naszych oczach przedmiotami jednorazowego użytku. I jest to dla każdego zaskoczeniem. Choć widzimy jak dzieje się to z naszymi rodzicami i znajomymi, jesteśmy zawsze zdumieni, kiedy coś takiego dotyka nas samych. Nawet najbardziej prozaiczne z natury jednostki zdradzają się ze swą wiarą w życie wewnętrzne za każdym razem, gdy mówią

„moje ciało” zamiast ja”. Odbieramy to zdecydowanie jako część, ale bynajmniej nie część naszego „ja”. Język zawsze nas zdradza; mówi prawdę, kiedy chcemy skłamać, i rozplywa się w bezkształcie wtedy, kiedy najbardziej zależy nam na precyzji. Nie możemy zatem poruszać się w czasie wstecz i do przodu, ale możemy doświadczać ruchu w inny sposób. Jeśli czas w ogóle jest wiecznie terażniejszy, nie ma powodu, byśmy nie mieli wyjść z jednej terażniejszości i nie wkroczyć w drugą.

Życie wewnętrzne mówi nam, że jesteśmy bytem zwielokrotnionym, nie pojedynczym, i że nasza jednostkowa egzystencja to w rzeczywistości nieskończony szereg bytów trzymających się za ręce niczym wycięte z papieru laleczki, tyle że w odróżnieniu od nich, nasz szereg nie ma końca. Kiedy mówimy: „Byłem tu już kiedyś”, chcemy być może powiedzieć: „Jestem tu teraz”, ale w innym życiu, w innym czasie, robiąc coś innego. Nasze żywoty można spiętrzyć jak talerze na dłoni kelnera. Widać w całej okazałości tylko ten na wierzchu, ale reszta też tam jest i czasem mimochodem, jakby przez pomyłkę odkrywamy ich istnienie.

Nasze wewnętrzne życie w czasie „czystym” ślimaczy się lub mknie niczym wartki strumień, w zależności od tego, jaką mamy zdolność przewodzenia. Tak jak pewne odpowiednio ochłodzone metale i stopy przewodzą elektryczność bez wytwarzania ciepła, a zatem bez strat energii, tak i pewni ludzie mogą być nadprzewodnikami czasu. Doświadczają upływu czasu w normalnym rozumieniu, ale mogą go też odbierać jako większy, wszechogarniający wymiar, i obcować z czymś więcej niż tylko z terażniejszością. Artyści i guru są właśnie takimi, mówiąc językiem nauki, nadprzewodnikami.

O naszej zdolności przewodzenia decyduje prawdopodobnie zdolność – nabyta lub wrodzona – przeobrażania przedniego planu w tło, tak żeby absorbująca codzienność nie pochłaniała naszej energii. Mnisi i ludzie praktykujący medytację próbowali to osiągnąć przez wycofanie się ze świata, do czego potrzebna była absolutna koncentracja, koncentracja podobna do transu. Namiętność, delirium, medytacja, nawet wyjście poza własne ciało, to określenia, których używamy dla opisanego stanu podwyższonego nadprzewodnictwa. Trafne wydaje się twierdzenie, że kryterium pozwalającym odróżnić prawdziwą sztukę od jej zręcznych podróbek jest zdolność dzieła do przeniesienia odbiorcy w te rejony, w których przebywał artysta, do tego innego, osobnego miejsca, gdzie nie rządzą nami prawa grawitacji. Kiedy wciąga nas sztuka, opuszczamy nasze powłoki cielesne. Nie jesteśmy już skrepowani przez swą materialność; materia staje się tym, czym w gruncie rzeczy jest – pustą przestrzenią i światłem.

Pusta przestrzeń i światło. Dla nas pusta przestrzeń to przestrzeń, w której nie ma ludzi. Morze, granatowe w nocy, rozpięte na łuku pod krzywizną nieba, granatową i usianą srebrnymi gwiazdami, które nie wymagają polerowania. Arktyka, gdzie biel śniegu jest bielą nicości i wystawia na próbę ostrość naszego widzenia. Lasy, tropikalne dżungle i wodospady

przewalające się z rykiem na skalnych progach. Pustynie rozpalone jak płomień. Obrazy pokazują nam, jak działa na nas światło, bo żyć w świetle oznacza żyć w czasie i nie być świadomym jego upływu, może jedynie w sensie najbardziej oczywistym. Obrazy są światłem uchwyconym i Zamkniętym jak dzinn w dzbanie. Energia jest tam uwięziona na zawsze, skoncentrowana, niezdolna do rozproszenia.

Martwa natura, zatrzymane na obrazie życie, to życie roztańczone. Żywe, roztańczone światło.

OBRAZ 1: „Polowanie w lesie”. Las nocą. Mężczyźni w kolorowych myśliwskich kurtkach pędzą na rozszalałych koniach. Psy szczekają. Jeźdźcy galopują: coraz dalej, wciąż dalej i dalej, coraz mniejsi, roztapiają się w końcu w nicości. Uccello. Pojawienie się perspektywy.

Kiedy zobaczyłem ten obraz, skoncentrowałem się początkowo na postaciach pierwszego planu i dopiero stopniowo dostrzegałem pozostałych, wielu tak bladych, że ledwie widocznych.

Takie właśnie jest też moje życie, a raczej, powinienem powiedzieć, takie są moje życia. Przeważnie widzę tylko najbardziej oczywiste szczegóły, terażniejszość, moją terażniejszość. Ale czasami, dzięki jakiemś trikowi światła, mogę dostrzec coś więcej. Widzę niezliczone współistniejące życia, które z wolna roztapiają się wśród drzew.

CZAS 4: Czy moje dzieciństwo zdarzyło się naprawdę? Muszę wierzyć, że tak, ale nie mam na to żadnego dowodu. Matka to potwierdza, ale ona jest fantastką, kobietą kłamliwą i morderczynią, co zresztą nie przeszkadza mi jej kochać. Pamiętam pewne rzeczy, ale ja też jestem fantastą i łgarzem, choć nikogo jeszcze nie zabiłem.

Są jeszcze inni, których mógłbym o to zapytać, ale ich nie powołałbym na świadków w sądzie. Czy mogę na nich polegać w poważniejszej sprawie? Muszę przyjąć, że miałem dzieciństwo, nie mogę jednak twierdzić, że było nim to dzieciństwo, które pamiętam.

Każdy pamięta rzeczy, które nigdy się nie zdarzyły. I wiadomo powszechnie, że ludzie często zapominają to, co wydarzyło się naprawdę. Albo jesteśmy wszyscy fantastami i kłamcami, albo przeszłość nie ma w sobie nic dokładnie określonego. Słyszałem, jak mówiono, że kształtuje nas nasze dzieciństwo. Ale które?

Chodząc dziś po wyspie, natrafiłem na głęboki dół pełen zużytych baletek. Atlas był poplamiony, przetarty na czubkach pantofelków na wylot. Poszedłem ścieżką prowadzącą od dołu z baletkami do niewielkiego pagórka, a potem skalną granią, pokrytą niebieskoszarym piaskowcem. Wkrótce dotarłem do pięknego domu, zupełnie nie pasującego do tego pustkowiecia i dzikiego otoczenia. Pociągnąłem za sznur, by zadzwonić, ale nie doczekałem się żadnej reakcji. Zdecydowany wyjaśnić do końca tajemnicę, wspiąłem się na mur i zdołałem dostać się do środka przez podwójne okno na najwyższym piętrze. Pokoje miały podłogi z desek, nie było tam

żadnych mebli, choć w każdym z pomieszczeń znajdował się wielki kominek i we wszystkich albo żarzyły się węgle, albo buzował ogień.

Po pewnym czasie usłyszałem jakieś dźwięki, niby to muzyki, ale zarazem niepodobne do niczego, co w życiu słyszałem. Idąc tropem tych dźwięków, dotarłem do drzwi, które na pierwszy rzut oka robiły wrażenie zaryglowanych. Nad drzwiami była szyba; wspiąwszy się ostrożnie, stanąłem, balansując na klamce i zajrzałem do sali.

To, co zobaczyłem, wprawiło mnie w osłupienie.

Na podłodze wirowało spiralnym ruchem dziesięć uszeregowanych plam światła i to z nich wydobywał się dźwięk, który usłyszałem. Była w nim harmonia, ale brakowało melodii. Nie mogłem patrzeć prosto w światło, dźwięk zaś, choć bynajmniej nie nieprzyjemny, drażnił mi jednak ucho. Był zbyt gęsty, zbyt intensywny, żeby można go było uznać za muzykę.

Potem zobaczyłem młodą kobietę, która kreśląc ósemki, przemykała między światłami i wykonywała rękami ruchy podobne do tych, jakie wykonuje garncarz obracający glinę na swym kole. Wreszcie cofnęła się o krok, a wtedy ze światła zaczęły się wyłaniać po kolei głowy, ramiona, nogi. Ruch był coraz wolniejszy, zacichał dźwięk i wszystko przygasało, aż w końcu moim oczom ukazało się dziesięć mokrych od potu kobiet w dziurawych baletkach.

Noga ześliznęła mi się z klamki.

Ocknąłem się w dużo mniejszym pokoju, usadowiony na krześle przy kominku. Naprzeciw mnie, troskliwa i uśmiechnięta, siedziała kobieta, którą po raz pierwszy widziałem podczas obiadu, co wydawało mi się tak odległe, jakby minęły lata, gdy w rzeczywistości chodziło o dni.

– Jestem Jordan – powiedziałem.

WSPOMNIENIE 1: Scenę, którą opisałem, można usytuować w przyszłości lub w przeszłości. Albo już znalazłem Fortunatę, albo ją znajdę. Nie jestem pewien. Albo ją wspominam, albo tylko sobie wyobrażam. Ale jest gdzieś, współrzędna w siatce czasu, podobnie jak ja.

– Ja mam na imię Fortunata – powiedziała. – A oto pierwszy widok, jaki pamiętam. Była zima. Ziemia była twarda i tonęła w bieli. Wśród żywopłotów czerwieniały późne dzikie róże, ciemnozielony ostrokrzew zdobiły płonące jaskrawym szkarłatem jagody. Śnieg padał codziennie, jego gęsty całun zacierał wszelkie ślady prowadzące do domu czy w przeciwną stronę, co utwierdzało nas w przekonaniu, że nikt do nas nigdy nie przychodzi. Pewnego dnia na zewnętrznym parapecie mego okna przysiadł drozd wędrowny i natychmiast zapadł się w śnieg. Odkopałam go łyżeczką i odleciał, strząsając ze skrzydeł krępujący biały balast. Głębokie zasy tłumiały wszelkie odgłosy; snułyśmy się po ogrodzie w ciszy, wymieniając zdziwione spojrzenia, a śnieżny pył wzbijał się przy każdym stąpieniu wokół naszych stóp niczym obłoczki mialkiego piasku na wydmach.

Kiedy nastały tęgie mrozy i śnieg pokrył się twardą skorupą, rzeźbiłyśmy w nim posągi, sceny z Biblii i greckich herosów.

Tej zimy miałyśmy wyjść za mąż: moje siostry i ja. Wszystkie dwanaście jednocześnie, tego samego dnia, pierwszego dnia nowego roku, wszystkie czarnowłose, w takich samych krwistoczerwonych sukniach.

Postanowiłyśmy zbudować w ogrodzie kościół. Zbudowałyśmy go z lodu, jego ostre odłamki raniły nam ręce i krew plamiła śnieg, czerwona jak dzikie róże w żywopłocie. Pracowałyśmy w milczeniu, robiąc tylko dwukrotnie w ciągu dnia przerwę na posiłki i po to, by zapalić pochodnie, abyśmy mogły pracować dłużej mimo szybko zapadającego zmierzchu. Ukończyłyśmy dzieło w przeddzień uroczystości ślubnych. Tej nocy, naszej ostatniej nocy, którą spędzałyśmy razem jako siostry, spałyśmy jak zwykle w wąskich łóżkach ustawionych w długi szereg, pod białymi prześcieradłami i kocami, jak w zaspach śniegu. Z tej sypialni, w przeszłości, wyfruwałyśmy do srebrzystego miasta, gdzie nie było dnia i nocy, i tam tańczyłyśmy dla czystej przyjemności, nie myśląc o jutrzence wstającej nad krainą, w której mieszkałyśmy.

O świcie w dniu naszego ślubu założyłyśmy czerwone suknie i rozplotłyśmy włosy, a kiedy już byłyśmy gotowe, zamknęłyśmy i zaryglowałyśmy wielkie okna, odcinając sobie w ten sposób drogę ucieczki, po czym zeszyłyśmy szeregiem po marmurowych schodach z sypialni do lodowego kościoła. Tam po kolei brałyśmy ślub pod gałęziami jemioli, ale kiedy przyszła kolej na mnie, a byłam ostatnia, spojrzałam na swego przyszłego męża, najmłodszego księcia, który śledził nas po kryjomu i odkrył naszą tajemnicę, i pomyślałam, że go nie chcę.

Dosłownie w ostatniej chwili odepchnęłam go i wybiegłam z kościoła, przedzierając się przez ciżbę gości, którzy stali, rozdziawiając usta jak ryby.

Wsiadłam na statek i żeglowałam dookoła świata, zarabiając na życie jako tancerka. W końcu przybyłam tutaj i założyłam tę szkołę. Nie nadawałam temu rozgłosu. Ludzie trafiają tu, bo chcą trafić, podobnie jak ty.

– Poznałem twoje siostry – oświadczyłem, po czym opowiedziałem jej o tym, jak to znów mieszkają razem, a następnie przedstawiłem jej historię ich rozwodów. – Jednak to, co opowiadały mi o tobie, różniło się od twojej wersji. Owszem, mówiły, że uciekłaś, ale podobno wzbilaś się w powietrze i przesłaś po linie rozpiętej pomiędzy wieżą kościoła a masztem zakotwiczonego w zatoce statku.

Roześmiała się. Jakżeby to było możliwe?

– No dobrze – rzekłem. – A jak to było możliwe, że wyfruwałyście co wieczór przez okno i leciałyście do zaczarowanego miasta, skoro takich miejsc nie ma?

– Nie ma takich miejsc? – zapytała, a ja milczałem, nie znajdując odpowiedzi.

KŁAMSTWO 8: To nie była pierwsza rzecz, jaką zobaczyła, jakżeby to było możliwe? Ani też noc nad zasnutym mgłą polem nie była pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem ja. Ale zanim się to stało, byliśmy jak ci, którzy śnią i przechodzą przez życie niczym korowód cieni. A więc to, co wam opowiedziałem, jest prawdą, choć prawdą nie jest.

Zanim nastały śnieżyce, o których ci mówiłam, i zanim lód skuł ziemię, moje siostry i ja wylatywałyśmy przez okno co noc i tańczyłyśmy w srebrzystym mieście, które samo poruszało się w osobliwym rytmie. To miasto tańczyło. Miałam wrażenie, że jestem na pokładzie statku unoszonego na grzbiecie wysokiej fali i miota mną na wszystkie strony.

Na początku nikt w mieście nie tańczył. Ludzie płacili podatki, zajmowali się wychowaniem dzieci, jedli i spali jak wszędzie na świecie. Ale też wtedy i samo miasto, jak wszystkie miasta na świecie, pozostawało nieruchome. Oczywiście co mądrzejsi wiedzieli, że świat jest w nieustannym ruchu, ale ponieważ tego nie odczuwali, ignorowali ten fakt.

Była pełnia lata i słońce, konając, zalewało błękit nieba pomarańczową posoką, gdy zaczął się ów ruch. Początkowo było to zaledwie drżenie, po którym nastąpił potężny wstrząs, i kto żyw rzucił się do pakowania sreber i wiązania psów.

Kołysanie trwało całą noc i choć nikt nie odniósł obrażeń, miejscowy lekarz wydał pisemne zalecenie, żeby wszyscy użytkownicy sztucznych szczęk wyjęli je ze względu na niebezpieczeństwo udławienia się. Co przezorniejsi rozciągnęli to na peruki i protezy, tak że wkrótce podziemia ratusza wypełniły się po brzegi takimi zapasowymi częściami ciała.

W miarę upływu czasu, gdy stało się oczywiste, że podziemny ruch ani nie zanika, ani się nie potęguje, kilku dzielnych obywateli porozciągało w mieście liny łączące różne punkty i ułatwiające mieszkańcom miasta normalne funkcjonowanie. Z czasem wszyscy zaczęli się przystosowywać do nowych, „mobilnych” warunków życia i wkrótce odkryto, że najlepszym sposobem przezwyciężenia problemu będzie balansowanie nad ziemią. Lin nie używano już teraz jako podpory, ale jako ścieżek i dróg i wszyscy, nawet ci, którzy pozostawili swe protezy w ratuszu, zaczęli ćwiczyć akrobację. Trzymając w dłoniach kolorowe parasolki pomagające utrzymać równowagę, chodzili w miękkich pantoflach z domu do pracy, na zakupy i gdzie tylko było trzeba.

Przemineło kilka pokoleń i nikt już nie pamiętał, że miasto było dawniej takie samo jak inne, ani też, że powierzchnia ziemi była kiedyś bardziej naturalnym miejscem bytowania człowieka. Budowano domy na drzewach, ptaki zaś, oburzone tym brutalnym wtargnięciem w ich prywatność, śmigały jeszcze wyżej niż zwykle, kracząc i ćwierkając dosłownie wśród obłoków.

Życie w zawieszeniu, pomiędzy niebem a ziemią, stało się dla ludzi naturalne, zwykłe dreptanie zamieniło się w podskoki, podskoki zaś przeobraziły się w taniec, tak że nikt nie kroczył już statecznie, skoro można było płaść w promieniach słońca.

A potem zdarzył się wypadek.

Pewna dziewczyna, idąc do domu po śliskiej, wytartej linie, stąpnęła krzywo i runęła w otchłań. Z piersi świadków wyrwał się okrzyk grozy, ale dziewczyna nie spadła i nie roztrzaskała się o ziemię, tylko wzbiła się w powietrze i zaczęła latać.

Po kilku prostych eksperymentach stało się oczywiste, że ponieważ ludzie ci zignorowali prawa grawitacji, grawitacja zignorowała ich. Zapanowała powszechna radość i od tego dnia nikt nie przejmował się jakimiś tam podłogami ani tym, że może spaść, choć nadal trzeba było budować stropy, żeby było na czym zawiesić zyrandol.

No więc, opowiedziałam ci historię miasta, która jest chyba logiczna, a wszystkie jej elementy pasują do siebie jak ulał. A teraz, pewna, że usłyszawszy coś tak wiarygodnego, nie masz już żadnych wątpliwości, opowiem ci o tym, jak przyleciałyśmy do tego miasta nocą i jak ku naszemu zasmuceniu odkryto naszą tajemnicę...

Miasto, uwolnione od siły ciężkości, zaczęło dryfować i w końcu poszybowało dwieście mil w górę, aż znalazło się poza atmosferą ziemską. Przez pewien czas wisiało nieruchomo ponad Afryką, a potem zaczęło niespiesznie okrążać Ziemię, nie zabawiając nigdy długo w jednym miejscu, choć pod innymi względami przypominało zwykłą wyspę. Mieszkańcy mieli długie drągi, którymi odpychali się od gwiazd i meteorów i w ten sposób przeobrazili miasto w rodzaj tratwy, którą mogli popłynąć w przestrzeni, dokąd tylko chcieli. Nie wiedzieli o tym, że każde takie odepchnięcie drągiem wyzwalalo przeciwsilę, a ta z kolei wytwarzała próżnię wsysającą wszystko, co znalazło się za żeglującym w przestrzeni miastem, w jego „ogonie”. Siła ta była potężna, toteż od tego czasu po całym świecie krążą opowieści o całych górach pożywienia znikających z kraciastych obrusów podczas pikników i o przepadających bez śladu dzieciach.

Obywatele miasta odnosili się zawsze z sympatią do tego, co wessała próżnia, jedli wessany prowiant, opiekowali się wessanymi dziećmi i żeglowali dalej w przestworzach.

Ja i moje siostry zawsze byłyśmy lekkie. Kiedy urodziła się moja trzecia siostra, tylko pepowina uchroniła ją przed uderzeniem główką o sufit. Gdyby nie to, poszybowałyby po wyjściu z łona w przestworza.

Moja piąta siostra była tak lekka, że do dwunastego roku życia dosiadała naszego kota i galopowała na jego grzbiecie po domu. Tuczono nas oczywiście i odziewano w ciężkie szaty, ale nasze suknie balowe były lekkie i tańcząc, budziłyśmy zazdrość otoczenia, bo nasze stopy zdawały się unosić ponad ziemią. Na szczęście suknie były też długie, a więc nikt nie widział, że naprawdę pływamy w powietrzu.

I tak, gdy pozbawione ciężaru miasto znalazło się wprost nad nami, choć zupełnie dla nas niewidoczne, my pierwsze odczułyśmy przyciąganie owej przeciwsily; tej samej nocy wywlokła nas z łóżek i cisnęła nami o zamknięte okno, tak że rozbiłyśmy się o nie niczym rój much.

Zaczęliśmy się naradzać, co począć, i uznaliśmy, że są tylko dwie możliwości: albo obciążymy się jakimś balastem, żeby w przyszłości nie przytrafiło nam się to samo, albo poddamy się tej sile bez względu na następstwa. Decyzja była jednomyślna: nazajutrz leżeliśmy w łóżkach w swoich balowych sukniach i czekałyśmy.

Około pierwszej w nocy, kiedy chrapanie ojca wstrząsnęło murami naszego domu, okno otworzyło się na oścież, tajemnicza siła wyciągnęła nas na zewnątrz i pomknęłyśmy ku niebu, trzymając się wzajemnie za warkocze. Błyskawicznie dotarliśmy do miasta, a tam, ochłonawszy z wrażenia, włączyłyśmy się do tańców i bawiłyśmy się do świtu.

I właśnie wtedy pojawił się pierwszy i jedyny problem.

Jak mamy wrócić?

Po różnych jałowych dyskusjach przypomniałam sobie, jak to Cyrano de Bergerac podjął próbę dotarcia na Księżyc, uczepiwszy się kawałka metalu, który Księżyc, jako wielki magnes, miał do siebie przyciągnąć. Wydawało mi się, że Ziemia, większa od Księżyca, najprawdopodobniej będzie przyciągać do siebie ołów i wobec tego napełniwszy swe trzewiczki tym metalem, usiadłyśmy na wielkiej ołowianej płycie niczym na jakiejś żaloznej imitacji latającego dywanu. Potem poprosiłyśmy ludzi, żeby nas wyrzucili w przestrzeń, co też, zalewając się łzami, uczynili, pewni, że nas więcej nie ujrzą.

Mylili się. Ołów zdał doskonale egzamin i wylądowałyśmy na dachu kościoła, tuż za naszym domem. Stąd już z łatwością dostałyśmy się na dach i przemknąwszy pomiędzy lasem kominów, opuściłyśmy się po pnączach wistarii do okna, tak że po chwili byliśmy już w łóżkach.

Szczyście nasze trwało nieprzerwanie, noc po nocy, dopóki ojciec nie zauważył naszych bladych twarzy i zmęczonych oczu i nie postawił straży. Ale my byłyśmy przebiegłe, więc zawsze udawało nam się uśpić strażnika i kontynuowałyśmy nasze powietrzne podróże. Wyobraź sobie, jaka ogarnęła nas zgroza, kiedy ojciec oświadczył, że ten, kto wytropi, gdzie to wypuszczamy się nocą, dostanie jedną z nas za żonę.

Jak można było się spodziewać, że wszystkich stron świata zjechali się książęta, a ponieważ większość z nich dało się łatwo wyprowadzić w pole, nabrałyśmy zbyt wielkiej pewności siebie.

A oto jak nastąpił kres naszych wypraw.

Ludzie z latającego miasta powiedzieli nam, że nadeszła pora, by zakotwiczyć w jakimś innym miejscu, i zapytali, czy chciałybyśmy pozostać z nimi na zawsze. Zgodziłyśmy się i ustaliliśmy wspólnie, że po całonocnym balowaniu zabierzemy z domu trochę osobistych rzeczy i wrócimy do miasta, żeby odtąd już zawsze szybować w kosmosie. Była to noc czuwania najmłodszego księcia, sprytnego młodzieńca, który domyślił się czegoś, gdy chciałyśmy go poczęstować nasennym wywarem, i kiedy odlatywałyśmy, uczepił się spódnicy jednej z nas. Był lekki, niewidzialny, ukrywał się wśród drzew i latarni i nikt go nie zauważył. Kiedy leciałyśmy do domu na swym ołowianym dywanie, przywarł do niego od spodu jak żuk.

Następnej nocy, kiedy bezgranicznie szczęśliwie szykowaaliśmy się do odlotu, drzwi naszej komnaty otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadł ojciec w otoczeniu sług z pochodniami.

Nie było ucieczki; żeby zatrzymać nas na ziemi, zakuli nas w łańcuchy, a księżę z jedenastoma braćmi pilnowali nas dzień i noc.

Odtąd bardzo często, spoglądając w niebo, rozmyślałyśmy, gdzie mogłybyśmy być, świadome tego, gdzie jesteśmy.

Dalszy ciąg znasz.

Zostałem z Fortunatą miesiąc, dowiedziałem się wiele o niej i sporo o sobie. Powiedziała mi, że przez całe lata żyła nadzieją, że zostanie wybawiona: od przynależności do kogoś innego, od wspólnych tańców. A potem nauczyła się tańczyć samotnie, dla samego tańca i dla siebie.

– A co z miłością? – zapytałem.

Rozłożyła ręce i wygłosiła krótki wykład o obyczajach rozgwiezdy.

Dopiero później zdjąłem swój medalion i założyłem jej na szyję. Odwróciła go napisem do siebie i przeczytała: „Pomnij na skałę, z którejś wyciosan, i na jamę, z której cię dobyto”.

Roześmiała się.

– A co z twoimi skrzydłami? – zapytała. – Jak mogłeś o nich zapomnieć, skoro do tej pory masz głęboko pod łopatkami ich kikuty?

Nie odpowiedziałem. W Biblii tylko anioły mają skrzydła; reszta musi czekać, aż zostanie wybawiona.

OBRAZ 2: „Święty Mikołaj ucisza burzę”. Łódka na granatowym morzu. Szaleje sztorm, czterech uczniów zbitych w gromadkę kuli się w przerażeniu. Pod łodzią widać wielką rybę, a w górze, w paradnych szatach i w mitrze na głowie sunie po niebie święty Mikołaj. Nad nim gwiazdy.

Szykuję się do odejścia. Fortunata nie pójdzie ze mną, a ja nie mogę tu zostać, choć jakaś częśćka we mnie też tęskni do takich okolic, odludnych i dzikich. Myślałem, że może będzie chciała podróżować ze mną, ale ona powtarza znane mi już prawdy, że nie musi opuszczać tej wyspy, żeby zobaczyć świat; ma dość mórz i miast w świadomości. A jeśli ona ma, jeśli wszyscy mamy, to może jest tak, że ten świat i księżyc, i gwiazdy są także wytworem świadomości, choć znacznie potężniejszej niż nasza. Jeśli ktoś sobie mnie „myśli”, wciąż mam swobodę wyboru: mogę przyjść, mogę odejść. Ów „zamyślony” wszechświat nie przypomina szachów; to raczej teatr z wciąż zmieniającymi się dekoracjami, w którym, jeśli chcemy, możemy przechodzić przez ściany, lecz nie czynimy tego, wierni własnemu wyczuciu dramaturgii.

Gdy byłem mały, matka zabrała mnie kiedyś ze sobą, żebym zobaczył wielki cud. Było to chyba w 1633 roku; nigdy wcześniej nikt nie widział w Anglii banana. Zobaczyłem, jak jakiś

mężczyzna unosi go wysoko nad głową. Banan był żółty, nakrapiany brunatnymi cętkami, i kiedy tak patrzyłem, zobaczyłem drzewo i plażę, białe fale i ptaki z szerokimi skrzydłami. Potem zapomniałem o tym zupełnie. Ale podczas swoich przygód z roślinami i statkami próbowałem przywołać tamto wspomnienie, wyzwolić to, co ów incydent we mnie zapoczątkował.

Kiedy Tradescant poprosił mnie, żebym popłynął z nim jako badacz, pomyślałem, że w końcu mógłbym zostać bohaterem i przywieźć z podróży coś, co ma swą wagę, a przy okazji odzyskać to, co kiedyś utraciłem. O tym poczuciu straty trudno mi było mówić. No bo cóż mogłem stracić, jeśli, po pierwsze, nigdy niczego nie miałem?

Otóż miałem, po pierwsze, siebie i właśnie siebie straciłem. Stało się to za sprawą matki, bo jest ode mnie większa i silniejsza, a przecież z synami powinno być inaczej. Ale utraciłem siebie, przepadłem, co ważniejsze, w otchłani, jaka rozwiera się pomiędzy idealnym wyobrażeniem o sobie a moim walącym w panice sercem.

Chcę być dzielny i podziwiany, mieć piękną żonę i wspaniały dom. Chcę być bohaterem, machać ze statku żonie i dzieciom na pożegnanie i odczuwać przykrość, widząc jak odchodzą, ale jeszcze większe podniecenie odczuwam na myśl o tym, co mnie czeka. Chcę być jak inni mężczyźni, chcę być jednym z nich, takim, co to i klepnie w tyłek i potrafi opowiedzieć kawał. Chcę być jak moja hałaśliwa matka, której wszystko jedno, jak wygląda, i dla której ważne jest tylko, co robi. Nigdy nie była zakochana, nie, zresztą nie chciałaby tego. Jest samowystarczalna i nie dręczą jej żadne wątpliwości. Zanim odpłynąłem, wziąłem ją na mały rejs po Tamizie i morzu, ale nie wiem, czy zrobiło to na niej jakieś wrażenie i czy wiele zobaczyła. Nigdy nie rozmawialiśmy za wiele. Ona jest tak małomówna, jak bywają tylko mężczyźni. Często przyłapywałem ją na tym, że patrzy na mnie tak, jakby mnie nigdy wcześniej nie widziała, zupełnie jakby chciała się mnie nauczyć. Myślę, że mnie kocha, ale nie wiem tego na pewno. Nie mówi o tym, może sama nie wie. Myślę, że kiedy wypłynąłem na morze, odczuła ulgę, bo mogła znów żyć po dawnemu, wśród swoich psów, piaskarzy i dziwek, co tak bardzo lubi. Gdy Tradescant mówił o wyprawie, wstała i wyszła się przejść. Była pewnie pochłonięta własnymi myślami, ale mnie to zabolowało.

Nigdy nie roztrząsaliśmy, czy mam się wybrać w tę podróż, czy nie; dla niej było to oczywiste, tak jakby oczekiwała, że odejdę. Chciałem, żeby prosiła mnie o pozostanie, tak jak teraz chcę, żeby poprosiła mnie o to Fortunata.

Dlaczego tego nie robią?

Dla Tradescanta bycie bohaterem to rzecz naturalna. Już jego ojciec był bohaterem. Szlaki, jakimi podróżuje, można znaleźć na wszystkich mapach, poza tym on zawsze wie, czego szuka. Chce przywieźć coś naprawdę rzadkiego i rzeczywiście przywozi.

Nasz statek, który stoi na kotwicy o kilka mil od wyspy, jest pełen owoców, korzeni i nowych gatunków roślin. Kiedy wrócimy do domu, mężczyźni i kobiety będą się tłoczyć wokół

nas i dopytywać się o wszystko, a każda kolejna wersja naszej opowieści będzie trochę bardziej fantastyczna. Ale też i prawdziwa, a gdybym ja zaczął opowiadać, gdzie byłem, rzeczywiście lub we własnym wyobrażeniu, któżby mi uwierzył? Gdyby opowiadał to jakiś chłopiec, potraktowano by go z pobłażliwością, ale ja nie jestem już chłopcem, jestem mężczyzną.

Prowadziłem dziennik okrętowy. Skrupulatnie. Pisałem też własną książkę i do relacji z każdej naszej podróży dodawałem opis swojej i rysowałem swoją mapę. Nie mogę tego pokazać innym, ale uważam, że jest to wierny zapis wszystkiego, co się zdarzyło, a w każdym razie tego, co przydarzyło się mnie.

Czy wszyscy żyjemy w ten sposób? Czy przeżywamy dwa życia: idealne zewnętrzne i wyobrażone wewnętrzne, gdzie przechowujemy swoje tajemnice?

Co dziwne, im większy pokonywałem dystans, tym bardziej oddalał się cel. Dla Tradescanta podróże mają zawsze swój kres. Wypełniają przyjemnie czas. Przy pewnym marginesie swobody, zawsze są starannie zaplanowane. Ja wyruszałem i po pewnym czasie przekonywałem się, że nie ma końca nawet najprostszym wędrówkom wyobraźni. Zaczynałem, i natychmiast otwierało się przede mną sto dróg do wyboru. Wybierałem jedną z nich, ale zaledwie ruszałem w podróż, pojawiały się setki innych możliwości. Ilekroć próbowałem ograniczyć swe zamiary, zawsze je mnożyłem, a jednak w końcu wypływałem przez te przesmyki i kanały na pełne morze, a wtedy uprzytamniałem sobie, jak rozległy jest ów wytwór świadomości. Oszałamia mnie bezmiar połyskującej wody i ogrom świata.

Buddyści twierdzą, że jest sto czterdzieści dziewięć dróg wiodących do Boga. Nie szukam Boga, tylko samego siebie, a to znacznie bardziej skomplikowane. O Bogu napisano tomy, o mnie nic. Bóg jest większy, jak moja matka, łatwo go znaleźć, nawet w mroku. Ja mogę być w dowolnym miejscu, a ponieważ nie potrafię siebie opisać, nie mogę też prosić o pomoc. Jesteśmy samotni w naszych poszukiwaniach i Fortunata ma rację, że tego nie kryje, choć może myli się co do miłości. Spotkałem wielu pielgrzymów zdążających do Boga i zastanawiam się, dlaczego szukają Jego, zamiast siebie samych. Może czegoś nie pojmuję – może właśnie szukając kogoś innego, człowiek natrafia nieoczekiwanie na siebie, w jakimś ogrodzie albo na szczycie góry, w strugach deszczu. Ale oni najwyraźniej nie dbali o to, kim są. Niektórzy mówili mi, że sednem poszukiwania Boga jest zapomnienie o sobie, ostateczne zatracenie się w Bogu. Ale zatracić się nie jest trudno. A może mówili o ego, o tym pustym, skowyczącym, pozbawionym duszy kadłubie?

Myślę, że to truchło jest niczym więcej, jak oszałała idealna jaźnią, i gdyby tylko można było znaleźć to inne, utajone życie i przekonać się do niego, człowiek żyłby w pokoju i nie potrzebowałby Boga. Ostatecznie On, jako byt doskonały, nie potrzebuje nas.

Spakowałem swój pasiasty marynarski worek i zdjąłem płaszcz z kołka, na którym powiesiła go Fortunata. Odprowadziła mnie i oto stoimy obok mojej łodzi wciąż kołyszącej się w skalnej

niszy.

Rozpuściła włosy, sięgają jej prawie do pasa. Twarz ma pogodną.

– Wrócę pewnego dnia – mówię.

Uśmiecha się i milczy, a ja wiem, że mówię nieprawdę. Ona mi się wymknie, i ona, i ta wyspa odpłyną gdzieś z czasem i nigdy już ich nie znajdę, chyba że we śnie.

Wrzuciłem worek do łodzi i zepchnąłem ją na wodę. W oddali czernieje punkcik – to statek Tradescanta. Nie będzie na mnie długo czekał.

Fortunata brodzi obok mnie, tak że koniuszki włosów zanurzają się w wodzie. Ujmuje moją twarz w dłonie i całuje mnie w usta. Potem odwraca się i odchodzi; patrzę, jak idzie przez piasek i wspina się po skałach. Zaczynam wiosłować, a jej ciało jest dla mnie punktem orientacyjnym w przestrzeni.

Tak będzie już zawsze.

* * *

Ananas przyszedł dziś.

Jordan przyniósł go, tuląc owoc w ramionach, jakby to było jakieś żółte dziecko; niczym mądry Salomon postanowił przeciąć go na pół. Nie zdążył jeszcze naostrzyć noża, gdy pan Rose, królewski ogrodnik, rzucił się na stół i zawołał, że prędzej sam pozwoli się pokrajać na kawałki. Biesiadnicy skreślali się ze śmiechu, a sam król, w nowej peruce, zszedł z podwyższenia i zaczął nakłaniać pana Rose'a, aby się aż tak nie poświęcał. W końcu chodziło tylko o owoc. Na co pan Rose wytknął głowę spomiędzy półmisków i przypomniał obecnym, że to historyczny moment. I rzeczywiście: był rok 1661 i Jordan przywiózł z podróży na Barbados pierwszego ananasa, jaki pojawił się w Anglii.

Tradescant nie żyje. Cromwell nie żyje. Ireton i Bradshaw, którzy oskarżali króla i których często przyłapywano razem w poplamionej pościeli, nie żyją. Jordan stracił piękny widok, przybywając zbyt późno ze swoim żółtym ładunkiem. Zwłoki Cromwella, Iretona i Bradshawa, którzy mieli nadzieję, że będą spoczywać w pokoju w uświęconym miejscu, w Opactwie Westminsterskim, czego odmówili prawowitemu władcy, zostały wywleczone z grobów i powieszono na szubienicach Tyburn, tak by wszyscy mogli je oglądać. Poszły w ruch perfumowane chusteczki. Nie wszyscy są tak odporni jak ja. Tysiące ściągnęły pod szubienice, żeby zobaczyć, jak ci panowie huśtają się na wietrze, a właściwie nie oni, a to, co z nich pozostało, gdyż rozkład nie miał żadnego respektu dla ich pozycji i rangi. Ludzi szczerze radował ten widok, a tuż pod piszczelami wisielców wyrosły jak grzyby po deszczu liczne kramy z jabłkami i gorącymi plackami. Cyganka w gwieździstej koronie wróżyła z ręki, ale kiedy spjrzała na moją dłoń, odwróciła wzrok. Nie speszyło mnie to: potrafię sama pokierować swoim

losem w tym parszywym świecie.

Bardzo filozoficznie nastroiła mnie owa wizyta w Tyburn i obserwowanie rozradowanych i zadziwionych przechodniów, zwłaszcza dzieci, które nie zastanawiają się nad istotą rozkładu.

A przecież gnicie jest udziałem wszystkich. Wszyscy zgnijemy, nawet ja, choć wyobrażam sobie, że trzeba będzie nie lada czerwia, żeby mnie naruszył.

Firebrace i Scroggs nie żyją. Siostrzyce z burdelu w Spitalfields zebrały tej nocy obfite żniwo, kiedy rozeszła się wieść, że są do dyspozycji klienteli świeżo odgłowione trupy. Burdel już nie istnieje, moja przyjaciółka zaraziła się chorobką i umarła, a inne gdzieś przepadły, jak to kobiety.

Brakuje mi Tradescanta. Umierając, zostawił mi zmię w słoju, aby przypominała mi szczęśliwsze czasy, kiedy to wypowiedzieliśmy wojnę wszelkim gadom. Żałowałam, że nie widzi tego paskudztwa wiszącego na sznurach, ucieszyłoby go, że jest jeszcze sprawiedliwość na tym świecie.

Moja sąsiadka, czarownica, nie umarła. Skurczyła się tylko jeszcze bardziej i jest mniejsza niż wtedy, kiedy znalazłyśmy Jordana. Równa wzrostem wyżłowi ma wielkie oczy i uszy. Straciła dom podczas jakichś zamieszek, ale pozwoliłam jej zamieszkać w mojej psiarni i siedzieć tam do końca jej dni. Nie zrobiła nic, żeby zasłużyć na moje miłosierdzie, ale taki już mój parszywy los. Wciąż utrzymuje, że potrafi przepowiadać przyszłość i często zastaję ją, jak duma posepnie nad moją grządką rukwi, przypatrując się zmiennym deseniom przemieszczających się zębów.

Po śmierci Tradescanta Jordan przejął dowództwo nad wyprawami, wyznaczał na mapie kursy i decydował, co jest cenne, a co nie. Żeglował po morzach przez trzynaście lat, ale zawsze dostawałam od niego jakieś podarunki i wiedziałam, że kiedyś wróci...

O zachodzie słońca przyszedli na miejsce pośmiertnej hańby żołnierze nowego króla, naszego własnego Karola II, zdjęli ciała i wrzucili je do wspólnego dołu pod szubienicami. Dół był już pełen cuchnących, oślizłych trupów. Głowy całej trójki odrąbano i zatknięto na szczycie Opactwa Westminsterskiego, który to widok wielce radował przechodniów.

Co zaś do reszty z czterdziestu dziewięciu tych, którzy podpisali wyrok śmierci na króla, czterdziestu jeden żyło jeszcze w 1660 roku, kiedy wrócił nowy władca. Choć sama mam miękkie serce, zawsze uważałam, że jesteśmy narodem zbyt cywilizowanym, więc przykro mi było, że tylko dziewięciu z tych czterdziestu jeden spotkała w całym majestacie prawa stosowna kara za ich zbiorową zbrodnię.

Dziewiątkę tę, bliskich współpracowników Cromwella, najpierw na chwilę powieszono, potem wypruto im wnętrzności i jeszcze żywych poćwiartowano. Jeśli zauważono u któregoś oznaki omdlenia, cucono ich octem, olejkami z goździków lub od czasu do czasu wiadrem cuchnącej wody. Miałam nadzieję, że uda mi się uszczknąć kawałek jelita lub jakiś inny kasek na

pamiętkę dla Jordana, ale kiedy przedarłam się przez ciżbę z moim worem, powiedziano mi, że wszelkie szczątki są własnością Korony. Gdyby żył Tradescant, na pewno interweniowałby w tej sprawie. A tak musiałam się zadowolić patrzaniem i rozpamiętywaniem, w nocy zaś dopisało mi szczęście i znalazłam na placu woreczek żółciowy, z kilkoma kamieniami do kompletu. Trzymam go razem ze żmiją przy łóżku.

Kiedy Jordan pływał po świecie, odkryłam dzięki wizytom w burdelu, że męskie członki, kiedy je odgryźć lub w inny sposób uchlasnąć, już nie odrastają. Wydaje się to poważnym błędem natury, bo przecież mężczyźni są tak beztroscy, jeśli chodzi o ich członki, że wpychają je bezmyślnie, gdzie się tylko da. Podejrzewam, że wsadzaliby nawet do dziury w ścianie, gdyby się nie trafiło nic lepszego.

Zadałam się z jednym takim, ale nie mogę powiedzieć, żebym cokolwiek poczuła, choć wraził mi po samą nasadę. On sam natomiast, rozplaszczony na mnie, z twarzą ukrytą w moich cyckach, uskarżał się, że nie może wyczuć mojej cipy i miota się po niej jak kijanka w garnku. Jako człek kształcony nakłaniał mnie, żebym spróbowała nieco zewrzeć mięśnie i w ten sposób zacisnąć ją na jego bolcu. Wzięłam głęboki oddech, ścisnęłam z całej mocy i usłyszałam coś jakby świst powietrza w jamie, a kiedy wsparłszy się na łokciach spojrzałam w dół, zobaczyłam, że wciągnęłam go razem z jajami i ze wszystkim. Utknął na amen. Miałam na tyle przytomności umysłu, żeby zadzwonić po pomoc; przybiegła moja przyjaciółka z siostrzyczkami i za pomocą żelaznego drąga uwolniły go, a potem pokrzepiły go winem z korzeniami, gdy tymczasem ja śpiewałam mu piosnkę o jurności łososia podczas tarła. Był to galant co się zowie, zaproponował mi więc inny sposób ukontentowania mojej osoby, jak bowiem wyznał, po raz pierwszy w życiu nie udało mu się zaspokoić kobiety. Zaraz też niczym fretka dał nura w gąszcz mojego krzaczka i próbował załatwić sprawę ustami. Leżałam spokojnie, bo nie miałam nic, co mógłby mi odgryźć. Ale po chwili wytknął głowę i spojrzał na mnie z dołu z rezygnacją.

– Madame – powiedział – przykro mi i wybaczenia proszę, ale nie mogę.

– Co „nie mogę”?

– Nie mogę. Nie mogę objąć tej pomarańczy ustami. Brak stosownej proporcji. Ani też nie mogę przejechać jej językiem. Jesteś pani zbyt duża, madame.

Nie wiedziałam, o jakiej części ciała mówił, ale zrobiło mi się go żal, zaproponowałam mu więc jeszcze wina i pogawędziliśmy sobie miło.

Kiedy sobie poszedł, rozkraczyłam się na poduszkach i rozgarnęłam swoją kępkę, żeby zobaczyć, co też go tak zdeprymowało. Mnie wszystko wydało się całkiem proporcjonalne. Ci dżentelmeni są doprawdy bardzo bojaźliwi.

Kiedy byłam mała, słyszałam, jak matka i ojciec kopulują. Słyszałam regularne stękanie ojca i milczenie matki. Później powiedziała mi, że mężczyźni biorą, a kobiety dają rozkosz.

Powiedziała mi to jakby od niechcienia, takim tonem, jakim mówiła o karmieniu psów czy pieczeniu chleba.

Kiedy się urodziłam, byłam taka maciupka, że spałam w bucie ojca; dopiero później zaczęłam rosnąć i to do takich rozmiarów, że ojciec rozważał, czy nie pokazywać mnie za pieniądze na jarmarkach. Moja matka sprzeciwiła się tym planom, oświadczając, że żaden członek jej rodziny nie będzie wystawiany na pokaz, bez względu na to, w jak skrajnej znaleźlibyśmy się nędzy. Pewnej nocy ojciec próbował mnie wykraść i sprzedać pewnemu kuternodze. Przygotowali beczkę, żeby mnie do niej wsadzić, ale zaledwie zamknęli dekiel, rozerwałam obręczę i jednym skokiem dopadłam ojca, chwytając go za gardło.

To było moje pierwsze morderstwo.

Nie pamiętam swego dzieciństwa, nie ze względu na ojca, ale dlatego, że był to okres ponury i jałowy, wypełniony tęsknotami i zawiedzioną nadzieją. Pamiętam pewne zdarzenia, ale nie mam poczucia upływającego czasu. Gdybym miała ułożyć w jeden ciąg zapamiętane zdarzenia i przeżyć wszystko jeszcze raz, zajęłoby to może dzień lub dwa. Gdzie wobec tego podziały się te długie lata?

Kiedy dotarły do mnie wieści o powrocie Jordana, od razu wiedziałam, że będzie to powrót bohatera i że ja muszę powitać go jak na matkę bohatera przystało. Nie żałowałam grosza: sprawiłam sobie nową suknię z najlepszej wełny i piękny szal wykrojony z obrusa ołtarza kościoła w Stepney. Pojechałam do Hove powozem i rozbiłam obozowisko na brzegu morza, by wypatrywać na horyzoncie żagli statku Jordana. Kiedy mnie opuścił, miał lat dziewiętnaście, kruczoczarne włosy i cichy głos. Teraz miał trzydzieści trzy lata i nie mogłam go sobie wyobrazić.

Wśród wydm grasowali jak zawsze łotrzykowie, którzy postanowili złupić biedną kobietę we śnie, ale przytrzymałam ich krzywą pod wodą i pozostawiłam tam na zawsze, spęczniałych od soli. W wolnych chwilach zbierałam muszelki.

Wreszcie trzeciego dnia zobaczyłam punkcik na morzu. Rósł z godziny na godzinę i wieczorem zobaczyłam statek płynący pod pełnymi żaglami. Wreszcie zarzucił kotwicę. Przyłożyłam dłonie do ust i wykrzykiwałam imię Jordana, nie wiedząc nawet, czy mnie słyszy przez jazgot mew pikujących w pogoni za rybami.

Rozpałałam ognisko i czekałam. Jordan spuścił w ciemnościach łódkę i umieścił latarnię na dziobie. Płynąc ku mnie, wiosłował tak cicho, że dopiero gdy wskoczył do wody sięgającej mu po kolana, podniosłam wzrok i zobaczywszy go, pobiegłam, żeby pomóc mu wyciągnąć łódkę na brzeg.

Miał w brodzie pasemka siwych włosów. Uśmiechnął się i wyciągnął z kieszeni zamszową sakiewkę. W środku był sznur pereł. Założyłam je na szyję; zaśniły w świetle ogniska. Miał ze sobą rondel i trochę pożywienia, więc wciąż nie odzywając się słowem, usiedliśmy naprzeciw

siebie przy ogniu. Czarna sylwetka statku rysowała się w świetle księżyca, łódka ciemniała na piasku.

Chciałam mówić mu różne rzeczy, powiedzieć, jak go kocham i jak bardzo za nim tęskniłam, ale słowa gromadzone przez trzynaście lat kipiały mi w gardle i nie mogłam wydobyć z siebie choćby jednego. Było zbyt wiele do powiedzenia, więc nie powiedziałam nic.

Zjedliśmy, a potem usiadłam z podciągniętymi kolanami, oparta plecami o skałę, a on leżał na boku z rozrzuconymi nogami, wsparty na jednym łokciu. I przyglądał się falom.

Kiedy zasnął, podpełzłam do niego, żeby okryć go kocami, i przyjrzałam mu się dokładnie – jego cienkim przegubom i nosowi przypominającemu stromy stok. Pogładziłam jego włosy i zauważyłam, że ma bliznę na twarzy. Nikt go już nie skrzywdzi. Kiedy podciągałam mu koc pod brodę, coś błysnęło mu na szyi. Delikatnie, tak żeby go nie zbudzić, wyplątałam łańcuszek z fałd ubrania i stwierdziłam, że to srebrny wisiołek. Nie dostał go ode mnie. To nie był jego medalion, lecz para miniaturowych pantofelków, baletek, zwróconych czubkami ku sobie, jakby niewidzialna tancerka stała na puentach. Przewrócił się nagle na bok i wymamrotał coś, a kiedy puściłam łańcuszek, ujął go jedną dłonią, tak jak dziecko ujmuje kciuk matki.

Podniosłam mu głowę, podłożyłam pod nią szal i całą noc czuwałam u jego stóp, licząc godziny według fali przyływu.

Nieco później

OBRAZ 3: „Pan Rose, królewski ogrodnik, ofiarowuje ananasa królowi Karolowi II”. Artysta nieznany, prawdopodobnie ze szkoły holenderskiej. Pan Rose, w peruce, przyklęknął na jedno kolano, król, też w peruce, przyjmuje ananasa. Żywe barwy owocu i kwiatów dopełniają całości.

Wkrótce po tym, jak zobaczyłem to malowidło, zaciągnąłem się do marynarki. Ojciec się ucieszył, matka zmartwiła. Tylko co skończyłem szkołę i byłem spragniony kariery. Jakiegokolwiek, bylebym mógł uciec jak najdalej.

Zbiegły się trzy rzeczy naraz.

Zobaczyłem obraz i próbowałem sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy przywozi się coś z daleka po raz pierwszy. Staralem się patrzeć na ananas tak, jakbym go nigdy dotąd nie widział. Nie udało mi się. Niewiele rzeczy na tym świecie zadziwia, bo w pewnym sensie widzieliśmy już wszystko. Skąd przywieźli tego ananasa? Tego, że z Barbadosu, łatwo było się domyślić, ale kto go przywiózł, w jakich okolicznościach i dlaczego?

Kupiłem ananasa i trzymałem go w pokoju tak długo, aż zgnił. Matka bez przerwy zaglądała do mnie i węszyła, unosząc nos jak pointer.

– Wiesz, coś tu czuć – powiedziała któregoś dnia. Nieco później oznajmiła:

– Czuję jakiś słodkawy zapaszek.

A wreszcie rzekła:

– Coś tu gnije.

Znalazła ananas pod łóżkiem i wyrzuciła go. Środek zamienił się w papkę, a pokryta geometrycznym deseniem łuskowata skóra wyschła i pomarszczyła się.

Zanim go znalazła – a trzymałem go u siebie długo, dzięki stosowaniu prostej metody konserwacji wszelkich żywych organizmów przez wstrzykiwanie odpowiedniego środka – zanim go więc znalazła, wyciągałem ananasa nocą spod łóżka i głaskałem jego zjeżoną czuprynkę i chropowaty korpus. Kiedy miałem pewność, że matka nie zajrzy wcześniej rano, ryzykowałem i spałem z nim, choć wtedy gderała, że cuchnę owocami.

– Jak chłopak może cuchnąć owocami? – zapytał kiedyś ojciec. – Przecież nawet nie tknął żadnego owocu.

Spuściłem głowę i dokończyłem potulnie swoją owsiankę. O mojej matce często powiadają, że jest dziwaczką, ale to pewnie dlatego, że często mówi rzeczy, w które trudno ludziom uwierzyć. I przeważnie ma rację.

– Jack – powiedziałem do przyjaciela – nie chciałbyś zostać piratem albo kimś w tym rodzaju?

A on na to:

– Nie bądź głupi, Nicolas, tyle wody i ani kawałka mydła.

Wielki czyścioch z tego Jacka.

Nicolas Jordan. Pięć stóp dziesięć cali. Ciemne włosy. Robi modele łódek i w weekendy puszcza je na wodę. Najlepszy przyjaciel – Jack. Żadnych braci ani siostr. Rodziców nie stać na teleskop. Ma za to książkę o tym, jak obliczać kurs według gwiazd, i lornetkę na pasku koloru khaki. To wszystko, co można o mnie powiedzieć. Przynajmniej z grubsza.

Drugą z trzech wspomnianych wcześniej rzeczy była *Księga Okrętów „Obseruera”*. Napis na karcie tytułowej głosi:

Autor: FRANK E. DODMAN Wstęp: A. C. Hardy, MINA, FRYD [Fellow of the Royal Geographical Society – członek Królewskiego Towarzystwa Geograficznego.]

Bardzo długo kochałem się potajemnie w nie istniejącej Minie Frogs. Kiedy wracałem jako bohater do domu, czekała zawsze na nabrzeżu i rozpaczliwie pragnęła wyjść za mnie za mąż. Uwielbiałem tę książkę, zawierającą opisy ponad stu typów statków i ozdobioną dziewięćdziesięcioma pięcioma rycinami, szesnastoma ilustracjami barwnymi oraz szesnastostronicową wkładką ze zdjęciami.

Na podstawie rycin zbudowałem swój model statku. Początkowo miałem gotowe modele do sklejanego z częściami wystruganymi z balsy i plastikowymi marynarzami, ale szybko nauczyłem się robić statki sam, używając narzędzi z warsztatu ojca. Nigdy nie zawracałem sobie głowy żałogą. W żałodze nie było nic pięknego; ot, zwykli niewolnicy statku.

W weekendy matka gotowała, a ojciec czytał gazetę. Chodziłem nad staw i puszczałem swoje stateczki. Lubilem zaskakującą zmienność wiatru. Jack chodził ze mną, brał ze sobą książki o komputerach i parę pożyczonych od ojca egzemplarzy „GP”, czasopisma dla lekarzy. Było w nich pełno zdjęć ludzi nieuleczalnie chorych, wśród nich nawet takich, co się zwyczajnie przeziębili.

– Taka choroba musi ustąpić sama – twierdził Jack. – Wszystkie te tabletki są tylko po to, żeby wyciągnąć forszę.

– Zupełnie jak z miłością – zauważyłem. – Nie ma lekarstwa na miłość.

– W kim się kochasz? – zapytał Jack.

– W nikim. Ona nie istnieje.

– Miłość to najbardziej niehigieniczne zajęcie na świecie – stwierdził Jack.

– Coś ty! A co powiesz o tych, którzy pracują w kanałach?

– Mają ubranie ochronne. A zakochani rzadko mają coś na sobie, wystarczy spojrzeć na zdjęcia w magazynach.

Miał na myśli „Playboya” i „Penthouse”. Jego ojciec kupował i to.

Nie odpowiedziałem, więc powrócił do swoich książek. On kochał komputery, takie czyste, łatwe do zaprogramowania. Kiedy mu powiedziałem, że nauczyłem się żeglować według gwiazd, zapytał: „A po co?”

Jack nie jest niewrażliwy, on jest po prostu nowoczesny.

Któregoś popołudnia, kiedy Jack leżał sobie i czytał o kilku szczeniakach, które włamały się do systemu komputerowego Pentagonu, podszedł do mnie jakiś mężczyzna i przykucnął obok mojego stateczku.

– Zrobiłeś to sam?

– Tak.

– Co to za model?

– To żaden model. Zrobiłem go od początku do końca sam.

– I pływa?

– Jasne. Jest idealnie wyważony. Przygotowany na każdy wiatr.

– Ja też je kiedyś robiłem – rzekł nieznajomy – i żeglowałem w nich po morzach. Byłem wszędzie, ale wciąż mam wrażenie, że nie osiągnąłem celu. Wciąż mi się zdaje, że ktoś ze mnie szydzi, ktoś lub coś – nie wiem, choć pewnie brzmi to głupio. Może po prostu tęsknię do prawdziwego świata, a ten, który widziałem, był tylko wabikiem, żeby mnie zwieść. Często mam takie uczucie, jakbym już już docierał do sedna sprawy, ale znów mi wszystko ucieka.

Wstał; nie patrzył na mnie. Potem oddalił się. Wziąłem stateczek i podszedłem do Jacka.

– Kto to był? – zapytał.

– Nie wiem. Jakiś marynarz, czy coś.

– Chyba jakiś świr.

– Dlaczego?

– Nikt się już tak nie ubiera.

– Chodźmy, Jack. Jestem głodny.

A trzecia rzecz?

Sprzątałem swoją sypialnię. Odnawialiśmy całe mieszkanie. Pod łóżkiem piętrzyły się sterty książek, które czytałem, kiedy byłem mały. Większość włożyłem do pudła, nawet na nie nie patrząc. Jedną pamiętałem, pamiętałem tak żywo, że jej wspomnienie narzuciło mi się niejako myśl, ale jako smak. Kiedy ją czytałem, padało, choć było to parę dni po świętach Bożego Narodzenia. Książka miała tytuł *Księga Bohaterów, lektura dla chłopców*, na okładce były okręty, samoloty, konie i mężczyźni o stalowych szczękach. Otworzyłem ją i wypadło kilka kartek zasmarowanych moim dziecięcym pismem. Myślę, że miałem wtedy jakieś dziesięć lat. Był to mój spis bohaterów. Tych, których lubiłem najbardziej. Na marginesach narysowałem ich

podobizny.

Wilhelm Zdobywca

Urodzony w 1028 roku. Znany też jako Wilhelm Bastard. Trzech jego opiekunów zmarło gwałtowną śmiercią, a mentor został zamordowany. Wilhelm był urodzonym włóczęgą, myśliwym, żołnierzem, gwałtownikiem i despota. Niewykształcony. Cnót miał niewiele...

Poślubił Matyldę, córkę Baldwina z Flandrii. Papież obłożył klątwą ich małżeństwo i w akcie pokuty każde z nich musiało zbudować klasztor.

Jako kuzyn bezdzietnego Edwarda Wyznawcy Wilhelm Bastard spodziewał się odziedziczyć tron angielski. Kiedy zasiadł na nim Harald, Wilhelm wylądował w Anglii i pobił go.

Krzysztof Kolumb

Znany też swym hiszpańskim przyjaciółom jako Cristobal Colon. Urodzony w Genui, syn tkacza, zaczynał swą karierę żeglarza jako korsarz.

Odkrył Amerykę raczej dzięki przecuciu niż astronomii. W 1502 roku pisał do króla Ferdynanda i królowej Izabeli Hiszpańskiej: ...ani wskazania rozsądku, ani wyliczenia, ani też mapy nie były mi użyteczne. Później napisał własną *Księgę Przepowiedni* i zmarł w nie wyjaśnionych okolicznościach.

Francis Drake

Urodzony w 1540 roku w Devon, wyruszył na morze jako trzynastolatek, a kiedy skończył lat trzydzieści siedem, popłynął na „Złotej Łani” w rejs dookoła świata. Później wybrano go burmistrzem Plymouth.

Zasłynął rozgromieniem Armady, był też ulubieńcem królowej Elżbiety i nosił przydomek „arcyłupieżcy” zamorskich lądów.

Ten najpopularniejszy przez następne dwa stulecia bohater był mężczyzną „krępej budowy ciała, o krzepkich członkach, okrągłej głowie, kasztanowatych włosach. Miał bujną brodę, oczy wielkie, okrągłe i jasne”.

Lord Nelson

Urodzony w 1758 roku Nelson wyruszył na morze w wieku lat dziewięciu i zanim skończył piętnaście, dotarł do Arktyki. Podczas innego rejsu nabawił się malarii i miał wizję. „No dobra!” – zapisał. „W takim razie i ja zostanę bohaterem”.

Kiedy Wellington poznał Nelsona, zapisał w swym dzienniku: „mówi tylko o sobie i to w sposób tak próżny i głupi, że całkowicie mnie tym zaskoczył i zraził do siebie”. Niemniej jednak Nelson dostał okręt flagowy „Victory” i wyruszył na morze, by rozgromić Napoleona. Nakreślił błyskotliwy, jak sam mówił, plan ataku i nazwał go „Nelsonowskim pociągnięciem”.

Zginął w historycznej bitwie, ale zanim wyzionął ducha, podpisał dokument, w którym powierzył swą kochankę, Emmę lady Hamilton, i ich dziecko, Horację, opiece narodu. Naród zignorował jego wolę i słał zmarłego admirała, podczas gdy Emma umarła dziewięć lat później

w Calais, wyniszczona chorobą i opuszczona.

Jeśli jesteś bohaterem, możesz być idiotą, zachowywać się skandalicznie, zrujnować swoje życie prywatne, mieć dowolną liczbę kochanek i bez przerwy mówić tylko o sobie, i nikomu to nie przeszkadza. Bohaterowie są nietykalni. Mają szerokie bary, bujne czupryny i gdziekolwiek się pojawiają, ściągają tłumy. Przeważnie czują się dobrze w towarzystwie innych mężczyzn, choć atrakcyjne kobiety też mogą być częścią nagrody za niezwykle czyny.

Mój ojciec ogląda filmy wojenne. W filmach o wojnie pełno jest facetów w blaszanych kapeluszach, którzy wygłaszają krótkie, dosadne kwestie. Grają w karty przy składanych stołach i rozmawiają ze sobą, wychylając się ze swych piętrowych prycz. Wyskakują z okopów i koszą nieprzyjaciela ogniem karabinów maszynowych w promieniu 180°. Mają jakieś dziewczyny, ale wolą swoje towarzystwo.

Mój ojciec ogląda filmy o okrętach podwodnych. Wyje syrena i facetami w podkoszulkach rzuca o ściany. Dowódca przywiera okiem do peryskopu i widzimy na przebitce łódź podwodną pikującą w wodzie jak stalowy wieloryb.

Mój ojciec ogląda filmy o bitwach morskich. Faceci w koszulkach polo i czarnych wellingtonach wbiegają na mostek i pytają, co z nieprzyjacielem. Jest tam zawsze jakiś mniejszy, ostrzyżony na jeża facecik, który mówi proste, a ważne rzeczy, ale ci więksi je ignorują. Później, kiedy okręt idzie na dno, ten kurdupel jest jedynym facetem na tyle małym, żeby móc się wcisnąć w dziurę i zatamować napływ wody. Nie wygląda na bohatera, ale nim jest. Wstawia się go po to, żeby wszyscy mali poczuli się dzielni. Wielu małych ludzi chciałoby być bohaterami, muszą dostać swoją porcję pożywki dla fantazji. Sęk w tym, że ci mali zawsze zostają zabici.

Poszedłem do punktu rekrutacyjnego marynarki wojennej i tam powiedzieli mi o całym skomplikowanym sprzęcie, z jakim będę miał do czynienia, a także o wszystkich miejscach, które odwiedzę. Pokazali nam film o służbie w marynarce, a potem pojawił się jakiś stary admirał i opowiedział, jak uczył się prasować swoje marynarskie spodnie z siedmioma zakładkami symbolizującymi siedem mórz.

Było też mnóstwo gadania o koleżeństwie i towarzyszach broni. Nie ma w tym oczywiście nic z homoseksualizmu.

Poszliśmy z Jackiem do parku. Ja wziąłem swój żaglowiec, on swoje książki. Była wietrzna pogoda i staw wyglądał, jakby ktoś go polał szarym lukrem i zrobił na nim widelcem falisty wzorek. Zostawiłem Jacka na ławce i szedłem na wyżwirowany brzeg. Nastawiłem żagle i przygotowałem statek do spuszczenia na wodę. Wiatr pognał go od razu na sam środek stawu i wygiął maszty. W końcu udało mi się go wyłowić, ale był uszkodzony. Łzawiły mi od wiatru

oczy i Jack myślał, że płacze. Zakłopotany sytuacją próbował pokryć zmieszanie, śmiejąc się zbyt głośno z jakiejś kobiety, która walczyła z targanym podmuchami wiatru leżakiem.

– Jesteś już za stary na takie zabawy stateczkami – powiedział.

– Niby dlaczego? – ja na to.

Wzruszył ramionami i powiedział mi, że zamierza pracować w soboty, żeby zaoszczędzić trochę forsy na wakacje.

Moja matka i ojciec są bardzo pedantyczni, jeśli chodzi o jedzenie. Układają wszystko według koloru i kształtu i jedzą w proporcjonalnych ilościach, tak że nigdy nie zjadają za dużo jednej potrawy, a za mało innej. Ja od razu pożeram cały groszek i to ich irtuje.

Rozmawialiśmy o mojej marynarskiej karierze.

– A co będzie, jeśli wybuchnie wojna? – zapytała matka.

– Oboje przeżyliśmy wojnę – zauważył ojciec. – I nic się nam nie stało.

– Ale mieliśmy zszarpane nerwy – rzekła matka.

– Nie było tak źle, a czasem bywało całkiem przyjemnie – pamiętasz, jak tańczyliśmy i potem kochaliśmy się po ciemku?

– Nie opowiadaj takich rzeczy przy Nicolasie – rzekła matka. A potem po krótkiej pauzie dodała: – To było okropnie denerwujące.

Czy mówiła o wojnie, czy o kochaniu się z ojcem?

Przyjęli mnie do marynarki jako kadeta. Byliśmy wszyscy dumni, kiedy przyszło zawiadomienie. Matka włożyła je do teczki, w której trzyma inne moje papiery.

W wieczór poprzedzający wyjazd urządziliśmy sobie uroczystą kolację z winem. Matka była zdenerwowana, ojciec mówił bardzo głośno. Staralem się, żeby starczyło mi groszku do końca.

Kiedy nadeszła pora snu, poszedłem do siebie i zgasiłem światło. Nie rozbierałem się. Położyłem się na łóżku i patrzyłem przez okno na gwiazdy. Czytałem, że gwiazdy mogą zaprowadzić człowieka wszędzie. Nigdy nie chciałem być astronautą ze względu na hełmy. Gdybym miał się znaleźć na Księżycu czy w okolicach Drogi Mlecznej, chciałbym czuć, że mam gwiazdy wokół głowy. Chciałbym, żeby zdobiły moje włosy, jak na wizerunkach świętych. Chciałbym całym ciałem wyczuwać kosmos, tę pustą przestrzeń z punkcikami światła. Tak muszą to czuć tancerze, tancerze i akrobaci – jako totalną wolność, przez ułamek sekundy.

Nawet jeśli jesteś uwolniony od grawitacji, nie może to być przyjemne w kombinezonie kosmicznym. Czy nie chcielibyście być wtedy nadzy? Nago i bez pośpiechu koziołkować sobie w tej nowej, nieznanej przestrzeni?

Ludzie twierdzą, że teraz, kiedy człowiek postawił stopę na Księżycu, stracił on całą magię, ale ja się z tym nie zgadzam. Trzeba czegoś więcej niż postawienia nogi, żeby odebrać nam

Księżyc.

Dotarliśmy już do najdalszych zakątków Ziemi i teraz wyruszamy w kosmos.

Mój ojciec ogląda filmy o kosmosie. Są różne; to jedyny obszar nie słabnącej nadziei. Są zwykle pogodne i występują w nich kobiety, które są czasami naukowcami, rzadziej piosenkarkami czy kelnerkami. Czasami bywają także bohaterkami, choć to nie jest jeszcze powszechne. Zawsze kiedy oglądam takie filmy, chce mi się płakać, bo pozostawiają ci tyle nadziei, że wygląda to na początek wszystkiego, a nie na koniec starego, steranego świata.

Ale jeśli dotarliśmy już wszędzie i jest tylko kwestią czasu, gdzie udamy się teraz, kiedy już nie ma miejsc dziewiczych?

Czy naprawdę musimy aż tak zwlekać z wyprawą w głąb samych siebie, wzdłuż własnych tuneli czasu, w sferę swego wewnętrznego uniwersum?

Moja sypialnia została zlikwidowana. Musiałem rozlokować rzeczy po różnych szafach, usunąć się poza zasięg wzroku. Teraz został po mnie wolny pokój. Opuszczałem dom. W świetle padającym przez okno widziałem puste półki i rzędy butów poustawianych porządnie pod szafą. To była stara szafa z lustrem na drzwiach. Rano, zanim wyszedłem, przejrzałem się w nim. Wyglądałem nieźle.

Pół roku później stałem na pokładzie admiralskiego holownika u ujścia Tamizy nieopodal Deptford. Mieliśmy rozbroić minę, którą ktoś rzekomo wypatrzył. Nie było pośpiechu. Ludzi uspokajała nasza obecność, a my uspokajaliśmy się wzajemnie. Noc była ciepła, w dali błyszczały światła Londynu, chłupotała czarna woda, panował względny spokój. Byłem w dobrym nastroju.

Stałem na pokładzie z przyjacielem. Był kimś w rodzaju astronoma i lubił mi pokazywać różne konstelacje. Nie mówiłem mu, że je znam.

W pewnej chwili powiedział:

– Wiesz, gdybyśmy wypadli z naszej galaktyki, gdybyśmy się po prostu pewnego dnia wyswobodzili, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. Nie widzielibyśmy nic, tylko czerni. Wszystkie te gwiazdy, które wydają się tak gęsto skupione, dzielą lata świetlne. Nasza szansa napotkania jakiegokolwiek gwiazdy lub planety, nie mówiąc już o takim ciele niebieskim jak planeta, byłaby jak jeden do miliarda miliardów.

Zaśmiał się i zszedł pod pokład.

Oparłem się o reling, głowę wsparłem na ramionach. Czuję, że spadam w czarną otchłań bez gwiazd – bez życia i bez hełmu. Usłyszałem za plecami szelest.

– Dziś chowają króla w Windsorze.

Uniosłem spłoszony głowę i zobaczyłem tuż przed sobą twarz mężczyzny zapatrzonogo w dal ponad wodą. Znałem go, ale skąd? A to ubranie... nikt się już tak nie ubiera.

Spojrzałem w górę, ponad jego głowę. Żagle trzeszczały w podmuchach bryzy, grotmaszt oplatała gęsta sieć lin. W oddali widziałem Wielką Niedźwiedzicę, Oriona i jasny sierp księżyca. Usłyszałem krzyk ptaka, ostry i przeraźliwy. Tradescant westchnął. Na imię mam Jordan.

* * *

Jestem kobietą bliską obłądu. Kobieta, która ma zwidy. Wyobrażam sobie, że jestem wielka, nieokrzesa, monstualna. Kiedy zamieniam się w olbrzymkę, zawijam rękawy, a moje spódnice kręcą mi się wokół kolan niczym wir. Mam worek, taki w jakim topi się kocięta, i chodzę po świecie, przystając tu i ówdzie, żeby go zapełnić. Strzelają do mnie, ale ja wyciągam tylko pociski z rowka między piersiami i miażdżę je w zębach. A potem śmieję się do rozpuku i łamię im karabiny w palcach, jakby to były kostki kurczaka.

Pierwszy postój: Bank Światowy.

Idę prosto do sali posiedzeń zarządu. Jest tam długi, mahoniowy stół z wygodnymi krzesłami dookoła. Mężczyźni w garniturach dyskutują, jak uporać się z problemem Trzeciego Świata. Chcą budować zapory, karczować lasy tropikalne, finansować budowę wielkich fabryk coca-coli i rozpocząć eksploatację zasobów kauczuku. Mówią mi: „To spotkanie zamknięte”.

Zaczynam od szczytu stołu i unoszę ich jednego po drugim za kark. Wierzgają w powietrzu nóżkami w spodniach od Gucciego. Nie mam nic przeciwko ich garniturom, są z pierwszorzędного materiału. Wrzucam ich do worka, wrzeszczą wszyscy naraz, że wezwą swych prawników i co ja sobie w ogóle wyobrażam, i gdzie tu wolność słowa i prawa obywatelskie.

Kiedy już wszyscy są w worku, wychodzę, nie robiąc w sali nadmiernego bałaganu; wrzucam tylko do worka kilka kalkulatorów, żeby się nie nudzili – i już nas nie ma.

Następny postój: Pentagon.

Walę przez najbardziej strzeżone, zabezpieczone supersystemami drzwi, mijam komputery, zapisane w nich sekrety, armię sekretarzy i sekretarek i nadziewam się wprost na bandę generałów i niższych szarż rozprawiającą o obronie, pokoju i o tym, jak wyeliminować zagrożenie nuklearne, zwiększając produkcję broni. Słucham uważnie, gdy klarują mi z cierpliwością matki niedorozwiniętego dziecka, że jeśli nie ma się potencjału wystarczającego do pięćdziesięciokrotnego rozpieprzenia Ziemi, nie jest się bezpiecznym. A jeśli się ma, to się jest.

Mówię: Wasze własne statystyki pokazują, że gdyby przeznaczyć trzy procent wydatków na obronę na rozwiązanie problemu ubóstwa w Stanach Zjednoczonych, po dziesięciu latach ów problem przestałby istnieć, po prostu zniknąłby jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej.

Spoglądają po sobie, kilku parska pogardliwie, po czym wracają do roboty. Nie mam wyboru. Chwytam ich za medale – i do worka. Jeden wytknął głowę i powiada: „Będzie pani aresztowana. To, co pani robi, jest niebezpieczne”.

A potem...

Porywam światowych przywódców, wyłuskując ich z kawalkady samochodów, z obiadów w posiadłościach wiejskich, z ambasad i prywatnych przyjęć. Wrzucam ich wszystkich do worka i idziemy na wycieczkę, tam gdzie piętczą się góry masła, do jezior wina, do silosów ze zbożem, na pustynie, tam gdzie spękana ziemia, gdzie głodują dzieci i gdzie handlarze bronią mieszkają w strzeżonych pałacach.

Zmuszam wszystkich tłściochów, żeby przeszli na dietę, a wszystkich mężczyzn do przymusowych kursów feminizmu i ekologii. Potem zabierają się do nadwyżek żywności, pakują to własnoręcznie i rozprawdają przez wielką sieć tego, co kiedyś nazywało się strukturami władzy, a teraz przekształciło się we współpracę.

Zmieniamy świat, a siódmego dnia urządzamy sobie party nad brzegiem winnego jeziora, pieczemy naleśniki na maśle z maślanej góry i ludzie z całego świata napływają falami, zostają nakarmieni, wykapani, wyleczeni. A kiedy rzeka lśni, to nie od rtęci...

Tak się to wszystko zaczęło: od rtęci. Od tego właśnie zaczęły się moje zwidy, od sprawdzania poziomu rtęci w rzekach, jeziorach i strumieniach. Wszędzie tam, gdzie się to mogło opłacić. Poziom był zawsze za wysoki, ryby zdychały, dzieci cierpiały na dziwne choroby skórne, rząd twierdził, że nie ma tu żadnego związku przyczynowo-skutkowego.

Podjęłam jednoosobową kampanię, podobną do tych, o których czyta się w gazetach; prowadzące je kobiety przedstawiają tam zawsze jako raczej nieszkodliwe wariatki. Mają nadzieję, że znikniesz, zestarzejesz się, znudzisz. Czas to prawdziwy mistrz od uśmiercania.

Ja nie zniknęłam. Pisałam artykuły i roznosiłam po domach ulotki z danymi. Zaszczepiałam ideę prywatnego ewangelizmu. Zatrzymywałam gospodynie domowe na rogach ulic i robotników w barach. Kiedy trafiła mi się kobieta dobrze sytuowana, z pozycją, prosiłam o pieniądze i pomoc.

Koszty, jakie ponosiłam sama, były wysokie. Zbyt wysokie, mówiłam sobie w chwilach depresji, jakie zdarzały mi się często. Kłopot pojawia się wtedy, gdy ludzie tacy jak ja, z natury apatyczni i zwyczajni, zmuszeni są przekraczać wszelkie granice, rujnować sobie życie i narażać się na drwiny i pogardę tylko dlatego, żeby coś do innych dotarło. Czy naprawdę sądzą, że wolę koczować nad skażoną rzeką, niż siedzieć w domu, na swoich śmieciach?

Ludzie uwierzą we wszystko.

Z wyjątkiem, jak się wydaje, prawdy.

Byłam dzieckiem samotnym. Moi rodzice uważali mnie za trudną; nie taką mnie sobie

wymarzyli. Byłam zbyt silna, zbyt niezgrabna i zbyt ospała jak na ich gust. Najlepiej czułam się z psami, poza domem. Rodzice chcą widzieć w dziecku siebie. Sprawia im przyjemność, kiedy dostrzegą u dziecka znajome przekrzywienie głowy czy podobieństwo w sposobie mówienia. Jeśli nie ma takich znaków rozpoznawczych, jeśli dziecko jest naprawdę odmienne, robią wprawdzie co w ich mocy, żeby zapewnić mu wikt i opierunek, ale nie kochają go. W każdym razie nie tą miłością, która człowieka przeobraża.

Nauczyłam się więc akceptować samotność i czerpać przyjemność z siedzenia w mroku, gdzie nikt mnie nie widzi. Mogę wtedy patrzeć w gwiazdy i wymyślać sobie świat, w którym nie ma siły ciężenia, niczego, co krępuje. Nie byłam gruba z powodu łakomstwa; jadłam tyle, co ptaszek. Byłam gruba dlatego, że chciałam być większa od wszystkiego, co było większe ode mnie. Od wszystkiego, co miało nade mną władzę. Była to walka, w której zamierzałam zwyciężyć.

To chyba, przyznacie, oczywiste, że ktoś, kogo ignorują i nie zauważają, nadyma się tak długo, aż zmusi innych, żeby go zauważyli, nawet jeśli reakcją ma być strach i obrzydzenie.

Wyobrażałam sobie dom moich rodziców jako muszlę. Miejsce w sam raz dla fantastycznego stwora, który musi sycić się ciepłem i pokarmem do chwili, aż będzie gotów zrzucić ochronną skorupę i wypełznąć na zewnątrz. Nocą, leżąc w łóżku, czułam, jak cały dom oddycha razem ze mną. Dachówki, cegły, szalunki, rury, wszystko to poddawało się rytmowi mojego oddechu. Byłam potworem zamkniętym w wymoszczonym dywanami jaju.

I oto rosnę, moje ramiona rozsadzają ściany pokoju, głowa, prostując się, roztrzaskuje okno. Dookoła pełno odłamków szkła, cały ogród stratowany jednym stąpnięciem. Mikromegas wysoki na dwieście mil z okładem.

Ale nawet Rabelaisowskiej[Mikromegas, tytułowy bohater jednej z *Powiastek filozoficznych* Woltera, nie zaś postać z *Gargantui i Pantagruela* Rabelais'go, co zdaje się sugerować autorka.] miary nie wystarczy dla opisanie niepojętego gniewu.

Kiedy straciłam dom, straciłam też, co było do przewidzenia, na wadze. I to sporo. Właściwie to zrzuciłam chyba ze dwie taczki. Gdzie się to podziało? Skąd się wzięło i gdzie się podziało? Jest to jedna z zagadek materii: tłuszcz się pojawia, a potem znika, i o tym, że w ogóle był, świadczy tylko kilka rozstępów i zbyt luźne ubrania.

– Spaliłaś to – mawiała moja matka, i kiedy byłam mała, wyobrażałam sobie, jak podsycam własnym tłuszczem ogień w wielkim palenisku. Smutki dymu ulatującego z komina skręcały się na kształt świńskich ogonków.

Kiedy zrzuciłam z siebie ów ciężar, odkryłam dziwną rzecz: to samo brzemie obciążało nadal moją świadomość. Miałam swoje alter ego, potężne i władcze, kobietę, której jedyną moralnością była jej własna moralność i która dochowywała wprawdzie wierności niewielu sprawom, ale za

to za wszelką cenę i do końca. Była moją patronką; to ją wzywałam, kiedy czułam, że ginę, przesączaając się przez szpary w podłodze, lub znikam stopniowo, idąc ulicą. Ilekroć ją wezwałam, nabrzmiewały mi mięśnie i śmiech wzbierał w gardle. Była to oczywiście tylko fantazja, przynajmniej na początku...

Jako dyplomowany chemik i zarazem atrakcyjna kobieta, z którą lubili pracować mężczyźni, mogłam pozostać na uniwersytecie albo wykonywać jakąś pożyteczną, choć nieefektywną pracę. Nie musiałam się zajmować badaniami skażenia środowiska. Jest to zajęcie ohydne pod każdym względem. Wielkie przedsiębiorstwa nienawidzą człowieka i bez przerwy napuszczają swoich naukowców, żeby podważali wartość zgromadzonych przez ciebie danych. Rządy, zarówno nasz, jak inne, bardzo opieszale reagują na to, co się mówi. Opieszałość nie jest jeszcze najgorsza, zwykle człowiek spotyka się z jawną wrogością i kręactwem. Ziemia ginie na naszych oczach, mordowana w okrutny sposób, a nikt nie chce w to uwierzyć.

– Dlaczego nie pracujesz dla ICI? [*Imperial Chemical Industries*] – pyta mój ojciec. – Ich pracownicy mogą kupować uprzywilejowane akcje.

No właśnie, dlaczego? Albo dla Shella, Esso, Union Carbide czy dla NASA?

Dlaczego nie chcę korzystać z uprzywilejowanych akcji, służbowego samochodu, systemu emerytalnego, prywatnej kliniki i rezygnuję z przyzwoitej pensji? Dlaczego koczuję nad brzegami rzek, popadając powoli w obłąd? Skóra mi się łuszczy i odchodzi płatami.

Byłam przez długi czas sama, całymi dniami i nocami, tak że nie mogę już mierzyć czasu w jednostkach, w jakich mierzyłam go kiedyś, bo zbuntował się i oszalał. Teraz nie ja mierzę czas, lecz on mierzy mnie.

To przerażające.

Bardzo często przesypiam cały dzień i czuwam przez całą noc – czemu by nie, skoro nie ma przy mnie nikogo, komu by to przeszkadzało?

Mam kalendarz i zegarek, a więc mogę całkiem racjonalnie określić, w jakim punkcie tego, co określa się mianem roku, znajduję się w danej chwili. Moje własne odczucia są jednak inne. Czuję się tak, jakbym była tu już od stuleci. Można mi logicznie wytłumaczyć, że tak nie jest, ale nikt nie wyperswaduje mi tego, co odczuwam. Jak można kogoś nakłonić, żeby przestał odczuwać? Tak więc moim najsilniejszym instynktem jest odrzucić postawę zdroworozsądkową i zaakceptować to, co naprawdę czuję: że czas zwolnił.

A dlaczego by tak nie miało być? W pewnych okolicznościach nasze tętno słabnie lub przyspiesza, zmienia nam się oddech, a jeśli to konieczne, zmieniają się reakcje całego organizmu.

Jest tyle baśni o ludziach, którzy przysnęli na chwilę i ocknęli się w innym czasie. Na

zewnątrz nic się we mnie nie zmienia, ale wewnątrz nie zawsze jestem tutaj, nie zawsze siedzę nad cuchnącą rzeką. Wciąż jeszcze potrafię uciekać.

Uciekać od czego? Od terażniejszości? Tak, od tego pierwszego planu, który czyni mnie ślepa na to, co dzieje się w głębi. Jeśli jest we mnie duch, jeśli mam duszę – obojętne jak to nazwać – rzeczywistość nie może być jednowymiarowa, musi być wieloraka. A przestrzeń nie może być ograniczona, zamknięta, lecz jest nieskończona, kosmiczna. Może tkwić w niezliczonych gnijących ciałach i w tych z przyszłości, i z przeszłości.

Nie wiem tego. Próbuję tylko znaleźć teorię, która pasowałaby do faktów. To właśnie robią uczeni, choć może się wam wydawać, że porównując się z nimi, zdradzam zbyt wielkie ambicje.

Może to i prawda.

Bez względu na to, czy jestem zatruta, czy nie, to właśnie rtęć sprawiła, że myślę w ten sposób. Upuść kroplę, a rozsypie się mniejszymi, drżącymi kropelkami po całej podłodze, ale można je zebrać z powrotem i nie będzie żadnych śladów ponownego łączenia, żadnych spojeń ani pęknięć. Jest jedno życie lub nieskończenie wiele żywotów, zależy, czego chcemy.

Czego chcę ja?

W marzeniach myślę o domu, o kochanku, o dzieciach, ale wiem, że nic z tego nie wyjdzie. Kto by zechciał żyć z monstrem? Może już nie wyglądam jak monstrem, ale długo nie ukryję tego, że nim jestem. W końcu pęknię, trzaśnie mi sukienka, zacznę ciskać talerzami w mleczarza, jeśli zawoła z obleśnym uśmiechem: „Jak się masz, ślicznotko!” Prawdę mówiąc, straciłam już cierpliwość do tego śmierdzącego, załganego świata. Nie mogę już tego znieść. Nie potrafię prawić pochlebstw, kłamać, przymilać się, a nawet zbyt często uśmiechać. Do czego się tu uśmiechać?

– Nie starasz się – mówi matka. – Nie jest aż tak źle.

Jest aż tak źle.

– Ładna z ciebie dziewczyna – mówi ojciec. – Każdy by się z tobą ożenił.

Nie byliby tacy chętni, gdyby zajrzeli mi pod powieki, do uszu albo zaświecili latarką do gardła, gdyby posłuchali bicia mojego serca przez stetoskop. Ten, który by to zrobił, złapałby się za głowę i uciekł. Zobaczyłby ją, tą drugą, jak czai się we mnie. I mieści się bez trudu, choć taka wielka.

Kochałam się raz z facetem: wte i nazad, wte i nazad. Seria stękań i głęboki jęk na końcu.

– Miałaś orgazm? – zapytał.

Jasne, że nie miałam, nie czytałeś Mastersa i Johnsona?

A potem usnął i oddychał: znów wte i nazad, wte i nazad.

W pewnej chwili powiedziałam: Chciałabym połknąć...

– Fantazja cię ponosi, co? – powiedział, nie pozwalając mi dokończyć zdania.

A ja myślałam: połknęłabym cię całego, do ostatniej okruszynki, pochłonęłabym jak ostrygę,

a na samym końcu nogi, które trzepotałyby mi w ustach jak płetwy nurka. Jonasz i wieloryb.

Nie czuję nienawiści do mężczyzn, chciałabym tylko, żeby się bardziej starali. Wszyscy chcą być bohaterami, a my wymagamy od nich tylko, żeby siedzieli w domu i pomogli trochę przy sprzątanii i przy dzieciach. Nie jest to rodzaj heroizmu, który by im odpowiadał.

– Jesteś tak negatywnie nastawiona do świata – mówi matka.

Nie, nie jestem. To ty jesteś negatywnie nastawiona. To ty siedzisz, oglądasz wiadomości, jesz to swoje mięso z fermy hodowlanej, swoje laboratoryjnie produkowane jaja, zwalasz tony plastiku do kraterów wyrwanych w ziemi poza miastem. Jak ci się zdaje, gdzie się to całe paskudztwo podziwia?

Nie wiem, czy w przestrzeni i czasie istnieją jakieś inne światy. Może ten jest jedyny, a cała reszta to tylko wytwór bujnej wyobraźni. Czy jest tak, czy inaczej, nie ma zresztą znaczenia. Musimy być przygotowani na obie ewentualności. Najwyraźniej są współzależne.

Pamiętam czasy, kiedy chodziłam do szkoły i tyłam dosłownie z dnia na dzień. Mieszkaliśmy wtedy w mieszkaniu kwaterunkowym przy Upper Thames Street w Londynie, nad samą rzeką. Później mieliśmy własny dom, ale w czasach, o których mówię, byliśmy biedną rodziną robotniczą. Moja matka zapomina, że tak w ogóle kiedyś było. Wracałam ze szkoły, sama. Szłam wzdłuż nabrzeża i przypatrywałam się łodziom płynącym w górę i w dół rzeki. Była tam barka, na której występowali Punch i Judy. Pan Punch łął skórę dziecku, Judy próbowała go udusić, był tam też Toby, piesek z białą kryzą.

Nie chciałam wracać do domu. Chciałam zostać nad rzeką przez całą noc, zrobić sobie legowisko na brzegu i rozpalić ogień. Wspięłam się po schodkach na most Waterloo i nie zważając na piekielny ruch, przystanąłam, żeby popatrzeć na katedrę Świętego Pawła i Westminster. Nie było to łatwe: wszyscy śpieszyli do domów, co im tam jakieś widoki. Była jesień, słońce już zachodziło, powietrze było ostre. Odczuwałam pewną przyjemność, kiedy drażniło mi nozdrza aż do bólu, a białe obłoczki układały się przy wydechu w malownicze wzory. Patrzyłam, jak słońce znika za budynkami, i gdy koncentrowałam się na tym widoku, warkot samochodów, tupot nóg, smród gumy i spalin zaczęły stopniowo zanikać. Czułam, że stoję sama i że jest jakieś zupełnie inne popołudnie.

Spojrzałam na swoje ręce spoczywające na murku. Były masywne, grube jak uda, a murek nie był murkiem, tylko drewnianą barierą. A kiedy się odwróciłam, nie mogłam dojrzeć kopuły Świętego Pawła.

Widziałam rozklekotane łodzie załadowane warzywami, kłócące się kobiety, regiment jazdy przejeżdżający przez most na Tamizie.

Pomyślałam, że powinnam biec na most Blackfriars, gdzie na mnie ktoś czekał.

Kto? Kto?

Jeszcze teraz budzę się po nocach i pohukuję: „Kto, kto?”, niczym jakiś nocny ptak.

Dlaczego tamten dzień wciąż do mnie powraca, gdy siedzę nad zaśmiardłą rzeką, mając ogień za całe towarzystwo?

* * *

Poranek. Daleko na morzu statek na kotwicy. Łódź Jordana wyciągnięta na brzeg. Ognisko dymi, musi znów buchnąć płomieniem, kiedy on się obudzi. Ogień piekielny płonie wiecznie, nie trzeba będzie przeszukiwać wydm, żeby znaleźć wyrzucone przez morze kawałki drewna.

Kiedy Jordan zaczyna się ruszać, mam już przygotowaną wielką stertę opału. Biorę ostrygi i otwieram je małym nożem – pięknym nożykiem z hebanową rękojeścią, zabranym martwemu panu Jakiemuśtam, który – tak się jakoś składa – był purytaninem. To było, jeszcze zanim się zreformowałam. Po przedwczesnym końcu kaznodziei Scroggsa i sąsiada Firebrace’a ślubowałam prowadzić znowu życie spokojne i pohamować swą naturalną skłonność do mordowania. Nie uważam się za zbrodniarkę i protestowałabym bardzo gwałtownie przeciw wtrąceniu mnie do Newgate. Nie powodowała mną chęć zysku, tylko poczucie sprawiedliwości, i kiedy dokonałam rachunku sumienia, stwierdziłam, że nie zginął z mojej ręki nikt, kto byłby lepszy żywy niż martwy. Na dowód, jeśli ktoś takiego się domaga, przytoczę słowa poczciwej żony kaznodziei Scroggsa, biedaczki, której jedyną przyjemnością było to, że mąż dźgał ją członkiem przez dziurę w prześcieradle. Kiedy dowiedziała się od ludzi o śmierci swego małżonka (jestem zbyt dystygowana, by opisywać jej okoliczności tego zdarzenia osobiście), uniosła ramiona ku niebu i dziękowała Bogu za Jego łaskę. Skromność moja jest tak wielka, że nie żywię żadnej urazy za te chybione, bo źle skierowane dziękczynienia pod adresem naszego Zbawiciela. Sama nie mam w tym względzie żadnych pretensji, a jakże często nasz Pan pozbawiony jest należnej mu podzięki.

Kobieta owa spakowała bez zwłoki manatki i przeniosła się do swej niezamężnej siostry do Tunbridge Wells. Kiedy ją żegnałam, łzy napłynęły mi do oczu na myśl, co wycierpiała i od jakiego koszmaru została uwolniona.

Nawet jeśli w dniu Sądu Ostatecznego okaże się, że raz czy drugi zbłądziłam, to wiem, że nasz Pan przygarnie mnie do serca, tak jak to zrobił z kobietą przyłapaną na cudzołóstwie, i zapyta: „Kto pierwszy rzuci kamieniem?”

Kiedy połknęliśmy oboje z Jordanem po trzydzieści sześć ostryg, powiedział mi, że musi natychmiast ruszać do Londynu, aby wręczyć królowi najbardziej niezwykle trofeum, jakie przywiózł z wyprawy.

– Mam je tu, w tej sakwie – rzekł – ale lada chwila może się popsuć.

– A więc to nie złoto? – spytałam zawiedziona. Zaśmiał się i powiedział, że złota ma na

statku w bród.

– Pokaż mi to twoje cudo – rzekłam.

Zaczął rozwijać pakunek tak ostrożnie, jak ja odwijalam kiedyś jego samego nad szaroburą Tamizą.

– To pewnie znów jakiś owoc – powiedziałam, spojrzawszy na ukryty kształt, przypominający gada z kolczastym zielonym czubem, który mógłby zdobić łepetynę jakiegoś diabluka.

– Jak to: znów owoc? – Jordan wyglądał na zmieszanego.

Opowiedziałam mu o naszej wyprawie, kiedy to po raz pierwszy oglądaliśmy banana, i o tym, jak mną wstrząsnął kształt i kolor tego kuriozum.

– Od tamtego dnia – powiedziałam – nie ma takiego owocu ani jarzyny, która mogłaby mnie zadziwić.

– Pamiętam ten dzień – powiedział.

Potem zerwał się i zaczął zbierać porozrzucane manatki.

– Wynajmiemy w mieście konie.

– A jaki koń mnie uniesie?

Po krótkim sporze uzgodniliśmy, że musimy się szarpnąć na powóz. Ja mam zwyczaj chodzić wszędzie pieszo, ale uznałam w końcu, że matce powracającego bohatera nie godzi się przybywać do Londynu w dwa dni po synu, kuśtykającej z tobołkiem na grzbiecie.

– Czy twój naszyjnik to też coś cennego? – zapytałam, udając, że niewiele mnie to właściwie obchodzi.

Spojrzał na mnie przenikliwie i przerwał swoją krzątaninę.

– Dała mi go kobieta, która nie istnieje. Ma na imię Fortunata.

– Znałam kiedyś włoskiego pirata o tym imieniu – zauważyłam.

Jordan zapatrzył się na morze.

– To właśnie o takim dniu mówiła, opowiadając mi o Artemidzie i o tym, dlaczego zdecydowała się jej służyć.

– Opowiedz mi o tym – rzekłam. – Dopiero świta.

OPOWIEŚĆ FORTUNATY

Bogini Artemida wyblagała u swego ojca, Zeusa, łuk ze strzałami, krótką tunikę i własną wyspę, gdzie nikt nie mógł się wtrącać w jej sprawy. Nie chciała wychodzić za mąż, nie chciała mieć dzieci. Chciała polować. Polowanie było dla niej wszystkim.

O świcie spakowała swój dobytek, udała się na wyspę i rozpoczęła nowe życie w lasach. Jej sława rozeszła się szybko po świecie i próbowały się do niej przyłączyć inne kobiety, ale

Artemidzie nie zależało na towarzystwie. Chciała być sama. W swej samotności odkryła coś bardzo osobliwego. Zawsze zazdrościła mężczyznom swobody, z jaką poruszali się po świecie, a potem wracali w glorii do pokornie czekających żon. Uświadamiała sobie wyraźnie istnienie podziału na bohaterów i strażniczki domowego ogniska, podziału, który umożliwiał normalną egzystencję. Nie odrzucała tego porządku, liczyła tylko na uzyskanie dla siebie swobód i przywilejów drugiej strony. Zastanawiała się, jak by to było, gdyby opłynęła niczym bohater cały świat i siedem mórz. Czy doświadczyłaby czegoś nowego, czy byłoby to wciąż to samo, tyle że w innym przebraniu?

Alchemicy mawiają: *Tertium non datur* – trzeciej możliwości nie ma. Oznacza to, że przemiana jednego elementu w drugi, bezużytecznych odpadów w złoto najwyższej próby, jest procesem niemożliwym do udokumentowania. Procesem absolutnie tajemniczym. Nikt nie wie naprawdę, co wpływa na tę przemianę. Tak samo jest ze świadomością, która uwalnia się ze swego więzienia i mknie ku rozległym przestrzeniom, choć nie widać żadnego ruchu. Możemy tylko przeczuwać, co się dzieje.

Pewnego dnia, gdy Artemida zgubiła trop ściganego zwierzęcia, postanowiła rozniecić ognisko i nieco odpocząć. Nie dawały jej jednak spokoju czające się w mroku nocy cienie i zwidy. Widziała przy ognisku samą siebie jako dziecko, kobietę, łowczynię i królową. Kiedy schwyciła dziecko, zniknęła jej z oczu kobieta, a gdy sięgnęła po łuk, pierzchła królowa. Jakież ma znaczenie, że przemierzy cały świat i dopadnie każdego żywego stworzenia na ziemi, jeśli wymykają się jej własne poszczególne wcielenia? W końcu, kiedy już nikt nie pozostanie, będzie musiała stanąć twarzą w twarz ze sobą.

I wtedy pojawił się Orion.

Przyszedł do obozowiska Artemidy, przegonił jej psy. Ryczał przy tym jak kiepski aktor, miał zalepione plastrem prawe oko, lewe ramię w łubkach. Ona była w tym czasie daleko, poszła bowiem po wodę. Kiedy wróciła, zastała potężnego, uszarganego osiłka, który zjadał upolowanego przez nią kozła. Na surowo. Kiedy skończył, czknął głośno i nie otarłszy nawet tłuszczu z ust, zaproponował jej małą przechadzkę brzegiem morza. Artemida nie miała ochoty na ten spacer, ale bała się olbrzyma. Jego zła reputacja unosiła się wokół niego jak nieświeży oddech. Ostatecznie splotzili go trzej rozbawieni bogowie, oddając mocz na skórę wołu. Był ponadto znakomitym myśliwym.

Kamienisty brzeg, pełen rozpadlin i czarny od wyrzuconych wodorostów, przywiódł mu na myśl przeżyte kiedyś przygody, zaczął więc opowiadać o nich rozwlekłe, nie bacząc, że wody przyływu sięgają już Artemidzie do pasa. Nie było zakątka ziemi, którego by nie odwiedził, nie było rzeczy, jakiej by nie widział. Był szybszy niż zając i silniejszy niż para byków. Dorównywał bogom.

– Cuchniesz – zauważyła Artemida, ale on tego nie usłyszał.

W końcu pozwolił jej wyjść z przybierającej wody i rozniecić ognisko. Nie chciał, żeby cokolwiek mówiła, wiedział o niej już wcześniej, szukał jej wręcz. Była swoistym kuriozum, on zaś cieszył się wielką sławą. Cóż za nadzwyczajny mariaż!

A jednak Artemida mówiła. Opowiadała o wyspie, którą umiłowała, i o tym, jak się na niej wszystko z dnia na dzień zmienia. Tu właśnie chciała pozostawać do chwili, gdy będzie gotowa, by wyruszyć w świat. Sama podróż nie była dla niej najważniejsza. W pewnej chwili wstała, żeby odejść. Odwróciła się.

Orion zgwałcił ją, a potem usnął.

Rozpamiętywała potem tę chwilę całymimi latami. To, co zrobiła, zabrało jej kilka sekund, a jedynym, co widziała wyraźnie, był matowy od piasku włos na jego brzuchu.

Jej zemsta była błyskawiczna i prosta. Zabiła go, wykorzystując do tego skorpiona.

Gdy czas płynie tylko w naszej świadomości, przez jedną noc może upłynąć dwieście tysięcy lat. Stały rytm pór roku, ziemia tak ukochana i nieustannie się zmieniająca – wszystko to trwa na zewnątrz. Tymczasem wewnątrz lata świetlne wprawiają nas w ruch wirowy pod innym zgoła firmamentem.

Artemida leżąca u boku martwego Oriona widzi swą przeszłość zmienioną przez pojedynczy czyn. Przyszłość pozostaje jeszcze nietknięta, wciąż nie spełniona, ale przeszłość jest nieodwracalna. Artemida nie jest już tym, za kogo się uważała. Każdy jej dotychczasowy czyn i każda decyzja przywiodły ją do tego miejsca. Ta chwila czekała na nią, tak jak stopień na szczycie schodów czeka na lunatyka. Runęła w dół i teraz leży, przebudzona.

Na brzegu fale tworzą ciemne kałuże wokół stóp Artemidy. Podtrzymywała ogień, żeby się ogrzać i czuła, jak stygnie z wolna ciało Oriona.

Ognisty krąg, który ją otaczał, krył w sobie rozwiązanie dręczącej ją zagadki, odpowiedź na pytanie, dlaczego życie zawiera się w danej chwili w jednym kształcie, a potem przybiera inny. Pomniki i miasta roztopią się w nicości, podobnie jak ludzie, którzy je budowali. Żadne miejsce spoczynku ani żaden pałac nie przetrwa lat świetlnych, które są przed nami. Nie ma takiej historii, której nie można by napisać od nowa, a prapoczątek wszystkiego jest już zbyt daleko, byśmy mogli mu się przyjrzeć.

Co uczyni historia z dzisiejszą nocą?

Dziś niebo jest czyste, panuje chłód. Wiatr piętrzy fale. Spieniona woda pozostawia ślimacze, trójkątne ślady na piasku. Ostra woń soli jeży włoski w nozdrzach. Jej wargi są suche. Gwiazdy pokazują jej, jak można zawisnąć w przestrzeni bez żadnego oparcia. Bez medali i dyplomów, bez nadanych jej włości, może płonąć jak one, wędrując przez czas tak długo, aż straci on jakiegokolwiek znaczenie.

Jest już prawie widno. Leży z otwartymi oczami, bo chce widzieć, jak ustępuje noc i bledną

gwiazdy, a na niebo wpełza szarawy błękit. Chce zobaczyć, jak słońce przetnie swymi promieniami wodę, ale nie może ogarnąć wzrokiem wszystkiego; coś musi ująć jej uwagi. Nie widzi więc jaszczurek wyruszających na żer ani szklistych teraz oczu Oriona. Jakiś ptaszek przysiadł mu na ramieniu; próbuje porwać kosmyk jego słynnych włosów.

Artemida odczekała, aż słońce wzniesie się na niebie, i dopiero wtedy zdeptała ognisko. Potem naznosiła odłamków skał i kamieni, by zabezpieczyć ciało Oriona przed orłami. Usypała z nich duży stos, o który rozbijał się z głuchym rykiem rozszały wichur. Zbierało się na burzę, czarne chmury zasnuwały niebo, buropomarańczowa poświata jaśniała nad horyzontem. Zanim Artemida ukończyła usypywanie kopca, przemokła do nitki.

Ręce jej krwawiły, kosmyki mokrych włosów oblepiały usta. Była głodna, ale gniew jej minął.

Piasek, który wczoraj był jasnożółty, teraz zbrązował od wilgoci. Jak daleko sięgał jej wzrok, rozciągał się bezmiar szarej, poznaczonej plamami bieli wody, nad którą krążyły polujące ptaki. Samotne, pojedyncze krzyki mew i ona samotna, nie z braku przyjaciół, ale z tęsknoty za czasem nie zakłóconym przez gwałt. Morze hipnotyzowało. Ani wiatr, ani ziąb nie zdołały jej przegonić z miejsca, w którym siedziała, jakby czegoś wyczekując. W rzeczywistości nie czekała na nic, tylko rozpamiętywała. Próbowła uprzytomnić sobie, co ją tu przywiodło. I co się z nią działo. Trzeciego wyjścia nie ma. Wiedziała tylko, że dotarła do samej krawędzi rozsądku i przekroczyła ją. Teraz była bezpieczna. Nie ma bezpieczeństwa bez ryzyka, a to, na jakie stać cię ryzyko, jest miarą twojej wartości.

Wreszcie wstała i poszła, nie oglądając się za siebie, świadoma tego, że jej stopy pozostawiają ślady na piasku. Gdy w końcu po morderczej wspinaczce dotarła do miejsca, gdzie lasy okalały urwisko, odwróciła się i zobaczyła zarys kurhanu Oriona i sznureczek własnych śladów. Potem zapadł gęsty mrok i nie mogła już dostrzec oprócz gwiazd niczego, co by jej przypominało minioną noc.

* * *

W drodze do Londynu Jordan przeproszał mnie za swoją małomówność.

– Nigdy nie byłem zbyt rozmowny – rzekł. – Ty zresztą też nie.

Poczułam się zakłopotana, bo lubiłam sobie wyobrażać, że jestem osobą wesołą, zawsze skora do ożywionej wymiany zdań. Czyż nie rozmawialiśmy z Jordanem bez końca, kiedy był mały?

Potem powiedział:

– W swoich podróżach napotkałem plemię indiańskie zwane Hopi. Nie rozumiałem ich języka, ale był wśród nich stary Europejczyk, Hiszpan, jak mi się wydaje, choć z nami rozmawiał

po angielsku. Opowiadał, że Indianie pojмали go przed laty i teraz żył wśród nich uznawany za swojego. Zaproponowałem mu powrót z nami do Europy, ale roześmiał mi się w twarz. Zapytałem go, czy ich język jest podobny do hiszpańskiego, i znów się roześmiał, po czym powiedział mi rzecz wprost fantastyczną: że ich językiem nie rządzi gramatyka podobna do naszej. Najdziwniejsze jest to, że nie używają czasów: ani przeszłego, ani teraźniejszego, ani przyszłego. Nie odczuwają czasu w ten sposób. Dla nich czas jest jeden. Powiedział też, że nie można się nauczyć ich języka, jeśli nie pozna się ich świata. Zapytałem go, ile czasu zajęło to jemu, on zaś odparł, że to pytanie nic nie znaczy.

Dalej szliśmy w milczeniu.

Kiedy Jordan przebierał się w oberży „Pod Cierniową Koroną”, przygotowując się do wizyty u króla, któremu miał wręczyć przywiezionego ananasa, ja, jak przystało na dobrą gospodynię, uwijałam się, sprzątając chatę i szczotkując psy. Nie odwiedzał mnie bardzo dawno i chciałam zrobić mu niespodziankę, bo sama także stałam się kobietą światową. Zaczęłam sprzedawać psy szlachetnie urodzonym i miałam nadzieję, że dzisiejszego wieczoru zdołam zainteresować króla pięknym ogarem, o tak wyrobionym uchu, że słyszał najdrobniejszy szelest z odległości dwóch hrabstw, i takich nogach, że pozazdrościłaby mu niejedna królewska konkubina. Ogrodziłam też splechetek ziemi przed chatą i wykorzystując całą wiedzę nabytą od Tradescanta w ciągu sześciu lat spędzonych w Wimbledonie, urządziłam tam uroczą oranżerię z winoroślą pnącą się po bocznej ścianie.

Zamierzałam ukryć ogara pod spódnicami i wypuścić go, kiedy będą mnie przedstawiać królowi, licząc na jego łaskę i udając, że nic o psie nie wiedziałam. Potem, jeśli wszystko poszłoby po mojej myśli, król powinien zważyć w dłoni łeb ogara, dostrzec niecierpliwe wychylenie sylwetki i zachwycić się ogonem wyprostowanym niczym chorągiewka na wietrze. Wtedy z pewnością zapyta mnie, czy mógłby psa kupić, a ja najpokorniej jak umiem odmówię, twierdząc, że ogar jest moim ulubieńcem, nie przeznaczonym na sprzedaż. Cena, jestem tego pewna, pójdzie w górę, po czym cała reszta tych baranów zamówi, idąc za przykładem króla, więcej psów, niż zdołam im dostarczyć. Wiem, że mam dryg do takich rzeczy. Zawsze go miałam, tyle że pozostawał przytłumiony przez obowiązki macierzyńskie i nagłą potrzebę rozprawienia się z rozmaitymi łotrami.

Ten spokojny żywot bezdzietnej kobiety ma jednak swoje dobre strony.

A teraz biją już dzwony; muszę założyć swoje perły i przygotować się do wizyty. Umyłam szyję.

* * *

Jack powiedział:

– Cała bieda z tobą w tym, że nie myślisz w ogóle o przyszłości, tylko żyjesz z dnia na dzień.

Odwiedził mnie na pokładzie HMS „Gauntlet”, elegancki i pewny siebie. Najmłodszy ekspert od operacji giełdowych w City. Spojrzałem na niego łagodnie, on zaś ciągnął:

– Jesteś w marynarce od roku, czy coś koło tego, a nie wiesz, czego właściwie chcesz. Żle skończysz, Nicolas. Próbuję ci pomóc.

– Pamiętasz nasze popołudnia w parku, Jack? Ty zawsze zabierałeś ze sobą pisma o komputerach i parę numerów „GP”, medycznego miesięcznika ojca. Któregoś dnia przyniosłeś płócienny parawan i przeleżałeś parę godzin, wystawiając twarz na słońce.

– A ty przynosiłeś te swoje stateczki.

– To też jest stateczek, tyle że większy.

– Nie zrobisz kariery, uprawiając hobby, Nicolas.

A ty? A ty?

Próbowałem go zrozumieć, kiedy tak siedział przy moim stole z nachmurzoną twarzą, przeglądając nerwowo gazetę wyjętą z aktówki. Deszcz ze śniegiem zalepiał bulaj.

– Jeśli chcesz naprawdę wiedzieć, zamierzam opłynąć świat. Tą samą trasą, jaką przemierzył Drake na „Złotej Łani”. I chcę to zrobić sam.

Podniósł wzrok; w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania.

– Chcesz pobić jakiś rekord, czy coś w tym rodzaju?

– Skąd mam wiedzieć?

Wstał i rzucił gazetę na stół.

– No widzisz? Nawet kiedy masz szansę zrobić coś użytecznego, nie korzystasz z niej. Jaki sens opływać ten cholerny świat dookoła, skoro nie zamierzasz pobić rekordu? Przecież jeśli chcesz okrążyć świat, możesz wsiąść w samolot.

– Chcę opłynąć świat. Kiedyś myśleli, a na pewno myślał tak Kolumb, że pięć szóstych kuli ziemskiej to ląd, a jedna szоста woda. Tak jest napisane w apokryfach Ezdrasza. W rzeczywistości dwie trzecie powierzchni globu to woda. Nikt by tego nie wiedział, gdyby człowiek podróżował wszędzie samolotem. Podróż samolotem sprzyja złudzeniu, że cały świat jest zbudowany z litej materii.

– A ja myślę, że świat dzieli się na dwa rodzaje ludzi: takich, którym się wiedzie, i takich, którzy przegrywają.

– I ja przegrywam, Jack?

Nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w gazetę. Nagle zaklął pod nosem.

– Co za bzdura, znów jakaś baba wtrąca się w nie swoje sprawy.

Zaczął wzburzony krążyć po kabinie, trzępiąc zwiniętą gazetą w mokry śnieg przylepiony od zewnątrz do szyby.

– To na nic – powiedziałem. – Jesteś po niewłaściwej stronie.

Nie powinienem był tego mówić. Wyzwoliłem tyradę przeciw wszystkim tym, którzy hamują postęp, rozwój przemysłu i wolnego rynku.

– Głupia baba siedzi w namiocie nad rzeczułką na jakimś kompletnym zadupiu i biadoli, że rośnie poziom zanieczyszczenia rtęcią. O co jej chodzi? Czy uważa, że można zwinąć cały przemysł i iść sobie do domu? Muszą to przecież gdzieś podziać. Przecież nie mogą spuszczać wszystkiego do Tamizy.

– Wszystkie rzeki wpadają do morza – powiedziałem, zdając sobie sprawę z tego, że przemawiam jak Budda. Nie słuchał mnie. Znów rozłożył swoją gazetę.

– Będzie program telewizyjny z jej udziałem i dochodzenie w tej sprawie. Boże, przecież te media są kompletnie nieodpowiedzialne. Ludzie są głupi. Panikują. Zanim się obejrzysz, wyprzedzą akcje i przedsiębiorstwo padnie. I przez kogo? Przez jakąś obłąkaną babę i kilka śniętych ryb.

– Nie wiem, o co ci chodzi, Jack.

Zbliżył się do mnie i odwróciwszy zamasyście krzesło, dosiadł je okrakiem, po kowbojsku.

– Powiem ci, o co mi chodzi. Pracuję dwanaście, piętnaście godzin na dobę w branży, w której jestem dobry, i mam już dość tych niuchaczy, co to wtykają nos w prywatne sprawy firmy godnej najwyższego zaufania. Każdy chce mieć pracę i zarabiać pieniądze. Jak, ich zdaniem, można zapewnić ludziom pracę i pieniądze? Zawsze są jakieś skutki uboczne, których wolelibyśmy uniknąć, ale nie unikniemy, bo takie jest życie.

Spojrzał na zegarek.

– No, na mnie pora. Może zjemy kiedyś razem lunch?

Skinąłem głową. Rzucił we mnie gazetę.

– Masz, nadażaj za postępem, nawet jeśli nie chcesz dołożyć swojej cegiełki.

Kiedy wyszedł, wygładziłem zmiętą gazetę i usiłowałem znaleźć artykuł, który tak go zirytował. Przypomniałem sobie coś, co powiedział, kiedy wstępowałem do marynarki. Zaraz, jak on to dokładnie sformułował?

„Typowe dla ciebie. Decydować się na karierę w marynarce po kryzysie falklandzkim”.

Przeczytałem artykuł. Ta kobieta musiała być bohaterką! Bohaterowie wyrzekają się wygod, żeby bronić tego, w co wierzą, lub narażać się na niebezpieczeństwa dla innych. A ona to zrobiła, dlatego więc spotykają ją szykany? Z artykułu wynikało, że jacyś nieznani sprawcy kilkakrotnie podpalali jej namiot. Próbowałem ją zrozumieć, wpatrując się w zdjęcie. Była bardzo ładna; zdawało mi się, że ją znam, choć było to niemożliwe. Zanim się obejrzałem, podniosłem się z krzesła i ściągnąłem z półki mój worek marynarski.

Odszukam ją.

* * *

Dosięła nas kara Boża za zamordowanie króla. Londyn dziesiątkuje zaraza. Miasto jest wprost zawałone trupami. W każdym domu są jakieś zwłoki, a przy jednej ulicy, nieco na południe od nas, nie ma już ani jednej żywej duszy. Domy są opuszczone, nie zamknięte okiennice trzaskają po nocach.

Wzięłam trochę zupy, żeby zanieść mojej chorej przyjaciółce, a kiedy otworzyłam kopniakiem drzwi, zobaczyłam posuwający się wolno ulicą wóz pełen trupów. Pchali go więźniowie. Jeśli zdołali przeżyć miesiąc, wypuszczano ich na wolność. Newgate pustoszało, ale nie słyszało się jakoś o wyczynach dopiero co wypuszczonych kryminalistów.

Mężczyźni szli zgięci we dwoje, a ponieważ ulica była zryta koleinami i wyboista, wóz zaś coraz bardziej obciążony, ledwie posuwali się do przodu. Byli wychudzeni i obdarci, skóra jednego miała szarozielonkawy odcień, co odczytałam jako niechybny znak, że człowieka tego toczy zgnilizna.

Odstawiłam garnek z zupą i pośpieszyłam im z pomocą. Nie bałam się zarazy. Moje ciało jest zbyt potężne, by zmogło je jakieś tam paskudne choróbsko, a jeśli miała to być kara Boża, to chyba ja należałam do ostatnich, którzy by na takową zasługiwali.

Wchodziłam po kolei do domów i wyciągałam zeszywniałe ciała. Większość zawinięta była w jakieś derki, ale zdarzali się też i tacy, którzy klęczeli, zaskoczeni przez śmierć podczas modlitwy. Ulokowani na wózku, ze złożonymi rękami, przedstawiali widok zaiste przerażający.

Kiedy doszliśmy do domu mojej przyjaciółki, weszłam do środka z garnkiem zupy, spodziewając się, że zastanę ją taką, jaką ją ostatnio zostawiłam – osłabioną, ale w niezłym stanie. Nie żyła.

Wozacy byli tak wyczerpani, że zasiedliśmy do stołu i zjedliśmy zupę.

– Dokąd zawozicie te ciała? – zapytałam.

– Pali się je – odparł jeden z nich. – Nie ma innego wyjścia, trzeba je palić. Grabarze nie mają już siły, zbyt dużo jest trupów do grzebania. Tylko ci, którzy zapłacą, mają groby. Dla takich jak my jest ogólny dół.

Poszłam z nimi do tego dołu, niosąc moją przyjaciółkę na plecach. Chciałam, żeby jej ostatnia droga wyglądała godniej, więc nie mogłam położyć jej na wozie. Im bliżej byliśmy dołu, tym okropniejszy stawał się odór. Czarny dym walił kłębami z wyrwy, podobnej kraterowi na Księżycu. Na krawędziach dołu stały liczne wozy, które co jakiś czas opróżniano. Jak tylko były puste, nieszczęśni wozacy wlekli się z powrotem na cuchnące trupami ulice.

Zatykając nos jedną ręką i podtrzymując przyjaciółkę drugą, podeszłam do dołu i zajrzałam do środka. Dół był bardzo głęboki, leżały w nim poukładane na krzyż wielkie polana, a gdzieś tam całe pnie drzew. Spomiędzy kłód, czasem z płataniny gałęzi, wystawały nogi, ręce i głowy zmarłych.

– To zaiste piekielny widok – powiedziałam na głos. Nieopodal stał człowiek, który sprawował nad wszystkim nadzór.

– A tak, to prawdziwe piekło i robota dla diabłów. Muszę podtrzymywać ogień, żeby wypalić wszelką zgniliznę. Jeśli zaczyna dymić i przygasa, ja i moi ludzie musimy schodzić po tych wyrąbanych w ziemi stopniach i podsycać płomień miechami. Zrobiliśmy w środku półkę, żeby mieć na czym stanąć. W ten sposób możemy obejść cały dół dookoła i jeśli to konieczne, wepchnąć drągiem każde ciało, które za bardzo wystaje.

– Przyniosłam moją przyjaciółkę – powiedziałam.

– Więc musisz ją wrzucić. I nie patrzeć.

– Zniosę ją na dół. Nie przystoi tak jej po prostu ciskać.

Próbował mnie odwieść od tego zamiaru, tłumacząc, że w dole panuje straszliwy żar, ale ja zaczęłam zstępować stopień za stopniem, z oczami łzawiącymi od dymu i wyziewów. Kiedy dotarłam do występu, obesłam dół dokoła, szukając tak długo, aż wypatrzyłam nieruchomą i gładką gałąź, nie tkniętą jeszcze przez ogień. Pochyliwszy się, złożyłam na niej zwłoki przyjaciółki, po czym wyszłam powoli z dołu. Posepni palacze popatrzyli na mnie w milczeniu i wrócili do swego straszliwego zajęcia.

Kiedy wróciłam do domu, Jordan leżał na łóżku, mając w gorączce. Z trudem wydobywał słowa, a kiedy wreszcie przemówił, zaczął opowiadać o egzotycznych miejscach i dziwnych obyczajach. I bez przerwy powtarzał: „Fortunata, Fortunata”.

Jestem kobietą zaradną i ufam, że potrafię uporać się ze wszystkimi kłopotami śmiertelników, ale kobiety, która nie istnieje, znaleźć nie umiałam.

W rozpaczy poszłam do psiarni i zaczęłam łomotać pięściami w jedną z bud. Waliłam tak długo, aż moja sąsiadka wytknęła głowę, miotając przy tym tak straszliwe przekleństwa, jakie chyba żadnej kobiecie nie przeszłyby przez gardło.

– Pora spłacić dług wdzięczności za wyświadczoną ci przysługę – rzekłam. – Mój syn umiera. Musi przeżyć.

Zaczęła po swojemu chichotać, mamrotać pod nosem i wygadywać jakieś bzdury o konieczności poddania się woli Bożej. Już chciała schować się z powrotem w budzie, ale złapałam ją wpół i uniosłam nad głowę.

– Uzdrów go – powiedziałam najuprzejmiej jak mogłam – bo nie ręczę za to, co zrobi oszalała matka.

Postawiłam ją na ziemi i weszłam do domu, żeby obmyć twarz Jordana i nakarmić go pomarańczami. Mógłby być lordem, gdyby tylko miał na to ochotę. Król chciał obsypać go zaszczytami i dałby mu każdy statek, jakiego by zapragnął, żeby tylko żeglował po morzach. Ale Jordan niczego nie chciał. Oświadczył, że woli siedzieć nad rzeką i przyglądać się łodziom.

Ludzie tylko patrzyli po sobie zdziwieni; nie mogli go zrozumieć i niektórzy mówili nawet, że spędziwszy trzynaście lat z dala od domu, popadł w obłąd. Inni twierdzili, że ma złamane serce. Słuchałam tego gadania, ale nie przywiązywałam do niego wagi, bo czyż ludzie nie plotą bez przerwy byle czego, zamiast trzymać język za zębami?

W nocy sąsiadka przysłała z rondlem jakiegoś okropnie cuchnącego płynu i postawiła go na ogniu.

– Niech to wypije, obmyje się tym cały i niech się prześpi, trzymając ten rondel w zasięgu wzroku – powiedziała tylko i wróciła pośpiesznie do swego legowiska z kości. Słyszałam, jak z chrzęstem ogryza je w mroku.

Zrobiliśmy, co kazała, i po kilku dniach gorączka spadła, a Jordan wydobrzał na tyle, że mógł zjeść kotlet.

– Powinniśmy jej podziękować – powiedziałam. I zaniósłam czarownicy rubin. Przyjrzała mu się z ukosa pod światło, a potem, stwierdziwszy z zadowoleniem, że jest prawdziwy, powiedziała coś o jego dobroczynnym wpływie na krew i połknęła kamień. Oślupiali wróciliśmy do chaty bez słowa.

Kiedy w 1665 roku zaraza się skończyła, Londyn stał się miastem znacznie spokojniejszym i było w nim wiele domów do zamieszkania. Podobało mi się to, że mogę sobie iść na targowisko i nie muszę przedzierać się przy tym przez tłum ogłupiałych bezbożników. W tym czasie zaczęłam jednak dziwnie niedomagać, choć nie na ciele, tylko na umyśle. Zdawało mi się, że gdziekolwiek się ruszę, ciągnie się za mną jakaś ohydna woń. Nie mogłam się pozbyć tego trupiego odoru. Zaczęłam myśleć o Londynie jako o mieście pełnym brudu i morowego powietrza, mieście, którego nigdy nie uda się oczyścić.

– Kara Boża ciągle nas jeszcze dotyka – powiedziałam do Jordana. – Jesteśmy zepsuci i nasze miasto też przeżera zgnilizna. Nie ma tu już żadnej zdrowej ani pięknej rzeczy...

Wtedy Jordan oznajmił nagle, bez żadnego ostrzeżenia, że zamierza znów wyruszyć na morze i że statek stoi już w Deptford, gotów do rejsu.

– Czy wyruszasz natychmiast? – zapytałam, mocno wystraszona tą nagłą wiadomością.

– Nie tak od razu, ale muszę być przygotowany.

Kiedy to usłyszałam, zaczęłam wałęsać się po ulicach, szukając w tej wędrowce ukojenia. Wszystko jednak, co widziałam, zdawało się mówić to samo: że tej zgnilizny nigdy nie uda się wyplenić. I wtedy pomyślałam o ogniu, dole i o wszystkich spalonych ciałach, które spopielone, były przynajmniej czyste.

– To miasto należałoby spalić – szepnęłam do siebie. – Powinno płonąć i płonąć, tak długo, aż wszystko się wypali i nie pozostanie nic prócz chłodnego, orzeźwiającego wiatru.

* * *

– Nazywam się Nicolas Jordan – powiedziałem.

Zjedliśmy kolację upichconą na ognisku: pieczone kartofle i fasola, herbata z blaszanych kubków. Nie chciała zbyt wiele mówić, więc siedliśmy, opierając się o siebie plecami, i zapatrzyliśmy się na gwiazdy.

– Ta rzeka świeci – zauważyłem.

– Pełno w niej fosforu, potwierdziły to badania.

– Kiedy patrzę na te mętne wody, przypomina mi się *Pieśń o starym żeglarzu*. [*Ancient Mariner*,

ballada Samuela Taylora Coleridge'a.]

Miała łódź wiosłową przywiązaną do drzewa, więc wsiedliśmy do niej i wypłynęliśmy na widmową, niesamowitą rzekę. Pomarańczowe ognisko płonęło w oddali. Chciałem jej podziękować za te próby ratowania nas wszystkich, za to, że próbuje ocalić i mnie, bo czułem, że jest to sprawa osobista, choć nie wiedziałem dlaczego. Kiedy jednak zdecydowałem się przemówić, gardło miałem tak ściśnięte wzruszeniem, że nie mogłem wydobyć słowa. Mam taki ulubiony obraz van Gogha, *Siewca*. Wieśniak idzie o zmierzchu do domu, a za nim świeci wielki księżyc. [Opis *Siewcy* van Gogha nieprecyzyjny. W rzeczywistości wieśniak na wszystkich pięciu wersjach obrazu zgodnie z tytułem sieje, a nie wraca do domu, jak pisze Winterson. Rzekomy księżyc jest wobec tego porannym lub zachodzącym słońcem.] Pole robi wrażenie czegoś bardzo solidnego, konkretnego, farba nałożona jest grubo, szpachelką. Ten obraz działa na mnie kojąco, bo patrząc nań, myślę, że świat będzie istniał zawsze, solidny i pewny, pod koniec dnia, u kresu podróży. Brunatne pola i żółty księżyc.

– Spalmy ją – rzekła. – Spalmy tę fabrykę.

* * *

Dnia drugiego września Roku Pańskiego tysiąc sześćset sześćdziesiątego i szóstego wybuchnął pożar na podwórku piekarni przy Pudding Lane. Płomienie strzeliły od razu wysoko i ogień błyskawicznie przeniósł się na sąsiedni dom, a potem na następny. Popijałam całą noc z zaprzyjaźnionymi piekarzami, a raczej popijali oni i wielkie mieli szczęście, że zdołałam ich odciągnąć w bezpieczne miejsce. Nie ja wzniciłam pożar – jakżebym mogła, skórom przysięgła wieść przykładne życie? – ale też go nie gasiłam. Właściwie to można uznać, że dolanie do ognia beczułki oliwy mogło go wręcz podsycić. Ale był to znak, znak że nasz wielki grzech szczególnie w końcu w płomieniach. Nie mogłam przeszkadzać w wypełnianiu się dzieła Bożego.

Popędziłam do domu i oczekiwałam wieści z miasta. Ogień szedł na zachód. Nazajutrz zdawało się, że płonie cały Londyn.

– Prędko, Jordan – rzekłam. – Skończyliśmy z tym czasem i z tym miejscem.

Spakowaliśmy manatki i udaliśmy się na statek. Chętnie zabrałabym budę razem z lokatorką,

ale nie chciała iść. Sklecieliśmy jej tratwę z drewnianej klatki dla drobiu i zostawiliśmy ją, zapatrzoną w zasnute dymem niebo.

Na rzece roіło się od łódek załadowanych ludźmi i ich dobytkiem. Zgodnie z instrukcją Jordana powiosłowałam w dół Tamizy, on zaś został, żeby dopilnować ostatnich przygotowań. Czekałam na niego do zmierzchu, ale on się nie pojawiał, a wreszcie zstępująca mgła zasłoniła mi wszystko z wyjątkiem płomieni. Jakieś pół godziny po północy usłyszałam, że wchodzi na pokład. Twarz miał bladą, ręce mu się trzęsły. Sądziłam, że poruszył nim tak widok spustoszeń dokonanych przez ogień, ale gdy go o to zapytałam, zaprzeczył. Szedł przez londyńskie błonia, gdy podniosła się mgła; w pośpiechu potknął się, upadł i rozbił sobie głowę. Kiedy przyszedł nieco do siebie, ruszył naprzód po omacku, z wyciągniętymi rękami i nagle dotknął czyjejs twarzy. Krzyknął, a wtedy mgła rozwiała się na chwilę i zobaczył, że napotkanym nieznajomym jest on sam.

– Może mam wkrótce umrzeć? – powiedział, a potem, wobec moich gwałtownych protestów, dodał: – A może będę żył, żeby osiągnąć pełnię, tak jak ona mi to przepowiedziała.

– Któż to jest ta „ona”?

– Fortunata.

Nie odezwałam się. Odbiliśmy od brzegu. Uwolniony statek zanurzył się w mroku i po kilku godzinach pozostawiliśmy daleko za sobą rozszalały ogień i straszliwy ryk buzujących płomieni. Sunęliśmy gładko ku otwartemu morzu, wiatr od rufy wydymał grotzagieli. Spojrzałam na Jordana stojącego na dziobie; jego czarna sylwetka rysowała się ostro na tle nieba. Zdawało mi się, że widzę kogoś za nim, kobietę, smukłą i silną zarazem. Chciałam zawołać, ale nie mogłam wydobyć głosu. Potem ona zniknęła i za Jordanem nie było już nikogo – tylko pustka.

* * *

Kiedy wypływalimy z Londynu, wiedziałem, że nigdy tam nie wrócę. Przez chwilę czułem tylko smutek, a potem, bez wyraźnego powodu, moje serce wypełniła nadzieja. Przyszłość leży przede mną niczym rozjarzone światłami miasto, ale tak jak miasta-widma na pustyni znika, gdy się do niej zbliżam. Przy pewnym szczególnym oświetleniu łatwo dojrzeć wieże i kopuły, a nawet rojących się ludzi. Mówimy o niej z tęsknotą i z miłością. Przyszłość. Ale miasto o tej nazwie jest złudą. Przyszłość, teraźniejszość i przeszłość istnieją tylko w naszych umysłach; z oddalenia ich kontury zacierają się i nikną jak granice wrogich nam krajów oglądane z miasta żeglującego po niebie. Rzeka przepływa z jednego kraju do drugiego, nie zatrzymując się po drodze. I nawet najbardziej konkretne rzeczy, najbardziej realne, najbardziej kochane i najlepiej nam znane, są tylko dziecinnym teatrzykiem cieni rzucanych na ścianę. Pustą przestrzenią i punkcikami światła.